

The book cover features a watercolor-style illustration. In the upper left, a dark red, irregular shape contains a white eye-like symbol. Below it, the author's name and title are written in white, bold, sans-serif capital letters. The main illustration shows a woman in profile, facing left, wearing a dark, patterned dress. She is riding a dark horse, with the horse's head and neck visible in the foreground. The background is a plain, light color.

DRAGO JANČAR
WIDZIAŁEM
JĄ, TEJ
NOCY

Drago Jančar

Widziałem ją tej nocy

Przełożyła Joanna Pomorska



Wołowiec 2014

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

Przypisy

...nasze zmyślone historie, utkane z rzeczywistości...

Hans Christian Andersen

Widziałem ją tej nocy, jakby była żywa. Szła przez środek baraku, między pryczami, na których spokojnie spali moi towarzysze. Zatrzymała się obok mojego pośłania, przez chwilę wpatrywała się we mnie zamyślonym, trochę nieobecnym wzrokiem, jak zawsze, kiedy nie mogła spać i snuła się po naszym mariborskim mieszkaniu, powstała moment przy oknie, przysiadła na pryczy i znów podeszła do okna. Co się dzieje, Stevo? spytała. Ty też nie możesz zasnąć?

Jej głos był cichy, głęboki, prawie jak głos mężczyzny, wydawał się przytłumiony i nieobecny jak jej spojrzenie. Zdziwiłem się, bo przecież go znałem, to był jej głos, na pewno ten, który z czasem zgubił się gdzieś bardzo daleko. W każdej chwili bez trudu mogłem przywołać jej postać, jej oczy, włosy, usta, tak, nawet ciało, zmęczone obok mnie, ale nie mogłem usłyszeć jej głosu. Kiedy długo nie widzi się jakiejś osoby, najpierw znika jej głos, zapominamy, jak brzmi, jaką miał barwę i natężenie. Bardzo długo jej nie widziałem, jak długo? Co najmniej siedem lat. Ciarki przeszły mi po grzbiecie. Była ostatnia noc maja, powoli kończyła się wiosna straszego roku czterdziestego piątego, i chociaż na dworze było ciepło, a w baraku panował zaduch rozgrzanych, spoconych ciał śpiących mężczyzn, na tę myśl poczułem zimny dreszcz. Siedem lat. „Gdy siedem długich, długich lat minie, znów chłopiec będzie przy swej dziewczynie”, śpiewała kiedyś moja Veronika. Bardzo lubiła tę słoweńską piosenkę ludową i nuciła ją, kiedy była smutna, z tym samym nieobecnym spojrzeniem, jakim patrzyła na mnie tej nocy. „I tylko dobry Bóg wie to w niebie, kiedy minie lat siedem bez ciebie”. Chciałem powiedzieć: dobrze, że przyszłaś, chociaż dopiero po siedmiu latach, Vranac cały czas jest ze mną, chciałem powiedzieć: jeśli masz ochotę go zobaczyć, jest tam, za ogrodzeniem, razem z koźmi innych oficerów, miewa się całkiem nieźle, może biegać po łące, nie musi stać w stajni, ma dobre towarzystwo, choć brakuje mu twojej ręki... tak jak mnie, chciałem powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle i zamiast słów, które chciałem powiedzieć, z moich ust wydobywały się tylko jakieś niewyraźne, chrapliwe dźwięki. Myślałem, że mieszkasz w zamku u podnóża gór, chciałem powiedzieć, a czy jeździsz tam trochę konno? Wyciągnąłem rękę, żeby dotknąć jej włosów, ale się odsunęła, pójde już, wyszeptwała, przecież wiesz, Stevo, że nie mogę zostać.

Wiedziałem, że nie może, jak nie mogła zostać siedem lat temu, kiedy na zawsze odeszła z naszego mariborskiego mieszkania. Skoro nie mogła zostać tam, jak mogłaby zostać tutaj, w baraku obozu jenieckiego, wśród śpiących oficerów królewskiego wojska, nad którymi czuwa wisząca na ścianie przy drzwiach fotografia młodego króla w mundurze porucznika gwardii, z ręką na szabli, fotografia króla, który został bez królestwa, wśród swoich wiernych żołnierzy, którzy zostali bez ojczyzny. Gdzieś głośno zarżał koń, przysiągłbym, że to Vranac, może do niego też zaszła, jak wtedy, gdy odchodziła na zawsze, może zarżał z radości, kiedy poczuł ją obok siebie, kiedy położyła dłoń na jego nozdrzach – jak to robiła w dawnych czasach – i powiedziała: Vranac, zaraz cię osiodłam.

To wszystko działo się w nocy, teraz jest ranek i żołnierze w całym obozie szykują się na poranny apel, żeby oddać hołd fladze. Wciąż jeszcze co rano wciągamy flagę na maszt, wojsko bez broni, przy bramie angielscy żołnierze przestępują z nogi na nogę i ze znużeniem obserwują poranną krzątalinę rozbrojonych żołnierzy armii królewskiej, którzy wychodzą z namiotów, oficerów ulokowanych w barakach, cały czas gotowych do przejścia przez słoweńskie góry i do walki w głębi kraju, w mrocznych lasach Bośni, gdzie według docierających do nas komunikatów rosną w siłę oddziały walczące z komunistyczną władzą. A ja patrzę na swoją twarz w lustrze i wiem, że nie ma już niczego, nie ma Veroniki, nie ma króla, nie ma Jugosławii, świat rozpadł się na kawałki jak to popękane lustro, z którego spoglądają na mnie fragmenty mojej nieogolonej twarzy. Nie chce

mi się namydlić i ogolić, zapiąć pasa, doprowadzić się do porządku i pójść na plac apelowy, patrzę w tę twarz, nad którą tej nocy pochyliła się Veronika, i zadaję sobie pytanie, czy mogła mnie rozpoznać. Czy to wciąż jestem ja, Stevan Radovanović, major, dowódca szwadronu pierwszej brygady, dawniej kapitan Drawskiej Dywizji, którego w Mariborze zostawiła żona, z czego żołnierze śmiali się za jego plecami. Teraz nikt z niego nie drwi, nikt z nikogo się nie śmieje, bo nikomu nie jest do śmiechu, teraz wszyscy są godni litości, rozbita armia, którą przepędziły z ojczyzny nieznające się na uzbrojeniu i taktyce komunistyczne dzikusy, czy to wciąż moja twarz, te oczy, ten nos, policzki, poprzecinane rysami posklejanego lustra, które wisi na ścianie umywalni w baraku? Oczy podkrążone od nieprzespanych nocy wyglądają jak dwa sińce, siwe pasma włosów na skroniach, rozszarpane wargi i czarna dziura w rzędzie pożółkłych zębów. W tej dziurze był ząb, jeszcze miesiąc temu, kiedy w ścianę wiejskiej chaty trafił pocisk wystrzelony gdzieś w górach nad Idriją i odłamek kamienia albo żelaza trafił mnie prosto w usta, w jednej chwili zalałem się krwią, ale gdy doszedłem do siebie i starłem krew, okazało się, chwała Bogu, że straciłem tylko przedni ząb, wargi miałem porządnie poranione, teraz są jedynie popękane, no więc straciłem tylko przedni ząb, gdzieś niedaleko włoskiej granicy, kiedy wycofywaliśmy się w jej kierunku, żeby zgodnie z rozkazem się przegrupować i zgodnie z rozkazem ponownie przystąpić do ataku, potem jednak, koło miejscowości Palmanova, musieliśmy się poddać Anglikom. Nie mieliśmy wyboru, choć wiedzieliśmy, że są naszymi sojusznikami i że wspólnie zaatakujemy komunistów. Jeszcze przez kilka dni nosiliśmy broń, później kazano nam ją oddać, czyli pozwolić, żeby angielscy żołnierze haniebnie nas rozbili; oficerom honorowo pozostawili pistolety bez amunicji, lecz parę dni temu zabrali i to, ostatnią oznakę godności, nie jesteśmy już wojskiem, to koniec, finis Królestwa Jugosławii, koniec świata.

Przed siedmiu laty, kiedy Veronika wyjechała z Mariboru, pomyślałem pierwszy raz, że dla mnie to jest koniec świata. Teraz jednak widzę, że był to tylko mały osobisty dramat, życie toczyło się dalej, wojsko, do którego należałem ciałem i duszą, wciąż istniało, jego porządek i dyscyplina, jego sławna artyleria, konnica i piechota, wszystkie formacje otoczone chwałą bitew nad Kolubara i pod górą Cer¹, byliśmy spadkobiercami i dziedzicami serbskiego zwycięstwa, jednego z największych w historii Europy, szanowano nas, oficerów, i uwielbiano, świat wciąż był cały, a życie mimo odejścia Veroniki nadal miało sens. Koszary, manewry, wypełnianie obowiązków, pod tym wszystkim kryją się prywatne smutki, lecz zarazem człowiek czuje, że obrona ojczyzny to zaszczyt, ma poczucie posłannictwa, a osobista strata musi się temu podporządkować. Byłem wzorowym oficerem, muszę to przyznać, w akademii egzaminy ogólne i specjalistyczne zdałem z wyróżnieniem, podczas wszystkich manewrów, które w tamtych latach odbywały się coraz częściej, mój oddział zbierał pochwały.

Wiosną roku trzydziestego siódmego mój szwadron przeniesiono z Niszu do Lublany. Jeśli dobrze zrozumiałem, chodziło o taktyczne wzmocnienie Drawskiej Dywizji, która na skutek wydarzeń politycznych w Niemczech stawała się główną siłą obronną północnej i zachodniej granicy królestwa. Szybko się tam odnalazłem, jak zresztą wszędzie do tej pory. Życie żołnierza to nie miasto, w którym przez jakiś czas musi żyć, tylko koszary, plac manewrowy, jednostka, moim życiem było wojsko, no i konie. Byłem, to też muszę powiedzieć, najlepszym jeźdźcem w oddziale, który pozostawał pod moimi rozkazami. To ważne, czy dowódca wydaje rozkazy z kancelarii, czy w czasie manewrów z jakiegoś pojazdu terenowego; dowódca, który jedzie konno na czele oddziału, jest kimś zupełnie innym. Od swoich żołnierzy wymagałem tego, czego od siebie: bezustannych ćwiczeń na placu manewrowym, zwinności i zręczności, troski o konie, pilnowania, żeby były czyste i miały świeżą wodę. Zgrzebło w rękę było dla mnie równie ważne jak wyciągnięta szabla, z którą rusza się do ataku, albo jak karabin, który trzeba umieć zdjąć z ramienia i zarepetować także w czasie jazdy. Kawaleria to w armii najszlachetniejsza formacja. Kawaleria pluje na piechotę, mawiał major Ilić, kiedy był w dobrym humorze. A kiedy był w dobrym humorze i mówił, że kawaleria pluje na piechotę, zawsze znalazł się ktoś, kto dodawał: może też na nią szczać... Dopisywał nam humor, byliśmy dumni jak polscy ułani, najdzielniejsza lekka kawaleria, jaką zna świat. Poza tym kochałem konie, pierwszy raz dosiadłem konia, gdy miałem siedem lat; mój ojciec handlował końmi, od dzieciństwa dbałem o nie i rozmawiałem z nimi, więc nie przypadkiem znalazłem się potem w kawalerii. I nie przypadkiem, tak myślę, razem z nią, z kawalerią, znalazłem się w Lublanie.

Tam spotkałem Veronikę.

Doprowadził do tego jej mąż. A z jej mężem zetknął mnie mój dowódca major Ilić. Dokładnie pamiętam to letnie przedpołudnie: było gorąco, w koszuli z podwiniętymi rękawami nadzorowałem na placu manewrowym zawracanie w miejscu. Później pozwoliłem rekrutom chodzić stępą w kręgu. Gdy ćwiczenia dobiegały końca, żołnierze, popuściwszy cugli, powoli ruszyli do stajni. Przypomniałem im, żeby wilgotne miejsca na końskim grzbiecie, zwłaszcza pod siodłem, przemyli czystą wodą. Potem zgrzebło, jasne? Nigdy nie zapomniałem wydać tego rozkazu, wiedziałem, że są leniwi, wszyscy rekruci to lenie, odstawiliby konie do stajni, a sami powlekli się na pobliską łąkę albo w cień obok budynku, poleżeć choćby na kupie gnoju, gdziekolwiek. Chciałem im jeszcze wyjaśnić po raz kolejny, dlaczego pielęgnacja konia jest tak ważna, kiedy zjawił się kurier, zasalutował i oświadczył, że major Ilić wzywa mnie do sztabu.

Major spytał z powagą w głosie, czy jestem gotów podjąć się specjalnego zadania. Zawsze byłem gotów wykonać każde polecenie. Żona jego przyjaciela, młoda dama z miejscowych wyższych sfer, dostała w prezencie angielskiego hackneya i chciałyby się nauczyć jeździć konno. Spostrzegłem, że ordynans i pisarz, którzy patrzyli na mnie uważnie, z trudem powstrzymują śmiech. Zamiast zasuwać z głupimi rekrutami, powiedział major Ilić, przez jakiś czas będziesz uczył jazdy konnej. Nie miałem nic przeciwko zajmowaniu się głupimi rekrutami, którzy w końcu, pod moją komendą, prawie wszyscy przeobrażali się w doskonałych jeźdźców, a niedobrze mi się robiło na myśl, że będę musiał uczyć jazdy jakąś rozpieszczoną, bogatą młodą damę, zdałem przecież z wyróżnieniem wszystkie ogólne i specjalistyczne egzaminy w akademii po to, by służyć królowi i ojczyźnie. W ten sposób też można służyć królowi i ojczyźnie, stwierdził Ilić, jakby czytał w moich myślach, zresztą to tylko dwa miesiące, podczas jesiennych manewrów znów będziesz dowodził szwadronem. Powiedziałem, że jestem do dyspozycji, cóż innego może powiedzieć żołnierz. A potem Ilić długo patrzył mi w oczy. Stevan, odezwał się po chwili ojcowskim tonem, jakby wysyłał mnie w wir bitwy, weź to sobie do serca.

Honor oficera, dorzucił. Ty wiesz, co to jest honor oficera.

Rozumiałem, o co mu chodzi. Że damie trzeba okazać należyty szacunek. Wiem, powiedziałem. No to wszystko w porządku, zaśmiał się major Ilić. A ordynans, widząc, że skończyła się oficjalna część rozmowy i major jest w dobrym humorze, dodał: uważaj, żeby nie ugryzł cię jej aligator. Roześmiali się wszyscy trzej. Jaki aligator? Zobaczysz, odparł Ilić, spoczniej, możesz odejść.

Zanim zacząłem wypełniać zadanie specjalne, czyli w szczególności sposób służyć królowi i ojczyźnie, musiałem się spotkać z mężem mojej przyszłej uczennicy. Umówiliśmy się w kawiarni Union, mógłby zaprosić mnie do domu, powiedział, ale najpierw chciał porozmawiać ze mną w cztery oczy. Był szczupły, wysoki, miał jasne gładko zaczesane włosy; w modnym garniturze, jak z żurnala dla angielskich dandysów, wyglądał nienagannie. Ja miałem na sobie mundur, a choć wówczas mundury wszędzie budziły uznanie i podziw, czułem się przy nim trochę niezręcznie. Elegancki mężczyzna w białym garniturze i białych butach najwyraźniej przywykł do tego, że wywiera na ludziach wyjątkowe wrażenie. Przyjechał dużym samochodem, wypiliśmy po kieliszku koniaku, zapewnił, że za lekcje jazdy otrzymam godziwe wynagrodzenie. Oczywiście się nie zgodziłem, dostałem rozkaz, polecenie służbowe. Zaśmiał się, ach, ten major Ilić, dla niego każda sprawa ma charakter służbowy. Nie był zbyt rozmowny, jednym tchem wyrzucił z siebie wszystko, co miał do powiedzenia: najpierw będziemy ćwiczyć na hipodromie w miejscowości, która nazywa się Štepanja vas, potem byłoby dobrze, gdybyśmy jak najszybciej zaczęli jeździć po okolicznych lasach i łąkach, Veronika bardzo tego pragnie, powiedział, ja też dołączę do was, kiedy sprawy zajdą tak daleko, że Veronika poczuje się pewniej w siodle. Prosił mnie, bym zważał na jej bezpieczeństwo, czasem zachowuje się dość nieprzewidywalnie, pewnie od razu zechce nauczyć się wszystkiego. Chciałem pana poznać wcześniej, powiedział, mój przyjaciel Ilić mówi, że jest pan jego najlepszym oficerem, widzę, że się nie myli. Jak mógł się o tym przekonać, pomyślałem, skoro cały czas mówił tylko on, a o wojsku, jak sam przyznał, nie ma pojęcia. Oczywiście ludzie jego pokroju znajdują się na giełdzie, eleganckich strojach i dużych samochodach, również na samolotach; wyznał, że poza końmi i autami jego wielką namiętnością są sportowe samoloty, może kiedyś przelecimy się nad okolicznymi górami, a zobaczę, jaka piękna jest Słowenia, Serbia zresztą też, pan jest z Valjeva, prawda? Tak,

z Valjeva, mój ojciec zajmował się handlem końmi, dodałem. Pomyślałem, że miał do czynienia właśnie z takimi bogaczami, wiedział, że jego syn nigdy nie będzie bogaty, niech więc zostanie oficerem, w Serbii warte jest to tyle samo co bogactwo, jeśli nie więcej. Nigdy nie byłem w Valjevie, powiedział, hodujecie tam śliwki? I robicie śliwownicę, tak? Nie, odparłem, tam się hoduje najlepszych żołnierzy, zaśmialiśmy się obaj, byłem zadowolony, że wszystko udało się ustalić tak szybko.

Następnego dnia, choć w nocy padało, był rześki, czysty poranek. Przywiózł ją samochodem, młodą damę w spodniach do jazdy konnej. Przedstawił nas sobie, obejrzelśmy konia, angielskiego hackneya o długich nogach, a potem powiedział coś w rodzaju: powierzam ją pańskiej opiece. Pocałował ją w policzek i odjechał swoim autem z rozsuwanym dachem, na zakręcie jeszcze nam pomachał. Koń miał na imię Lord, jakżeby inaczej, pomyślałem, co innego mogłaby wymyślić bogata młoda dama. Był piękny, kiedy go pogłaskałem, lekko cofnął głowę, ale szybko nabrał do mnie zaufania, miał wysoki krok, pięknie trzymał głowę i ogon. Powiedziałem jej, że rekrutów, którzy mają zamiar zostać jeźdźcami, najpierw uprzedzam, że szkoła jazdy konnej nie zaczyna się od samej jazdy, tylko od zgrzebła i kopytki do czyszczenia kopyt.

A ona na to, że nie jest moim rekrutem.

Przez chwilę milczałem, przez chwilę było mi żal, że zgodziłem się na to zadanie specjalne. To prawda, odparłem, ale konia zawsze trzeba wyczyścić, zanim się go dosiadzie. Sierść koni, które przeważnie stoją w stajni, gdzie jest mało światła, należy pielęgnować codziennie, nawet jeśli się na nich nie jeździ. A dlaczego stoją w stajni, spytała, dlaczego nie biegają na wolności? Dlaczego stoją w stajni? Jeszcze nigdy nikt mnie o to nie pytał. Konie są wolnymi stworzeniami, oświadczyła, bardziej niż ludzie, powinniśmy im pozwolić na bieganie po łąkach i lasach. Ale wtedy nie mogliśmy jeździć konno, powiedziałem, i sami ciągnęlibyśmy różne pojazdy i wozy, także armaty, w wojsku nie byłoby szlachetnej, starej formacji, która nazywa się kawalerią i do której mam zaszczyt należeć. Nie byłoby rozstawionej w wielu bitwach kawalerii angielskiej i francuskiej, a zwłaszcza nieustraszonych polskich ułanów. Ułani nie zrobili na niej żadnego wrażenia. To, że ciągnięcie konie na wojnę, jest po prostu niedopuszczalne, oburzyła się, i nieodpowiedzialne, przecież może je zranić jakaś bomba. Nie bomba, tylko granat, powiedziałem, granat. Bomby zrzuca się z samolotów na fortyfikacje, a granaty miota na piechotę, kawalerię również.

Ale dlaczego? syknęła, co za nonsens.

Już na samym początku uwikłaliśmy się w dyskusję na temat koni i kawalerii. Uznałem, że to prowadzi donikąd. Przestałem słuchać jej uwag, pokazałem, jak należy założyć Lordowi uzdę stajenną, a potem jak delikatnie szcztokować jego głowę między uszami i wzdłuż linii czoła, wreszcie jak używać zgrzebła. Zaczęła się nudzić. Kiedy zacznę jeździć? spytała. Na końcu języka miałem odpowiedź, że o to samo pyta każdy głupi rekrut, lecz powiedziałem tylko, że zrezygnuję z udzielania lekcji, jeśli nie zamierza współpracować. Spojrzała na mnie z powagą, widziałem, że też ma na końcu języka jakąś ciętą odpowiedź. Dobrze, proszę mi pokazać, jak się czyści kopyta, ale chyba nie sądzi pan, że będę to robiła! Pogłaskała konia, jej zdaniem konie były do głaskania, jak koty, Lord popatrzył na nią z wdzięcznością, a ja zacisnąłem zęby i mówiłem dalej. Obserwowała mnie ze skrzyżowanymi rękami. Widzę, odezwała się po pewnym czasie, że potrafi pan obchodzić się z końmi. Wyjaśniłem jej, że koń czuje i wie, kiedy człowiek zachowuje się wobec niego przyjaźnie, w przeciwnym razie się buntuje. Proszę sobie wyobrazić, łaskawa pani, powiedziałem najłagodniej, jak potrafiłem, proszę sobie wyobrazić, że koń odmawia posłuszeństwa, kiedy powinien ruszyć do ataku. Takie rzeczy mówi pan rekrutom? Tak, właśnie takie. Czyli dobrze pan traktuje konia tylko dlatego, żeby go potem pognać pod te bomby i granaty. Odparłem gniewnie, że sami też pędzimy do ataku, w bitwie nad Kolubarą padły tysiące żołnierzy.

Ale dlaczego? spytała niewinnym głosem, w którym jednak pobrzmiwała nuta złości.

Za króla, powiedziałem, za króla i ojczyznę.

Parskając jak koń, zaśmiała się ironicznie.

Następnego ranka zameldowałem się u majora Ilicia. Poprosiłem go o zwolnienie z obowiązku. Chciał wiedzieć, w czym tkwi problem. Szanowna pani uważa, że kawaleria to, przepraszam za słowo, nonsens. Tak uważa? Tak, a ponadto mówi, że nie jest moim rekrutem. Ilic się roześmiał. To prawda, nie jest twoim rekrutem, mój drogi panie Radovanović. Z prawdziwymi da-

mami, i w ogóle z kobietami, trzeba postępować inaczej niż z rekrutami, dodał. Wyrzał przez okno. Czy ci wspomniała, spytał po pewnym czasie, że studiowała w Berlinie? O tym nie było mowy. Jest wykształcona, ty też możesz się od niej czegoś nauczyć. A poza tym – milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy ma to powiedzieć – prawdę mówiąc, młoda dama jest... jak by to ująć, dość niezwykłą osobą. Mój przyjaciel Leo Zarnik, jej mąż, opowiadał mi, że kilka dni temu pojechała pociągiem do Suška. Nikt nie wiedział, gdzie jest, a ona oświadczyła po powrocie, że pojechała wykąpać się w morzu. Wyobrażasz to sobie? Wzruszyłem ramionami, ta informacja nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia, miałem zamiar zajmować się tą panią tylko w takim stopniu, w jakim mi polecono. Zadanie jednak nie było łatwe. Jej dziadek, mówił dalej Ilić, podobno zbudował pół Rijecki, byłeś w Rijece? Jak to, spytałem, przecież tam są teraz Włosi. Tak, odparł Ilić, ale kiedyś wrócimy. Wszystko, co widać, kiedy się wpływa do portu, gmachy na wybrzeżu, kawiarnie, to wszystko należało do niego. Ci ludzie, mój panie Radovanović, są niewiarygodnie bogaci. Niewiarygodnie. A armia chce mieć z nimi dobre układy, zrozumiałeś? Zrozumiałem, boję się tylko, że szanownej pani jest to obojętne, nie chce współpracować. Jak mam ją nauczyć jazdy, skoro ona mi rozkazuje? W dodatku nie ma pojęcia, kim są ułani. Ułani? Co mają ułani do konnej jazdy? spytał Ilić i zamilkł. Po prostu jej to nie interesuje, odezwał się po chwili, interesują ją inne rzeczy. To niezwykła osoba, a poza tym, jak by tu powiedzieć, ekscentryczna. Słyszałem, że miała w domu aligatora. Spacerowała z nim na smyczy po promenadzie. Wyobrażasz to sobie? Krótko mówiąc, powiedział major, patrząc mi prosto w oczy, wiesz już wszystko. Dziękuję, odparłem, ale to nic nie pomoże. Ugryzłem się w język, bo nie powinienem był tak swobodnie rozmawiać z majorem. Spowaźniał. Co wobec tego mam powiedzieć mojemu przyjacielowi Zarnikowi? Że mój najlepszy oficer rezygnuje z zadania, bo jego żona myśli, że kawaleria to nonsens?

Nie wiem, może mu pan powie, że nie nadają się do tego i wracam do szwadronu.

Ilić jeszcze bardziej spowaźniał. Słuchajcie, poruczniku, odezwał się oficjalnym tonem, jakiego używał w kontaktach służbowych. Wy, Radovanović, nie będziecie mi rozkazywać, co mam komu powiedzieć. I nie mieliście rozprawiać z tą panią o kawalerii ani udzielać jej lekcji na temat polskich ułanów czy bitwy nad Kolubarą, tylko nauczyć ją jeździć konno. Rozumiecie? Powiedziałem, że rozumiem. Następny raport złożycie mi dopiero po wykonaniu zadania. Zameldujecie, że już po wszystkim i że dama doskonale sobie radzi. Rozumiecie? Rozumiem, panie majorze. Wyszedłem trochę przygnębiony, ale też pogodzony z losem, myśląc o młodej kobiecie, która sama jedzie do Suška i po lublańskiej promenadzie spaceruje z aligatorem na smyczy. A jeszcze bardziej o majorze Iliciu. Od niego zależała moja kariera. Czasem traktował mnie po ojcowsku, potrafił powiedzieć: Stevo, synu. Kiedy mówił do mnie wy, robiło się niebezpiecznie. Pomyślałem, że mogło się skończyć znacznie gorzej. Znałem go, to, czego doświadczyłem przed chwilą, było gniewem o średnim stopniu natężenia, w gniewie o większym nasileniu major rozkazałby cichym głosem: odmaszerować. Odmaszerować na maneż, do jasnej cholery.

Pojechałem na maneż na swoim Vrancu i umówiłem się, że zostawię go w stajni na czas nauki. Postanowiłem maksymalnie przyspieszyć jej tempo i czym prędzej skończyć. Ale tamtego ranka czekałem na próżno. Ona też się poskarżyła. Mężowi. Nie wychodząc z samochodu, powiedział mi, że jego żona zdecydowanie domaga się cywilnego nauczyciela. On jednak nie chce urazić majora Ilicia, który polecił mu swojego najlepszego oficera, wobec czego oczekuje ode mnie, że będę się zachowywał jak dżentelmen, że ją przeproszę i jak dżentelmen doprowadzę naukę do końca. Od jutra znowu się spotykacie, oświadczył i odjechał z ręką opartą na drzwiach samochodu, a wiatr rozwiewał mu jasne włosy.

Tak więc już na początku oboje chcieliśmy zrezygnować. I może właśnie dlatego potem było łatwiej. Przeprosiłem: ...jeśli szanowną panią uraziły moje słowa, że najpierw mówię rekrutom... i pomyślała pani, że traktuję ją jak rekruta... jednak w rzeczy samej... Ach, to nie ma znaczenia, roześmiała się, proszę dać mi to zgrzebło. Taka była Veronika. Jej nastrój potrafił się zmienić w jednej chwili. Podałem jej zgrzebło. Znowu się zaśmiała i z wielkim entuzjazmem zaczęła czyścić konia.

Od tej pory unikaliśmy rozmów o rekrutach, atakach kawalerii, bombach i bitwie nad Kolubarą. Wkrótce poświęciliśmy się siodłaniu konia, a po kilku dniach prawidłowemu dosiadowi

i właściwej pozycji ciała, operowaniu wodzami i pierwszym krokom. Młoda dama robiła szybkie postępy. Najwyraźniej dotarło do niej, że podstawą jazdy konnej jest szeroko rozumiana relacja między koniem i jeźdźcem, jeszcze wcześniej natomiast między uczniem i nauczycielem. Żeby się nauczyć, jak postępować z koniem, nie wystarczy opanować technikę jazdy, trzeba zdobyć jego zaufanie, a przedtem zaufać nauczycielowi, jeśli chcemy, aby koń zaufał nam. Nie mówiłem jej tego, co mówię rekrutom, na przykład że należy bezwzględnie wykonywać rozkazy nauczyciela, jeśli chcemy, by koń wykonywał nasze. Chyba zaczynała powoli rozumieć tę trójstopniową relację subordynacji. Na szczęście nie chciała o tym dyskutować, co na pewno skończyłoby się kolejną kłótnią. A kiedy pewnego przedpołudnia usiedliśmy na trawie i poprosiła, żebym jej opowiedział o koniach, odetchnąłem z ulgą. Ale co? Wszystko, co wiem. To będzie długa historia, odparłem, bo dużo wiem o tych zwierzętach. No to proszę dużo opowiedzieć, uśmiechnęła się, czy to prawda, że kiedyś, w czasach prehistorycznych, koń był tak mały jak pies? Prawda, był niewielki, żył w lasach Syberii i środkowej Europy, a teraz jest dużym, pięknym zwierzęciem, jak Vranac i Lord. Opowiadałem jej o arabach i lipicanerach, o haflingerach i koniach hanowerskich, opowiadałem o dzieciństwie wśród koni mojego ojca, które pojawiały się i znikwały, Vranca sam wychowałem, udało mi się go zabrać do wojska, a potem przewieźć z Valjeva do Lublany... O ułanach i bitwach, w których zabijają nie tylko jeźdźców, ale też konie, już nie mówiłem.

Myśli pan, że rozumieją naprawdę? spytała. Patrzą tak, jakby rozumiały człowieka.

Jeśli aligator rozumie człowieka... powiedziałem ostrożnie, to pewnie i koń go rozumie.

Roześmiała się, pan też o tym słyszał? Oczywiście, a są tacy, co nie słyszeli? Całkiem miły był ten aligatorek. Nie mogłam zostawić go w domu samego, więc czasem zabierałam go na spacer po mieście. Znów wybuchnęła śmiechem, z pewnością przypomniawszy sobie, jaką atrakcją był dla zdumionych spacerowiczów. Ale nie każdego rozumiał, mojego męża na pewno nie. A wie pan i to, że ugryzł go w wannie, kiedy się kąpał? Przez to musiał wynieść się z domu, aligator rzecz jasna. Zaśmiała się, po chwili jednak dodała już poważnym tonem: Leo zawiózł go do weterynarza. Teraz jest wypchany. Niestety, nie można było inaczej.

Nie zapytałem, w co aligator ugryzł jej męża. Czulem niesmak i odrazę na myśl o tym zwierzęciu w ich wannie. Kiedy wyobrażałem sobie, jak prowadzi aligatorka na smyczy po promenadzie, jak to zwierzę, przyzwyczajone do zupełnie innego środowiska, drepcze za nią... i tłumy gapiów; obraz drapieżnika, mieszkańca mokradeł, w łazience, w wannie, wydał mi się absolutnie obrzydliwy. Nie rozumiem tego świata ani tych ludzi. O małej bestii mówiła jak o kocie. Wyglądała na smutną, ponieważ trzeba było go uśpić. A aligator, który musiał żyć w ich luksusowym mieszkaniu, żadną miarą nie pasował mi do tego, co mówiła o koniach, wolnych zwierzętach. Nie powiedziałem jej tego, nie chciałem nowej kłótni, pogodziłem się z myślą, że młoda dama jest, jak twierdził major Ilić, osobą niezwykłą i jak to się często dzieje w przypadku bogatych ludzi, również nieco ekscentryczną. Było w niej wiele sprzeczności, co objawiało się choćby zmiennością nastrojów, przypominała pogodę w kwietniu, czasem promienna i roześmiana, kiedy indziej smutna i nieobecna duchem, zdarzało się też, że nie słyszała, co do niej mówię. Nie mogłem jednak zajmować się jej humorami, przynajmniej jeszcze nie wtedy. Pochodziliśmy z dwóch różnych światów, dwoje ludzi, którzy spotkali się przypadkiem, a za miesiąc, albo nawet przed upływem miesiąca, ona wyjedzie ze swoim mężem, ja natomiast wrócę do koszar, do swojego szwadronu. Chociaż nasze spotkania przypominały już prawdziwą szkołę jazdy konnej, chociaż rozumieliśmy się coraz lepiej i każdego ranka łapałem się na tym, że cieszy mnie myśl o spotkaniu z nią, to jednak nie mogłem doczekać się końca.

A konie kochała naprawdę. Może nawet bardziej niż ludzi. Z czasem zacząłem rozumieć, dlaczego tak się oburzyła, słysząc, że my, żołnierze, gnamy konie w ogień bomb, to znaczy granatów. Nadeszły ostatnie dni sierpnia, powoli zbliżała się jesień. Rano meldowałem się w koszarach, gdzie oficerowie dokuczali mi dwuznacznymi żartami na temat mojego podwójnego życia, przedpołudnia spędzałem w ujeżdżalni z nią i z naszymi końmi. Z jej mężem zamieniałem ledwie kilka słów, kiedy przyjeżdżał po Veronikę, co jednak zdarzało się coraz rzadziej, bo coraz częściej przywoził ją i odwoził ich szofer. Leo Zarnik był podobno bardzo zajęty, nie tylko interesami, ale też strzelaniem do dzików i saren. Mojej uczennicy najwyraźniej nie przeszkadzało, że zabija

zwierzęta. Przeszkadzało jej, że ciągniemy konie na wojnę, gdzie mogą zginąć od bomb, to znaczy granatów. Widziałem, że Leo Zarnik wozi strzelby na tylnym siedzeniu auta, kiedyś powiedział, że zaprosi mnie na strzelnicę. Ale jeszcze w tej samej chwili zapomniał o zaproszeniu.

Gdy pierwszy raz przejechaliśmy razem kilka okrążeń na manezju, ona na Lordzie, ja na Vrancu, a potem zgrabnie zsiadła z konia, zacząłem bić brawo. Przyznaję, droga pani, nie spodziewałem się tak szybkich postępów. Właściwie można powiedzieć, że już potrafi pani jeździć. No i Lord traktuje panią całkiem dobrze.

Wydaje mi się, że lepiej niż pan.

Przepraszam, miałem na myśli to, że zachowuje się jak wobec swojej pani. Co za głupie słowo, pani, parsknęła. Tak to jest z koniem, tłumaczyłem dalej, kiedy zacznie słuchać komend i rozumieć pani słowa. A w jaki sposób można to osiągnąć? spytała. Trzeba z nim rozmawiać, dotykać go, wtedy między człowiekiem i koniem rodzi się silna więź... Dłuższą chwilę patrzyła na mnie, po czym powiedziała: jak między dwojgiem ludzi? Tak, odparłem, prawie tak samo.

Następnego dnia rano przyjechała w dziwnym nastroju. Pomyślałem, że ma za sobą trudną małżeńską noc przez tę wycieczkę do Suška albo z powodu nowego aligatora, powód był jednak inny. Zastanawiałam się nad tym, co wczoraj opowiadał pan o koniach i ludziach, że trzeba rozmawiać. My właściwie nie rozmawiamy ze sobą, stwierdziła. To prawda, szanowna pani, przytaknąłem. Ale o koniach mówiliśmy już całkiem sporo.

Roześmiała się, niech pan da spokój z tą szanowną panią, Stevan, powiedziała, patrząc nieobecny wzrokiem na drugi brzeg Sawy, gdzie zieleniły się zbocza gór. Nie ma pan dziewczyny, Stevan? Mam. Od razu pomyślałem, że nie jest to wcale takie pewne. Prawdę mówiąc, nie wiem, miałem dziewczynę w Valjevie, czasem jeszcze do mnie pisze. Jak ma na imię? spytała. Jelica. Czy jest ładna? Wzruszyłem ramionami, mnie wydawała się ładna. Ma kasztanowe włosy, dodałem zakłopotany.

A jak Jelica mówi do ciebie?

Stevo.

Dobrze, Stevo, czy mogę mówić do ciebie jak twoja Jelica?

Zatkało mnie ze zdumienia. Jestem Veronika, oświadczyła, możesz do mnie mówić po imieniu. Rozumiem, pani Veroniko, powiedziałem, jakbym odpowiadał majorowi Iliciowi. Żadna pani, tylko Veronika. Rozumiem, Veroniko. To dobrze, że rozumiesz.

Jednak niezupełnie rozumiałem, przynajmniej wtedy. Może ona też nie rozumiała. Ale coś już się działo. Zaczęliśmy rozmawiać o innych sprawach, nie tylko o koniach. Ja opowiadałem jej o Šumadii, bezkresnych zielonych zboczach i wsiach z drewnianymi chatami, o przesądach i wesełach. O chłopach, którzy przeżyli front salonicki². O akademii wojskowej. Ona opowiadała mi o Berlinie, studiowała tam dwa lata, koresponduje z przyjaciółkami, które piszą jej o teatrach i kawiarniach, statkach i żaglówkach na jakimś jeziorze. Kocha to wielkie miasto, gdzie jest czyste powietrze. Życie w Lublanie ją nudzi. Wszyscy się znają i nikt nikogo nie lubi. Dlatego czasem ucieka, na przykład jedzie pociągiem nad morze. Co o tym myśli jej Leo, tego nie powiedziała. Nie mówiła też o swojej rodzinie, tylko trochę o mamie, która po jej przeprowadzce do Leona została sama w dużym mieszkaniu. Mama Josipina żyje wspomnieniami z Rijeki, bo wcześniej mieszkała w tym mieście i tam zmarł jej mąż, ojciec Veroniki, na imię miał Peter, jak nasz młody król³. Mama ma jasne włosy, jak ona, Veronika, choć już trochę siwieje. Lubiła tańczyć, kiedy mieszkali w Rijecie. Nazywano ją *bionda*. Kiedyś mnie jej przedstawi, uważa, że się jej spodoba.

Ludzie, którzy tyle czasu spędzają razem, stają się sobie bliscy, ale mogą się też znienawidzić, przynajmniej na początku zapowiadało się na to, chociaż to pierwsze jest bardziej prawdopodobne. My zbliżyliśmy się do siebie. I to bardzo.

Teraz jestem w Palmanova. Patrzę na swoją twarz w posklejanym lustrze, na fragmenty twarzy i skronie pokryte bardzo wczesną jak na mój wiek siwizną. Z przodu brakuje mi zęba, w miejscu po nim widać okropną szczerbę, wargi są pokancerowane. To niemal cud, że pierwszy raz zostałem ranny dopiero pod koniec wojny, gdzieś nad Idriją, zanim wycofaliśmy się na równinę Friuli i znaleźliśmy się w tym obozie, my, jeszcze do wczoraj towarzysze broni, dzisiaj tylko jeńcy, ogromna masa ludzi, dwadzieścia tysięcy żołnierzy i oficerów, którzy całkiem niedawno walczyli

z bronią w rękę, a teraz wałęsają się bez celu między barakami i namiotami. Pokonana armia. Armia po klęsce. Armia bez państwa. Z fotografią młodego króla na ścianie baraku, króla, którego nie było przy nas, gdyśmy się bili o jego królestwo, a dziś, kiedy jego armia jest w niewoli, spaceruje sobie po londyńskim parku ze swoimi psami. Albo popija herbatę. Albo słucha w radiu komentarzy na temat ostatniego przemówienia tego rosyjskiego szpiega o dziwnym imieniu Tito, byłego kaprała armii austriackiej, chorwackiego chłopca, który wprowadził się do jego królewskiej rezydencji na Dedinju. Przechodząc koło fotografii króla, spuszczam wzrok. Gdybym spojrział mu w oczy, musiałbym go zapytać, gdzie się podziewał, kiedy my, jego żołnierze, brnęliśmy przez błoto i krew. Jego dziad, jego ojciec, obaj w razie potrzeby byli ze swoim wojskiem, odziani w szynele w środku bałkańskiej zimy, pośród armat i koni. On przez całą wojnę przechadzał się po parku w Londynie i nadal się tam przechadza. Nie chcę spojrzeć mu w oczy, żeby nie poczuć gniewu, a nawet pogardy. Wolę patrzeć w ziemię. Czasem mam wrażenie, że my wszyscy w Palmanova bez przerwy wpatrujemy się w ziemię, całe dwadzieścia tysięcy mężczyzn, upokorzonych i okrytych hańbą. A nocą w gwiazdy. I nie rozumiemy, co się nam przydarzyło.

Kiedy patrzę w rozgwieżdżone majowe niebo, często zastanawiam się, czy ona też patrzy w gwiazdy. Jeśli wciąż mieszka w tym zamku, który kupił jej mąż, pewnie widzi to samo niebo, tylko dwieście kilometrów od tego miejsca. Na moment ogarnęło mnie złowróżbne przecucie: co mogła znaczyć jej żywa obecność tej nocy? W moich stronach ludzie wierzą, że dusze zmarłych błądzą po świecie. Czy coś się jej stało? Była wojna. Szybko odpędziłem tę myśl, na pewno dała sobie radę, jeśli nie ona, to jej Leo. Taki człowiek zawsze sobie poradzi. Może już nie mieszkają na zamku, bo komuniści, którzy teraz rządzą po tamtej stronie granicy, nie przepadają wprawdzie za właścicielami takich budowli, ale lubią ich majątki. Kilka dni temu byłem w sąsiednim obozie, gdzie umieszczono słoweńskich domobranów⁴. Pytałem, czy ktoś zna Leona Zarnika. Oczywiście on mnie w ogóle nie obchodzi, chciałem się tylko dowiedzieć o nią. Jakiś oficer powiedział, że na pewno jest w Karyntii, w Austrii. Ze Słowenii przedostało się tam w maju mnóstwo ludzi, Zarnik musiał być wśród nich, nie był taki głupi, żeby czekać na komunistów. Jeśli Zarnik, jej mąż, jest w Austrii, to musi tam być również ona. Uspokoilem się. Jej nocna wizyta może oznaczać coś innego – jeśli błądzą dusze zmarłych, dlaczego nie miałyby błądzić także dusze żywych? Tych, którzy byli sobie bardzo bliscy, a potem ich rozłączono. Może i moja dusza powędruje kiedyś do niej; patrząc w mrugające gwiazdy nad równiną Friuli, myślę o niej, która patrzy w gwiazdy mrugające nad szczytami Alp. Z okien zamku w Górnej Krainie. A jeśli już jej tam nie ma, może z drugiej strony Karawanek.

Czy czasem wspomina te sierpniowe dni, które spędzała na przejażdżkach brzegiem Sawy ze swoim nauczycielem jazdy konnej?

Bardzo zbliżyliśmy się w tym sierpniu trzydziestego siódmego roku. Tego dnia, gdy spytała, jak ma na imię moja dziewczyna, byliśmy sobie już tak bliscy, że mogło to prowadzić tylko do jeszcze większej bliskości. Początkowo spędzaliśmy razem jedynie przedpołudnia, a potem już całe dni. Jazda konna sprawiała jej coraz większą radość. Nie chciałem, żeby wiedziała, jak cieszą się rekruci, którzy w trakcie pierwszego biegu nie spadli z końskiego grzbietu i w dodatku koń ich słuchał, zatrzymując się na komendę. Prawidłowy dosiad, umiejętne manewrowanie wodzami, skręcanie koniem, balansowanie ciałem, każdy nowy element przyswajała bez najmniejszego trudu. I w lot pojęła, że można porozumiewać się z koniem: kroook, kluuus, stóóój. Tylko do ostróg i pejcza nie mogłem jej przekonać. Wyjaśniłem, że używanie ich w czasie jazdy jest równie ważne jak porozumiewanie się z koniem ruchem i głosem. Jej Lord miał już za sobą podstawowe szkolenie, więc sprawa była prostsza. Kiedy upewniła się, że jej słucha, a po którejś lekcji przyjaźnie, swawolnie stuknął ją głową w ramię, była naprawdę wzruszona. Czy to możliwe? spytała, naprawdę mnie rozumie?! Zademontrowałem jej na Vrancu atak z szablą w rękę, oczywiście pozorując, bez szabli, by jej nie przypominać, że szabla służy do zabijania. Kiedy zsiadłem z konia, zaczęła bić brawo. Coś takiego, zawołała, jesteście jak jedno stworzenie!

Całe dni były nasze, obiady też jadaliśmy razem, w okolicznych gospodach, pod kasztanowcami. Późnym popołudniem przyjeżdżał po nią szofer i czekał, obojętnym wzrokiem wpatrując się w góry gdzieś na horyzoncie, a my staliśmy przy samochodzie, nie mogąc się rozstać, i rozmawia-

liśmy o wydarzeniach całego dnia, o ćwiczeniach i koniach.

Prawdę mówiąc, pytanie o imię mojej dziewczyny wcale mnie nie zaskoczyło. Jelica. A jak do ciebie mówi Jelica? Stevo. No więc, Stevo, jestem Veronika, nie żadna pani, tylko Veronika, rozumiesz? Dobrze, że rozumiesz. Rozumiałem, że zaczęło się coś, co od początku było nieuniknione. Kiedy jechaliśmy nad Sawą albo szliśmy skrajem lasu, prowadząc konie za uzdy. Kiedy siedzieliśmy na trawie i rozmawialiśmy o koniach, które dawno temu były małe jak psy, a teraz są duże, mądre i bardziej wolne niż człowiek.

Bo człowiek nie jest wolny, powiedziała, przynajmniej ja nie jestem.

Wstała i zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem po trawie. A ty jeszcze mniej, dodała, ty jeszcze mniej jesteś wolny w tych swoich koszarach.

Nie mogłem tego pojąć. Dlaczego człowiek nie jest wolny? Dlaczego ona nie jest wolna? O koszarach mówiła jak o więzieniu. Nigdy nie uważałem, że zawód żołnierza odbiera wolność. Wyjaśniłem jej, że widzę to inaczej, tak zresztą myślę i dzisiaj: w granicach reguł, a te należy szanować, jest całkiem dużo swobody dla człowieka, który myśli, czyta, zajmuje się historią wojskowości i jeździ po łąkach. Zamyśliła się. Może masz rację, powiedziała, jeśli wyznaczysz sobie jakąś miarę, własną miarę, i będzie ci ona odpowiadać. Mnie cały czas wyznacza się granice, wytycza niewidzialne linie, których nie wolno przekroczyć, a dalej jest już inny, nie mój świat. Pomyślałem, że mój świat też nie jest jej światem. I usłyszałem głos majora Illica mówiącego o honorze oficera.

Pewnego popołudnia wkroczyła w świat, który nie był jej światem. W mój świat. Choć mógłbym powiedzieć, że wkroczyła w nasz świat. Chwila, w której przestąpiła linię oddzielającą jej życie z Leonem Zarnikiem od życia oficera kawalerii, zapowiadała, że wszystko się zmieni. Ale nie mogliśmy tego wiedzieć, ponieważ ani ona, ani ja nie zastanawialiśmy się jeszcze nad przyszłością. Nad wspólnym życiem w kwaterze dla wojskowych niedaleko jakichś koszar w południowej Serbii.

Po obiedzie jechaliśmy wolno skrajem lasu.

Czy nie można by trochę szybciej? spytała niespodziewanie, uderzając Lorda pejcem po zadzie. Koń zadrżał pod nią, jakby się obudził, po chwili już galopował. Uniosła się w siodle, prądowymi ruchami ciała zachęcała go do coraz szybszego biegu. Ruszyłem za nią, dogoniłem ją na rozległej łące. Krzyknąłem z podziwem: jeździsz jak polski ułan. Roześmiała się, ułanka, zawołała, polska ułanka. Skręciła w zacienioną dróżkę, która prowadziła w głąb lasu, trochę się przestraszyłem, że jakaś gałąź uderzy ją i strąci z konia, ale ona panowała nad nim całkowicie, na leśnej polance uspokoiła go rozkazującym głosem i poklepywaniem i zgrabnie zeskoczyła z końskiego grzbietu.

Gdybyś była moim rekrutem, powiedziałem, byłbym z ciebie dumny. I z siebie też.

Jeszcze kilka tygodni temu złościła się, gdy wspomniałem rekrutów. Teraz uśmiechnęła się tylko.

To znaczy, stwierdziła, że twój rekrut zakończył szkolenie.

Można by to tak ująć, chyba że chciałabyś się jeszcze nauczyć strzelać.

Wyjaśniłem jej, że w tym punkcie rekruci mogą rozpocząć szkolenie bojowe: strzelanie w trakcie jazdy, użycie szabli, atak i odwrót. Ale jeśli chodzi o naszą naukę, to koniec.

Koniec? spytała zdziwiona.

Potem usiedliśmy na trawie. Myślałem, że zaczniesz jedną z tych swoich rozmów o koniach i wolności, jednak tego popołudnia w milczeniu spoglądała trochę nieobecny wzrokiem gdzieś za Sawę, w stronę długich cieni, które kładły się na zbocze tonące w delikatnej roślinności. Nieoczekiwanie położyła mi na kolanach głowę i spojrzała prosto w oczy. Można? spytała. Jakbym mógł pozwolić na coś takiego. Albo nie pozwolić. Co by teraz powiedziała Jelica? dopytywała się Veronika. Byłoby lepiej, pomyślałem, gdyby wyobraziła sobie, jaka może być reakcja Leona, jej męża. Jelica była daleko, w Valjevie, minął miesiąc od jej ostatniego listu, w którym nie pisała już „ach, jak jesteś daleko, jak bardzo mi Ciebie brakuje”, lecz tylko „mam nadzieję, że jest ci dobrze w Słowenii, że niedługo dostaniesz awans i przyjedziesz z gwiazdkami kapitana drugiej klasy, twój ojciec będzie z Ciebie bardzo dumny”. Jelica była daleko, a jej mąż blisko, pewnie już tego wieczoru przyjedzie swoim sportowym autem, w białym garniturze, już tego wieczoru spyta, czy duże postępy robi nasza amazonka. Pogłaszcz mnie po włosach, w jej głosie brzmiał rozkaz. Wiem, że tego

chcesz, dodała, kiedy się zawahałem. Przed oczami stanął mi major Ilić, honor oficera, powiedział, honor oficera. Ale automatyczny ruch mojej ręki, którego nie mogłem powstrzymać, był silniejszy od honoru oficera. Oficerowi nie wolno wykorzystywać w prywatnym celu nawet najbardziej oddanego i głupiego rekruta, a co dopiero powierzonej mu uczennicy, a co dopiero zamężnej kobiety, żony przyjaciela majora, jednej z ważniejszych postaci z wyższych sfer, który to fakt wyznaczył niewidzialne granice, i dlatego Veronika czuła się jak w niewoli.

Na szczęście nie pojawił się wieczorem. Tego, co się wydarzyło, nie dałoby się ukryć. Oduńczyło nas to popołudnie, byliśmy innymi ludźmi. Nawet szofer, który przestępował z nogi na nogę przy otwartych drzwiach samochodu, gapiąc się w nieokreślony punkt na zboczach, kiedy my nie mogliśmy się rozstać, na pewno zrozumiał, co się dzieje. Wreszcie pojechali, długo machała mi białą chusteczką, którą potem, na zakręcie, zanim zniknęli mi z oczu, wypuściła z ręki. Pobiegłem, żeby ją podnieść.

Naukę jazdy przedłużyliśmy bez żadnej specjalnej umowy. Mieliśmy dwa tygodnie na wspaniałe jesienne przejażdżki i dla siebie. Dwa tygodnie we wrześniu, kiedy w okolicach Lublany prawie do samego południa unoszą się nad ziemią delikatne mgły, a ponad nimi wyrastają żółte drzewa. Na leśnych polanach Vranac i Lord wydmuchiwały nozdrzami kłęby pary, deptały opadłe liście i kopytami rozbryzgiwały błoto na rozmiękłych drogach. Albo w przedpołudniowym słońcu, które około jedenastej ostatecznie rozprasza białą mgłę, przywiązane do drzewa, z zadowoleniem kiwały głowami, podczas gdy my leżeliśmy na leśnym mchu, ona by powiedziała: wolni, wolni, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie. Przynajmniej w tej części świata.

Bo w ledwie przeczuwanej oddali gromadziły się chmury nadciągającej burzy, w Niemczech odbywały się marsze i wiece, we Włoszech sądy doraźne skazywały słoweńskich patriotów, na porannych apelach w koszarach słyszałem, że armia królewska szykuje się do wielkich jesiennych manewrów, podczas których ma pokazać, że jest gotowa na wszystko. Gdyby nie stało się to, co się stało między mną a Veroniką, byłbym zaniepokojony, pospiesznie ćwiczyłbym mój szwadron, na wieść o manewrach szybciej biłoby mi serce, ponieważ jest to czas, kiedy oficer mojego pokroju, a więc każdy dobry oficer, prezentuje wszystko, co potrafi. Możliwość awansu to efekt uboczny, mówi się o tym, gdy manewry się skończą, ale podczas przygotowań do wymarszu nikt sobie nie zaprzęta tym głowy, rzecz jest podniecająca sama z siebie. Teraz nie interesowało mnie to wcale. Serce biło mi szybciej, kiedy widziałem Štepanją vas, serce biło mi szybciej, bo wiedziało, że będzie biło jeszcze szybciej, kiedy pojawi się tam ona, i że uspokoi się, kiedy padną pierwsze słowa, ponieważ znów jesteśmy razem, tylko my dwoje, wolni, z naszą tajemnicą. Nie wiem, jak to zrobiła, a może był to tylko szczęśliwy przypadek: przez te dwa tygodnie nie widziałem jej męża, rano przywoził ją szofer, pod wieczór, czasem już po zmierzchu, czekał cierpliwie, aż wrócimy. Teraz odwoził do domu i mnie. Najpierw była moja kolej, miałem niewielkie mieszkanie na lublańskim przedmieściu Polje, potem jechał z nią do centrum miasta. I znosił nasze długie pożegnania. Nie wiem, co zrobiła, że ten człowiek zachowywał milczenie.

Pewnego dnia, gdy wracaliśmy autem, był późny wieczór, a właściwie już prawie noc, powiedziała, że chce zobaczyć, gdzie mieszkam. Poczuję się zmieszany. Moje mieszkanie było skromne: pokój i niewielka kuchnia, ubicajca na korytarzu. W tym jednopiętrowym domu zakwaterowani też byli inni oficerowie, drzwi na długim zawilgoconym korytarzu otwierały się często, gdy wychodziłem lub przychodziłem, zawsze pokazywała się głowa jakiegoś oficera, jego żony lub dziecka. Korytarz był miejscem spotkań towarzyskich, lubiliśmy tam stać i rozmawiać, nikt nie miał przed innymi poważniejszych tajemnic. Mieszkało nas w tym domu trzech kawalerów i dwóch chorążych z żonami i gromadką dzieci. Nie byłem zachwycony pomysłem Veroniki, nie chciałem, żeby zobaczyła moje kawalerskie mieszkanie, mieszkanie żołnierza, żeby otwierały się drzwi na korytarz albo okna na podwórze i żeby towarzyszyły nam ciekawskie, a jednocześnie wszystko-wiedzące, wymowne spojrzenia. Wiedziałem, że już jutro w koszarach będzie się mówiło o damskiej wizycie. Ale ona się uparła. I wyszła dopiero koło północy. Później spytałem ją, jak to zrobiła, że Lojze, tak miał na imię szofer, nie zdradził nikomu, co się działo. Mógłby przecież stracić pracę, czy go przekupiła? To nie w moim stylu, odparła urażona, a potem uśmiechnęła się promiennie: to tylko mój urok. Powiedziałbym, nawet więcej niż urok. Miała w sobie coś, co sprawiało, że kochali

ją szofer, oba konie i młody porucznik kawalerii, któremu z powodu jej jasnych włosów, śmiechu, dotyków i pocałunków kręciło się w głowie tak, że zapomniał o koszarach, o swoim szwadronie i manewrach, o oficerach, z którymi mieszkał, i o honorze oficera, o którym mówił mu major Ilić.

Pewnie kochali ją też ten jej aligator i Leo, jej mąż.

Nie widziałem go od dwóch tygodni, ale to nie znaczyło, że go nie ma. I jeśli we wrześniu trzydziestego siódmego roku nie istniało dla nas nic innego, byliśmy tylko my i nasze konie, to też wcale nie znaczyło, że świat wokół nas nie istnieje. Albo że staliśmy się w nim niewidzialni. W sympatycznej gospodzie Pod Kasztanami, do której jeździliśmy na obiad, byliśmy znaną parą. Oczywiście nie byłoby w tym nic złego, że po przedpołudniowej przejażdżce nauczyciel jazdy konnej i jego uczennica wpadają razem coś zjeść, gdyby Veronika z taką radością nie przekraczała niewidzialnych granic, o których mówiła dawniej. W obecności kelnera czekającego przy naszym stoliku na zamówienie, zupełnie nie zwracając na niego uwagi, powiedziała głośno: mój mąż jest okropnie zazdrosny, na tylnym siedzeniu auta zawsze wozi strzelbę.

Spostrzegłem kątem oka, że kelner zdrętwiał. Chciałem ją ostrzec, nie byliśmy przecież sami. Ale Veronika świetnie się bawiła: panie poruczniku! Przecież prędzej pan by go zastrzelił niż on nas, prawda?

Kelner oddalił się pospiesznie, żeby nie słyszeć niebezpiecznej rozmowy albo żeby go przypadkiem nie wezwano potem do sądu na świadka, Veronika śmiała się rozradowana. Dobry żart, stwierdziła, biedny kelner, aż zeszytniał. I ty też, panie poruczniku. Co z ciebie za żołnierz, skoro boisz się strzelby!

Nie bałem się strzelby, bałem się o nią. Cały ogródek w gospodzie gapił się na nas, kiedy głośno oświadczyła, że ma ochotę potargać mi włosy. Gwałtownie wstała od stołu, rozlewając przy tym wino. Łaskawa pani, powiedział kelner, który przybiegł z serwetką, każdemu może się zdarzyć. Czy nie wygląda lepiej z trochę potarganymi włosami? spytała kelnera, który, znów najwyraźniej mocno zakłopotany, nerwowo wycierał stół, podczas gdy ona głaaskała mnie po głowie. Siedziałem skamieniały jak posąg, na karku czułem spojrzenia przyzwoitych lublańskich mieszczan, widziałem usta szanownych pań i panów, które cicho cedziły zjadliwe słowa o skandalu na oczach wszystkich gości. Bałem się o nią, bo wiedziałem, że to się nie może dobrze skończyć. I oczywiście nie skończyło się dobrze.

Tamtego wieczoru, gdy wracaliśmy do domu, powiedziałem jej, że tak dalej nie można. Jej mąż i cała rodzina dowiedzą się wkrótce, że coś jest między nami, jeśli będzie się tak zachowywać.

A jak się zachowuję? spytała z gniewem.

Milczałem. Jeśli nie rozumie tego sama, ona, pani z lublańskich wyższych sfer, to jak mam jej to wytłumaczyć ja, oficer z Valjeva, gdzie hoduje się śliwki i upija śliwowicą, jak myśli jej szanowny małżonek. Aha, powiedziała po chwili, myślisz, że się musimy ukrywać? Przed kim? Nie odzywałem się, w końcu nie byliśmy sami, szofer Lojze prowadził auto z miną mało rozgarniętego człowieka, który nic nie wie i nic nie słyszy, ani na moment nie odrywał oczu od drogi przed sobą, czasem tylko zatrąbił na jakiś wóz, ale mimo wszystko siedzieliśmy w jednym samochodzie. Nie powinieneś się bać, ciągnęła Veronika, Leo cię nie zastrzeli. Nie jest zazdrosny. Byłem w ponurym nastroju, nic nie chciałem wiedzieć o jej mężu, o ich relacjach, nie interesowało mnie, czy jest zazdrosny, czy nie. Kiedy auto zatrzymało się przed moim domem, wysiadła razem ze mną. Rzuciła parę słów szoferowi, on wzruszył ramionami i odjechał. Jeśli chcesz się ukrywać, proszę bardzo, powiedziała. Ale ja zostanę u ciebie na noc. Staliśmy na skraju drogi, a mnie się wydawało, że stoję na skraju przepaści.

Jak teraz, kiedy w obozie pośrodku równiny Friuli spoglądam w lustro na swoją nieogoloną twarz i czuję, że jestem na dnie otchłani. Wszyscy poszliśmy na dno, na samo dno klęski, razem z naszymi chorągwiami i końmi, przysięgami i armatami, honorem i karabinami maszynowymi, tak jak miesiąc temu runął w przepaść ten polityk, Ljotić⁵, jego auto wpadło w dziurę, którą w moście zrobiła bomba lotnicza. Tylko dlatego, że jego szofer miał słaby wzrok i nie zauważył tej dziury. Ljotić wyzionął ducha w głębokim wąwozie słoweńskiego potoku, daleko od Belgradu, daleko od króla, który zresztą był w Londynie, wyzionął ducha, myśląc, że wkrótce jako zwycięzca wraz z Anglikami powróci do ojczyzny. On już nie wróci, my też nie wrócimy, a niech to wszyscy diabli!

Historia zbliża się do końca. Także historia mojego życia. Trąbka wzywa nas na apel, a mnie się nigdzie nie chce ruszyć. Słyszę biegnących żołnierzy, ledwie ich rozumiem. Jaki sens ma to wszystko, flaga na maszcie, potem niedorzeczny marsz i śpiew, żeby zachować dyscyplinę wojskową. „Maszeruje, maszeruje króla Petra gwardia”. Żeby ludzie nie myśleli o klęsce, o tym, że są w niewoli i że nie ma powrotu. Stevana Radovanovicia, porucznika, który był jednym z najbardziej zdyscyplinowanych oficerów w jednostce majora Ilicia, już nie ma. Przestały mnie interesować musztra i oddawanie honorów fladze. Nonsens. Droga Veroniko, ty byś powiedziała: nonsens. Po tym, co widziałem w Bośni, Lice i górach Słowenii tuż przed końcem wojny, cała ta musztra jest nonsensem. Zalana krwią twarz mojego przyjaciela, który zanim umarł, wycharczał z pianą na ustach: jebać tę przeklętą wojnę. Čedo był kapitanem, on też spacerował po Mariborze w błyszczących oficerkach. Też śpiewał „Maszeruje, maszeruje...”, obaj śpiewaliśmy. Kto widział umierającego przyjaciela, któremu jak koniowi po długim marszu występuje piana na usta, nie myśli już o śpiewie i oddawaniu honorów fladze w obozie dla jeńców wojennych, pokonanych i rozgromionych. Čedo przynajmniej nie musiał przeżyć tego poniżenia.

Po obozie przechadzają się angielscy oficerowie, podobno będziemy musieli stanąć przed komisjami, które stwierdzą, kto współpracował z Niemcami, kto ma ręce splamione krwią. „Maszeruje, maszeruje...” Co za bzdury, kto po czterech latach wojny nie ma zakrwawionych rąk? „... króla Petra gwardia”. Dlaczego nie pytają tego kaprała w mundurze marszałka, Josipa Broza, jeśli w ogóle tak się nazywa, tego komunisty, który rozpoczął to wszystko, zadając naszym w Serbii cios w plecy, w plecy generałowi Draży⁶? Jeszcze do niedawna Drażę Mihailovicia, naszego Čičę, który ukończył francuską akademię wojskową i pierwszy stanął do walki z Niemcami, drodzy jego sercu Anglicy sławili jako największego przywódcę ruchu oporu w Europie, a Amerykanie zamieszczali jego zdjęcia na tytułowych stronach gazet. Dlaczego tego śmiesznego Tity, co sam sobie nadał tytuł marszałka, naprawdę zaś jest austriackim kapralem, nie zapytają, czy ma krew na rękach? Kilka dni temu przemawiał w Lublanie do wielkiego tłumu. Nasi kurierzy, którzy przyjeżdżają z Jugosławii, twierdzą, że na wiec musieli spędzić ludzi, bo tam wszyscy są przeciw komunistom i wkrótce podniosą bunt. Wtedy nadejdzie nasza godzina, mówią. Dlatego w każdej chwili musimy być gotowi: gdy wzywa trąbka, stajemy pod flagą.

Tymczasem ja, zamiast pójść na plac apelowy i oddać honory fladze, nie mogę się zdecydować, czy mam się ogolić. Szczecina na twarzy, wczesne siwe włosy na skroniach, szczerba w górnej szczęce bardzo dokładnie odpowiadają mojemu nastrojowi. Zamiast z byłymi towarzyszami broni przez cały dzień zastanawiać się nad możliwościami powrotu, myślę o najpiękniejszych dniach mojego życia i o kobiecie, która po siedmiu latach odwiedziła mnie tej nocy.

Już wtedy, gdy przespała noc – o ile to, co się działo, można nazwać spaniem – w moim mieszkaniu i gdy rano odprowadziłem ją na przystanek tramwajowy, wiedziałem, że takich dni, jakie przeżyliśmy do tej pory, nie będzie więcej. Była niedziela. W niedziele nie mieliśmy lekcji, w niedziele odbywały się niedzielne obiady, po południu toczyło się niedzielne życie towarzyskie. Ale Veronika nie pojawiła się na maneżu w poniedziałek i nie pojawiła się we wtorek. W moim życiu powstała wyrwa, puste miejsce, jakby kamień legł mi na sercu, nie mogłem pozbyć się tego ciężaru na długiej, samotnej przejażdżce ani utopić go w śliwownicy, w winie, w czymkolwiek, co wpadło mi wtedy w ręce. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co się naprawdę stało i jak głupie były moje uwagi o jej zachowaniu. Ta kobieta kochała mnie, a ja bez niej nie potrafiłem żyć. Poczułem, że jest mi obojętne, i jak kto spojrzy, co powie, i dokąd to wszystko prowadzi, mam gdzieś honor oficera, w moim życiu otwierała się bez niej głęboka otchłań, chciałem ją znowu mieć, jej jasne włosy, usta, jej ciało, chciałem słyszeć jej głos i śmiać się z jej kpiących uwag, i było mi wszystko jedno, jakie będą tego konsekwencje. Tak jak i jej było to obojętne już znacznie wcześniej, bo o wiele wcześniej zrozumiała, co się nam przydarzyło. Do mnie dotarło to dopiero wtedy, gdy jej nie było przez kilka dni.

W środę na maneżu, gdzie wciąż przychodziłem, pojawił się jej mąż, ale nie zrobiło to na mnie dużego wrażenia. Był w myśliwskim stroju. Telefonowałem do koszar, powiedział, major Ilić poinformował mnie, że jest pan tutaj. Patrzył na mnie dłuższą chwilę, jakby oczekiwał wyjaśnień. Najwyraźniej major nie wie do tej pory, ciągnął dalej, że już pan zakończył naukę jazdy. Nie byłem

pewien, czy coś wie, ale było mi wszystko jedno. Skłamałem, że potrzebuję jeszcze około tygodnia, chciałem ją zobaczyć, choćby tylko raz, czy pani Veronika zachorowała? Dandys z zimną krwią świdrował mnie wzrokiem, dlaczego jej pan nie odwiedzi, jeśli pan sądzi, że jest chora? Nie mam odwagi, odparłem, jestem tylko jej nauczycielem jazdy konnej. Czułem się nędznie na myśl o tym, że w jego oczach jestem drobnym oszustem i kłamcą, ale cóż mogłem na to poradzić. Może pan do niej zadzwonić, powiedział, na pewno się ucieszy. Postaram się, zatelefonuję z kancelarii w koszarach. Zaraz tam wracam i zamelduję majorowi, że nauka jazdy pańskiej szanownej małżonki dobiegła końca, jeśli dobrze rozumiem. Dobrze pan rozumie, kiwnął głową. Podobno świetnie sobie radzi, mówi, że jeździ jak polski ułan, szkoda, że tego nie widziałem. Śmiał się, nie okazując najmniejszych emocji. Poleży jeszcze kilka dni, dodał, a potem wybieramy się nad morze, marzy już od dłuższego czasu, żeby spędzić wrzesień w Dalmacji, wtedy jest tam ponoć najładniej. Miałem nadzieję, że nie zauważył, jak drżą mi ręce, bo bicia serca, które zaczęło walić jak młotem, nie mogłem usłyszeć.

A więc koniec, pomyślałem, koniec.

Jeśli się nie mylę, powiedział z uśmiechem Leo Zarnik, mąż Veroniki, pan jej duszy, stróż jej zdrowia, właściciel jej ciała, jeśli się nie mylę, kiedyś zapraszałem pana na strzelanie. Prawda, kiedyś mnie zaprosił, ale sądziłem, że zapomniał. Właśnie wybieram się na strzelnicę, oświadczył, czy zechce mi pan towarzyszyć? Od razu chciałem odrzucić to dziwne zaproszenie, przypomniałem sobie żarty Veroniki, że zastrzelili nas oboje. Nienawidziłem jego śmiechu, jego auta, stroju myśliwskiego, zaczesanych do tyłu jasnych włosów, miałem ochotę złapać strzelbę leżącą na tylnym siedzeniu i strzelić do niego, wycelować w wysokie czoło. Nie pójdzie pan teraz do koszar, znów się uśmiechnął, dziś nie ma jazdy, możemy sobie postrzelać.

Pojechaliśmy na strzelnicę. Było tam kilku mężczyzn w strojach myśliwskich. Mąż Veroniki przedstawił mnie wszystkim po kolei. Z boku stał stół, na którym kelnerzy stawiali zimne zakąski i wino. Potem wypijemy za pomyślne zakończenie nauki jazdy konnej, powiedział, a teraz do dzieła. Kiedy zaczęliśmy, zrozumiałem, że to gra. Uśmiechał się cały czas, ale ręce mu drżały, spudłował pięć razy z rzędu. Ja też nie byłem w dobrej formie. Uspokoilem się jednak, bo teraz wiedziałem, o co chodzi. Dandys wszystko wie, będzie chciał się mnie pozbyć w elegancki sposób. Najwyraźniej Veronika też ze mną skończyła. Kiedy podnieśliśmy kieliszki, rzucił: słyszałem, że dostał pan przeniesienie. Odstawiłem kieliszek: a gdzie pan to słyszał? Świnia, pomyślałem, z trudem powstrzymując się przed powiedzeniem mu tego, co powinienem był powiedzieć: żeby cię szlag trafił, ty burżuju, dobrze to sobie wykalkulowałaś. Powinienem był zabić go wtedy, na strzelnicy w Lublanie. Ale do takich jak on nikt nie strzela, nie dzieje im się nic złego, nigdy, zawsze mają uśmiezek na twarzy. Dandys uśmiechał się: major Ilić to mój dobry przyjaciel, od niego się dowiedziałem. Odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Panie poruczniku, zawołał za mną, proszę nie zapomnieć o telefonie.

Nie zapomniałem. Od razu poszedłem do koszar, zameldowałem się, a czekając, aż Ilić mnie wezwie, zadzwoniłem z kancelarii. Kobiety głos oświadczył, że nie mogę rozmawiać z Veroniką, bo jest chora. Mimo moich nalegań usłyszałem, że do telefonu może podejść tylko jej mama, pani Josipina, która przyjechała z wizytą. Odłożyłem słuchawkę, zacząłem chodzić po pokoju tam i z powrotem, po chwili jednak trzasnąłem drzwiami i poszedłem pod kancelarię komendanta Ilicia. Długo kazał mi czekać. Siedział za stołem, nawet na mnie nie spojrzał, kiedy stuknąłem obcasami, meldując się do raportu. Podpisywał jakieś papiery, jedną kartkę popchnął po blacie biurka w moim kierunku. Gdybyś się nie zameldował, powiedział, tobym cię wezwał. Dostałeś przeniesienie. Do Vranja. Na granicę bułgarską. Dalej od Lublany nie mógłby mnie posłać. Wziąłem tę kartkę. Właśnie o to chciałem zapytać, dokąd mnie pan wysyła. A więc już wiesz, stwierdził major. Wiem, przytaknąłem, dlatego zgłosiłem się do raportu. Chciałeś mnie przekonać, że bym cię zostawił w Lublanie? Chyba rzeczywiście o to mi chodziło, żałosna żebranina, by pozostać blisko kobiety, którą uczyłem jazdy konnej. Chciałem... nic więcej nie przeszło mi przez gardło. Kiedy powierzyłem ci to zadanie... zaczął major cichym głosem. Umilkł. Może zamierzał wspomnieć o honorze oficera. A ja miałem ochotę powiedzieć coś, czego w końcu nie powiedziałem, że mam gdzieś honor oficera, tak jak on go rozumie, że oficer wykazuje się honorem na polu bitwy, gdzie może paść

w walce, tam wykazuje się honorem. Tego jednak nie powiedziałem. On zaś na pewno zamierzał mi uświadomić, że zasługuję wyłącznie na degradację i przeniesienie do piechoty, tam będę łykał kurz i przemoczony brnął przez błoto. Kawaleria pluje na piechotę. Ale tego też nie powiedział. Za trzy dni zgłosił się do jednostki, odezwał się po chwili milczenia, numer masz zapisany. Przystąpiłem z nogi na nogę: chciałbym wiedzieć, co to znaczy, to było wszystko, co powiedziałem. Nie wydałem komendy spoczniej, nie patrząc na mnie, rzucił major. Strzeliłem obcasami.

Możesz się odmeldować, nie chcę cię więcej oglądać.

Wyszedłem z kancelarii. Widziałem go później tylko raz. Wtedy, kiedy się wszystko zaczęło, tuż przed kwietniowym atakiem na Jugosławię. Potem słyszałem, że poddał oddział, którym dowodził, niemieckiemu pułkowi czołgów pod Dravogradem. Dostał się do niewoli, gdzie pogodzony ze swoim honorem oficera zapewne przeżył w spokoju wojnę. A ja broniłem swojego i jego honoru w krwawych walkach w Bośni i Lice, i aż do ostatniego dnia wojny w słoweńskich górach. Już wtedy powinienem się domyślić, że jest tchórzem, bo gdyby nim nie był, nie dałby wiary pewnemu lublańskiemu bogaczowi, lecz zapytałby mnie, co się właściwie dzieje. Ale jego to nie interesowało. Nie interesowało go, co się wydarzyło i co ja o tym myślę, możesz się odmeldować, powiedział, nawet nie podniósł oczu, gdy zaszalutowałem i wyszedłem.

Na korytarzu dogonił mnie kurier: telefon do pana w pokoju dla oficerów dyżurnych. To była Veronika. Co się dzieje? Nic, odparłem, nie jesteś nad morzem? Jakim morzem? Leżę w łóżku, mam czterdzieści stopni gorączki. To się zdarza kobiecie, jeśli we wrześniu leży na leśnym mchu. Próbowала się roześmiać, ale przerwał jej silny kaszel, krztusząc się, powiedziała: Leo mówi, że cię przeniosą. Tak, na granicę z Bułgarią. Słyszałem jej oddech. To nieprawda, odezwała się po dłuższej chwili. Prawda. Nie mogłem więcej mówić. Wybacz, odłożyłem słuchawkę. Wszyscy w pokoju patrzyli na mnie, wydawało mi się, z drwiną. Było mi wszystko jedno. Poszedłem do swojego pokoju, chciałem posprzątać, zabrać rzeczy, ale co rusz ktoś wchodził, żeby zobaczyć oficera, który dostał karne przeniesienie. Postanowiłem, że zrobię to później, kiedy nie będzie nikogo, w czasie nocnego dyżuru. Tak, Ilic nie zapomniał przydzielić mi nocnej służby na pożegnanie z Lublaną.

Poszedłem po Vranca, żeby go przyprowadzić z powrotem do koszar. Stał w stajni razem z Lordem, oba konie spojrzały na mnie zdziwione. Już od niedzieli nikt ich nie czyścił i nie siodłał. Coś mnie ścisnęło za gardło, gdy Lord został sam i popatrzył na drzwi, przez które już nigdy nie przejdzie jego przyjaciel i jego nauczyciel. To koniec, żegnaj, Lublano, żegnaj, Veroniko, witajcie, bałkańskie góry, Vranje, Morawo.

A co sobie wyobrażałem? Że tak po prostu będzie to trwało? Niewinny romans bez naszej wiedzy potoczył się swoim torem i zamienił w aferę rodzinną. Na pewno zadbano starannie, by sprawa zbytnio się nie rozniosła; dandys zachowywał się tak, jakby się nic nie stało, choć stało się wiele, bardzo wiele. Oczywiście ta historia, która z afery rodzinnej mogłaby przekształcić się w towarzyską, wstrząsnęła całą rodziną Veroniki, Leona i ich przyjaciółmi, wszystkimi, którzy się o nas dowiedzieli: czy to w ogóle możliwe? Ilic powiedział, że ci ludzie są niewyobrażalnie bogaci, dlatego absolutnie nie można było sobie wyobrazić, by Veronika związała się z jakimś oficerem kawalerii z Valjeva, gdzie hoduje się śliwki, o czym nigdy nie zapomniał wspomnieć jej mąż. Mężatka. W katolickim kraju. Doskonale wychowana i wykształcona. Choć niepozbawiona swoich dziwactw, co jednak można jej darować. Jak na przykład tego aligatora, który ugryzł jej męża w wannie. Tylko w co? Czy uśmiechał się także wtedy, gdy aligator capnął go za tyłek? A potem trzeba było zabić zwierzę i wypchać. Zostanie po mnie mgliste wspomnienie jak po tamtym gadzie. Veronika też kiedyś zapewne powie, jak mówiła o aligatorze: musiał wynieść się z domu. Ach, uśmiechnie się, tamten porucznik? Leo wysłał go na granicę z Bułgarią.

Mylłem się. Słabo ją znałem. Mąż i krewni także słabo ją znali. Wszyscy pogodzili się z moim wyjazdem: Ilic podpisał papiery i podsunął je do podpisania mnie, Leo odetchnął, znów trafił do tarczy, odetchnęła jej mama i cała rodzina, ja nie miałem innego wyjścia, tylko pogodzić się z sytuacją. Ale nie ona, nie Veronika. Kiedy wieczorem w koszarach pakowałem swoje drobiazgi, zadzwonił telefon: czeka na mnie jakaś kobieta. Siedziała w pokoju przyjęć, koło drzwi zebrała się grupka dyżurnych żołnierzy, którzy zgłodniałym wzrokiem gapili się na młodą kobietę, na jej kola-

na, nic im nie przeszkadzało, że cały czas kaszłała w chusteczkę. Trochę się odsunęli na mój widok, bo spojrzałem na nich jak aligator. Usiadłem koło niej, zobaczyłem, że ma włosy zlepione potem i twarz rozognioną gorączką.

Przecież nie pojedziesz, powiedziała.

Wyglądało na to, że się rozplacze. Wróć. Popatrzyła na mnie zdziwiona, dlaczego kłamiesz? Dobrze wiesz, że nigdy nie wrócisz. Milczałem. Siedzieliśmy w pokoju przyjęć koło bramy, w zaduchu żołnierskiego potu, przedmiotów ze skóry i przepoconych mundurów, raz po raz jakiś rekrut wtykał do środka ogoloną głowę. Trzasnąłem drzwiami, ale nic nie pomogło, po chwili znów ktoś zapukał pod idiotycznym pretekstem, a czyjaś głowa pokazała się w oknie. Daj spokój, powiedziała niemal szeptem, to nieważne. Będę musiała przyzwyczaić się do żołnierzy, dodała i zaśmiała się krótko, dziwnie. Zacząłem się usprawiedliwiać, nie możemy porozmawiać w innym miejscu, bo tej nocy mam dyżur...

Nie rozumiesz? przerwała mi. Pojadę z tobą.

Zalała mnie fala niespodziewanego szczęścia, ale i strachu, jak później wiele razy przed bitwą albo w oczekiwaniu na wroga w zasadzce. Jak? Przecież cię kontrolują. Spojrzała na mnie i zaczęła się śmiać, dopóki jej śmiechu nie zdusił ponownie kaszel.

Mnie? spytała. Czy możesz sobie wyobrazić, że ktoś jest w stanie mnie kontrolować?

Nie, Veroniki naprawdę nie można było kontrolować. A skoro się na coś zdecydowała, nie można było tego zmienić. Jeśli postanowiła, że pojedzie pociągiem do Suška, to pojechała. Jeśli zamiast pieska albo syjamskiego kota chciała mieć aligatora, miała aligatora. Jeśli chciała mieć porucznika kawalerii, swojego nauczyciela jazdy konnej, to też go miała.

W domu zostawiła list i pojechała pociągiem do Zagrzebia. Czekala na mnie na dworcu kolejowym. Nigdy się nie dowiedziałem, co napisała w liście. W każdym razie jej mąż nie zrobił nic, żeby temu przeszkodzić. A zresztą wszystko, co uczynił do tej pory, obracało się przeciw niemu. Znalazł jej nauczyciela jazdy konnej, przyszłego kochanka. Kiedy uświadomił sobie, co się stało, próbował się go pozbyć, ale właśnie takim postępowaniem popchnął ją w moje objęcia. Wydaje mi się, że nie będzie mnie szukał, powiedziała, lecz mimo to wyjechała już przedpołudniowym pociągiem. Poczekaj na mnie w Zagrzebiu na dworcu, a potem razem pojedziemy do Belgradu i dalej, na głębokie południe. Żeby nie było żadnej niespodzianki na dworcu w Lublanie, dodała. Wtedy nie potrafiłem myśleć o eleganckim mężczyźnie, który mógłby sprawić jakąś niespodziankę, nie obchodziło mnie jego cierpienie z powodu utraty kobiety, której tak bardzo chciał we wszystkim dogodzić, że w końcu od niego uciekła. Tylko jedna myśl chodziła mi po głowie – że ta młoda, mądra i piękna kobieta zdecydowała się pojechać ze mną. Do Vranja. Nie wiedziała, gdzie to jest. Daleko, w południowej Serbii, prawie w Turcji. Kobiety chodzą tam jeszcze w szarawarach, tylko muzułmanki, bo Serbki nie noszą szarawarów. Ale i one nie mogą wyjść z domu bez towarzystwa. Wcale nie będę wychodziła, cały czas będę z tobą, głównie w łóżku. A kiedy pójdziesz do pracy, będę ci gotowała. Nauczę się gotować fasolę i pić śliwownicę, śmiała się, pokasłując. Vranje, powiedziała rozmarzonym głosem, ładnie brzmi. Jak Vranac.

Kiedy po południu przyjechałem do Zagrzebia, zobaczyłem ją na peronie. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na dużej walizce i paliła. Chociaż byłem półprzytomny ze szczęścia, a pewnie też z powodu tych wszystkich wydarzeń, które tak nagle przetoczyły się ostatnio nade mną, nie mogłem powstrzymać się od wymówek. Nie powinnaś się tak zachowywać, powiedziałem, co ludzie sobie pomyślą? Spojrzała ze zdziwieniem. Na dworcu, próbowałem jej wyjaśnić, zbierają się kobiety szczególnego rodzaju. Szczególnego rodzaju? spytała zdumiona. Przecież ja jestem kobietą szczególnego rodzaju.

Nie rozumiała, dlaczego nie wolno jej siedzieć na walizce na dworcu kolejowym w Zagrzebiu ze skrzyżowanymi nogami i papierosem w ręku. Zanim więc wsiedliśmy do pociągu, doszło do pierwszego nieporozumienia, kolejne nastąpiły już kilka dni po przyjeździe do Vranja, gdy zameldowałem się w koszarach i gdy zmęczeni po długiej podróży pociągami, które na pewno nie miały wiele wspólnego z jej wyobrażeniami o romantycznej wyprawie na południe, wprowadziliśmy się do niewielkiego mieszkania na skraju cygańskiego osiedla. We Vranju po jednej stronie brudnej rzeczki, do której wpadają miejskie ścieki, mieszkają serbscy mieszczaństwo, a po drugiej, tuż koło

dawnej łaźni tureckiej, przy łagodnie wznoszącej się ulicy rozciąga się duże cygańskie osiedle, Cigan mahala. Mieszkańcy Vranja uważają rzeczkę za niewidzialną granicę, nie przekracza jej nikt oprócz żandarmów i paserów. Na serbską stronę Cyganie chodzą w poszukiwaniu zajęcia, najczęściej znajdują je jako muzycanci. A Veronice, której oczywiście nawet przez myśl nie przeszło siedzieć samej w domu, nie wpadło też do głowy, że nie powinna przekraczać linii granicznej zakazanego terytorium, choć dobrze o niej wiedziała. Już na drugi lub trzeci dzień w samo południe wybrała się do cygańskiego osiedla. Nie doszła daleko. Najpierw zebrała się wokół niej gromada wrzeszczących dzieciaków, potem kobiety, które zaczęły obmacywać jej elegancki strój, a w końcu pojawiło się kilku roześmianych mężczyzn. Zaproponowali, żeby wstąpiła z nimi do najbliższego domu, jeden wziął ją pod rękę i próbował zaciągnąć gdzieś na bok. Na szczęście znalazło się dwóch żandarmów, którzy wśród przepychanek i pokrzykiwań cygańskiej ludności bezpiecznie odprowadzili ją z powrotem do naszego domu. Z poważnym ostrzeżeniem, że władze nie biorą odpowiedzialności, jeśli coś jej się przytrafi. I prośbą pod moim adresem: powinienem zadbać, by nigdy nie powtórzył się podobny incydent.

Tego wieczoru pokłóciliśmy się pierwszy raz. Powiedziałem, że najsurowiej zabraniam jej kiedykolwiek wybierać się w okolice łaźni tureckiej. To nie Lublana, nawet nie Belgrad. Choć wciąż była roztrzęsiona widokiem mnóstwa rąk i twarzy, które niespodziewanie otoczyły ją ze wszystkich stron, spojrzała na mnie z wściekłością. Najsurowiej zabraniasz? Jakim tonem ty do mnie mówisz? Odparłem, że inaczej nie mogę, chodzi o jej bezpieczeństwo. Zawsze uważałaś, wycedziła przez zęby jak w czasie naszego pierwszego spotkania, że jestem twoim rekrutem. Następnego ranka była jednak spokojniejsza. Wydawało się, że rozumie. Znalazła się w świecie, w którym obowiązują inne prawa niż na promenadzie w Lublanie.

Kilka tygodni upłynęło w całkowitej harmonii. Oczywiście nie było tak jak w Lublanie, ale Veronika próbowała się przystosować. Spacerowaliśmy po jesiennych liściach nad spokojną, szeroką Morawą, która płynęła na południe od miasta. Nauczyła się piosenki *Oj Morawo* i śpiewała ją półgłosem, jest pięknie, mówiła, naprawdę pięknie, ale byłoby jeszcze piękniej, gdybym mogła tu jeździć konno. Od pierwszego dnia po przyjeździe usiłowałem sprowadzić oba konie. Jednak w koszarach uchodzących za miejsce karnego zesłania nie było to łatwe. Do Vranja przysyłali oficerów, którzy mieli na koncie poważne wykroczenia dyscyplinarne, a czasem nawet krótsze kary więzienia. Po wielu prośbach udało mi się uzyskać jedynie to, że razem ze sprzętem dla intendentury przysłali Vranca. Jeśli chodzi o Lorda, nie było najmniejszej nadziei, by Leo za zbiegłą żoną wysłał jej angielskiego czystej krwi hackneya. Niestety, Vranca, z którego bardzo się ucieszyłem, nie wolno było zabierać ze stajni w koszarach, w tej kolonii karnej użycie koni do celów cywilnych byłoby nadzwyczaj poważnym wykroczeniem.

Poznałem ją z żoną przyjaciela, Čedo był kapitanem artylerii. Na jakimś weselu wszyscy razem śpiewaliśmy długo w noc *Oj Morawo*... Cygańscy trębacze otoczyli nasz stół i grali nam vranjskie melodie, jedna z nich szczególnie spodobała się Veronice: „Otwórz mi, biała Lenko, do twej izdebki okienko...”, taka piękna piosenka, powiedziała, „...bym ujrzał, biała Lenko, twe piękne usteczka prędko”, położyła mi głowę na ramieniu i z zamkniętymi oczami słuchała tęsknej piosenki, jest taka smutna, szepnęła mi na ucho, że mam ochotę się rozplakać. Čedo i jego żona poprosili, by zaśpiewała jakąś słoweńską piosenkę. Zna tylko jedną, powiedziała, starą żołnierską, z czasów, gdy chłopscy synowie przez siedem lat służyli austriackiemu cesarzowi. I zaśpiewała, tak cicho, tak cicho i pięknie, że przy sąsiednich stołach zaczęli jej słuchać, po chwili w całej sali zaległa cisza, a ona śpiewała: „Nie płacz, najdroższa, przestań się smucić, gdy siedem długich, długich lat minie, znów chłopiec będzie przy swej dziewczynie”.

Przez pewien czas wydawało się, że Veronika przywyknie do nowego życia. Ale nadeszły długie listopadowe noce i deszczowe dni, na ulicach Vranja trzeba było przeskakiwać potoki błota spływające z okolicznych wzgórz. Nad Morawą, która wystąpiła z brzegów, nie dawało się już spacerować. Veronika dużo czytała, książki regularnie przysyłała jej pocztą mama, chodziła też do biblioteki, szybko i z niekłamaną przyjemnością nauczyła się cyrylicy. Coraz więcej przesiadywała w domu. Kiedy wróciłem z trzydniowych manewrów w rozmokłym terenie, powiedziała: czuję się tu jak Koštana. W tamtych czasach *Koštana* była w Serbii bardzo popularną sztuką teatralną²,

właściwie śpiewogrą, o kobiecie, która straciła męża. A zgodnie ze starym zwyczajem wdowie nie wolno było wychodzić z domu, Koštana więc, zamknięta w czterech ścianach i opuszczona, przy blasku księżycy marzy o dawnym życiu, wciąż pełna sił witalnych, żywa, a zarazem martwa. Ta historia dzieje się we Vranju. Veronika, która przeczytała wszystko, co jej wpadło w ręce, oczywiście znalazła tę opowieść. Tkwiąc zamknięta w tym mieszkaniu, powiedziała, co to za życie. Byłem zmęczony, nie miałem siły jej pocieszać: takie, odparłem, jakiegoś chciała.

Tak? szepnęła. To mógłby powiedzieć Leo, mój mąż.

Wciąż był jej mężem. Kiedy wyjechała ze mną, właściwie kiedy uciekła, powiedziała, że się rozwiedzie i wyjdzie za mnie. W obrządku prawosławnym. A ja jej obiecałem, że będziemy mieć prawdziwe serbskie wesele, które trwa trzy dni, z trębaczami, pieśniami i toastami, że zaprosimy dwustu gości. Potem mijał dzień za dniem i już o tym nie było mowy. Teraz pierwszy raz powiedziała, że Leo jest nadal jej mężem. A tam, gdzie jest Leo Zarnik, jej mąż, tam jest inne życie.

Całymi dniami siedziała w domu, ponieważ prawie zawsze, gdy wybrała się do miasta, jeśli tę miejscinę z tureckimi domami i cygańskim osiedlem można nazwać miastem, wracała w złym humorze. Pewnego wieczoru wybuchnęła: czy kobieta nie może tu wyjść na ulicę, żeby wszyscy mężczyźni nie gapili się na nią? Pomyślałem, że tak zdarzało się też na lublańskiej promenadzie, gdy przechadzała się z aligatorem na smyczy, więc chyba nie powinno jej specjalnie przeszkadzać, że obejrzy się za nią jakiś mężczyzna. Nie mogę wejść do kawiarni, powiedziała, aby nie padła głupia uwaga. Odparłem, że może by coś pomogło, gdyby chodziła w sukienkach zakrywających kolana. A w ogóle byłoby najlepiej, gdyby wychodziła na ulicę i szła do kawiarni wyłącznie w moim towarzystwie. To ją na dobre rozzłościło: czy tu kobiety są więźniami? Irytowałem się coraz bardziej, nie wiedziałem, co robić, żeby jej życie było znośniejsze. Wydzierałem się na rekrutów, wlepiąłem im kary.

W takim nastroju wplątałem się w poważny konflikt z pewnym chorążym. Stało się to koło drugiej, tuż po obiedzie. Na niebie wisiały ciężkie chmury, w koszarach paliły się lampy. Idąc ponurym korytarzem, zza drzwi kancelarii intendenta usłyszałem głosy, wiedziałem, że piją tam tak zwaną miękka, czyli pozornie niewinną rakiję, która jednak łatwo uderza do głowy. Ktoś wymówił moje imię, rozległ się śmiech, a po chwili czyjś wyraźny głos: przecież wiesz, co mówią Chorwaci – nie ma bardziej rozpustnej dziewczyny niż ta z Krainy. Otworzyłem drzwi: kto to powiedział? Spojrzeli na mnie zdziwieni. Chorąży o lekko zaczerwienionej twarzy, który stał z butelką w ręku, właśnie nalewał nową kolejkę, popatrzył na mnie. Ja, odparł ze śmiechem. To nic osobistego, panie poruczniku.

Podszedłem do niego, wybiłem mu butelkę z ręki, oficerowie odskoczyli, złapałem go za pas i pchnąłem na ścianę. A właśnie, że to sprawa osobista, krzyczałem, bardzo osobista, poniosły mnie nerwy, byłem dziwnie rozdrażniony, zacząłem odpinać kaburę, żeby wyciągnąć rewolwer, oczywiście nie chciałem go zastrzelić, tylko trochę postraszyć, sam nie wiem, co mi się stało, dlatego jednak że odpinałem kaburę, o mały włos nie postawiono mnie przed sądem wojskowym.

Ponieważ złamałem regulamin służby wojskowej, dostałem karę dyscyplinarną: tydzień aresztu. Tak jak i chorąży, on za przynoszenie alkoholu do koszar. A kiedy później, po kilku dniach, razem oddawaliśmy pasy i sznurowadła przed rozpoczęciem odsiadki, powiedział, że jest mu przykro. Nic złego nie miał na myśli. Mnie też było przykro, bo Veronika będzie teraz jeszcze bardziej samotna w naszym mieszkaniu, bo zamiast służyć w Lublanie, gdzie kariera stała przede mną otworem, znalazłem się we Vranju, tym tureckim gnieździe z błotem na ulicach i cygańską *mahalą*, wśród oficerów, których spędzono tu z całej Jugosławii, ponieważ byli wałkoniami, pijakami i nieudacznikami, w przeciwieństwie do mnie, jeszcze wczoraj przecież byłem kimś innym, najlepszym oficerem w oddziale majora Ilicia. Chorąży klepnął mnie po ramieniu: to koniec kariery, poruczniku. Chyba że wkrótce będziemy mieli jakąś wojnę.

A wojna nadchodziła, nie jakaś, ale wielka, największa, straszna.

W dniu, gdy skończyła się kara, zastałem ją w domu całą we łzach. Myślałem, że to *dert*, melancholijny nastrój ze śpiewogry o Koštanie, tęsknota zamkniętej kobiety za życiem. Ale to nie było to. Poszłam do *mahali*, powiedziała. Nie spytałem, co się tam stało, wpadłem we wściekłość. Z powodu aresztu, z którego właśnie wyszedłem, z powodu chorążego, który nawet za kratkami

wciąż drwił ze mnie, z powodu zwichniętej kariery i dlatego że ona siedziała na dworcu w Zagrzebiu na walizce i paliła jak jakaś dziewczyna z Krainy, która czeka na klientów, że również tu, we Vranju, zachowuje się tak, jakby była na lublańskiej promenadzie, że śmieją się ze mnie oficerowie, byłem wściekły z powodu jej nieposkromionej chęci robienia zawsze akurat tego, czego się jej najsurowiej zakazuje. Ucieka z nauczycielem jazdy. Idzie do cygańskiej *mahali*. Zanim zastanowiłem się, co robię, wymierzyłem jej policzek. Nie zapytałem, dlaczego płacze, uderzyłem ją, bo znów stanęła mi przed oczami scena z tłumem szarpiących ją Cyganów, uderzyłem, by wreszcie zrozumiała, że nie może robić absolutnie wszystkiego, co jej przyjdzie do głowy. Że nie powinna pozwalać sobie na to, by mężczyźni ją zaczepiali, ponieważ jej zachowania nie mogą zrozumieć inaczej niż tylko jako zachętę.

Patrzyła na mnie długo, ocierając łzy. Powinnam wiedzieć, powiedziała w końcu z całkowitym spokojem, że jesteś brutalem. Poczulem ogromny smutek. Wyszedłem z domu i w pierwszej z brzegu kawiarni wypilem kilka kieliszków rakii. Nie rozumiałem, co się dzieje. Przed ponad tygodniem napadłem na podpitego chorążego i walnąłem nim o ścianę, teraz uderzyłem Veronikę, która płakała, bo na pewno spotkało ją coś złego. Nawet nie spytałem, co się stało. Nie wiedziałem, skąd się to bierze, jeżeli jest się żołnierzem, to wcale nie znaczy, że trzeba używać przemocy. Przemoc wpisana jest w zawód żołnierza, ale honor oficera nie pozwala uderzyć słabszego. Jej mąż na pewno nigdy czegoś takiego nie zrobił. On załatwiłby to z uśmiechem na ustach. Nie lubiła brutalnych mężczyzn, którzy piękne konie gnają pod ogień bomb, czyli granatów. Ten, kto myśli, że wolno mu tak postąpić, uderzy też swoją kobietę, jest brutalem. Wiedziałem, że nigdy nie daruje mi tego policzka. Kiedy wróciłem w nocy, leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. Chciałabym wrócić do domu, powiedziała.

Ukląknęłam koło niej, poprosiłam o wybaczenie. Przecież ci wybaczyłam, rozumiem, że nie jest ci ze mną łatwo. Pogłaskałam ją po włosach, ale odsunęła głowę. Boję się ciebie, szepnęła. Uniosła się na łokciach, spojrzała mi w oczy. Masz ponure spojrzenie, powiedziała. Boję się ludzi, którzy patrzą tak ponuro.

Tej nocy powiedziałem jej to, czego nigdy nie mówiłem nikomu. O duszy dziecka, które pierwszy raz spotkało się z przemocą. Miałem sześć lat, kiedy ojciec zaprzągnął konie do bryczki i razem z mamą zabrał nas do wioski odległej o jakąś godzinę drogi od Valjeva. Nawet dzisiaj nie rozumiem, dlaczego musieliśmy z nim jechać. Może myślał, że w ten sposób łatwiej wygzekwuje pieniądze od chłopca. Nie wiem też, dlaczego dojechaliśmy tam dopiero wieczorem, może zepsuło się koło, może po drodze siedzieliśmy za długo w gospodzie, nie pamiętam. Ojciec wypił trochę wina, pewnie dlatego nabrał odwagi, w gruncie rzeczy był miłym, życzliwym człowiekiem, każdą rzecz chciał załatwić po dobroci. Chyba wziął nas ze sobą właśnie po to, by odzyskać pieniądze drogą pokojową, jakby w rodzinnym kręgu. Zatrzymaliśmy się przed ogrodzeniem jakiejś chaty. Nie paliła się żadna lampa. Mama powiedziała: wracajmy, nikogo nie ma w domu. Jest na pewno, przekonywał ojciec, a potem kilka razy zawołał tego człowieka po nazwisku. Nic, nie zapaliło się żadne światło. Topalović, krzyknął groźnie, nie mogłem pojąć, skąd ma taki głos, mój dobry ojciec, może to z powodu wina, które wypił po drodze. Topalović, krzyczał, zapamiętałem to nazwisko. Topalović, wiem, że jesteś w domu, przyjechałem po pieniądze, które mi jesteś winien. Po chwili coś się poruszyło koło płotu, jakiś cień, usłyszałem tępe uderzenie, a kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem twarz ojca zalaną krwią. Ten człowiek, ten Topalović, stanął w ciemnościach za jego plecami i z całej siły uderzył go w głowę polanem. Nie będziesz, wrzeszczał człowiek-cień, nie będziesz nachodził mnie w moim domu! Za ciosem na ojca spadł grad poniżających wyzwisk. Mama płakała, we mnie jakby coś pękło, jeszcze nigdy nie przeżyłem takiej strasznej historii. Ojciec z zakrwawioną głową, płacząca mama, jego jęki, zdławiony szloch i pełne zdziwienia pytanie: co się stało, co się stało? Konie oszalały ze strachu, większą drogą pociągnęły bryczkę w noc. A my staliśmy zupełnie bezradni, w obcym miejscu, przed ciemną chatą, w której zniknął tamten cień. Potem błądziliśmy po wsi pogrążonej w ciemnościach, szukając bryczki i koni. Przez wiele lat to wydarzenie stawało mi przed oczami, budziłem się i chciałem być silny, żeby ustrzec ojca przed straszną przemocą. Nie wiem, co się stało z pieniędzmi za tamte konie, w domu nigdy nie mówiliśmy o tym, pamiętam tylko, że wtedy, był już prawie ranek, świt wstawał ponad górami, jakiś chłop, trzymając

za uzdę konie, patrzył, jak gramolimy się na wóz. Przez całą drogę powrotną zatrzymywaliśmy się od czasu do czasu, a mama darła swoją białą bluzkę i obwiązywała ojcu głowę.

Veronika wpatrywała się w sufit.

To straszne, odezwała się po dłuższym milczeniu. I znów zaczęła płakać. Mój biedaku, mój biedaku, powtarzała, co za okropne przeżycie. A później poszedłeś do szkoły oficerskiej, może właśnie dlatego. Nie dlatego, odparłem, nikomu nie mógłbym zrobić takiej krzywdy, u nas każdy młody człowiek marzy, żeby pójść do szkoły oficerskiej, to nie ma żadnego związku z tamtym wydarzeniem. Może właśnie dlatego, powtarzała z uporem, obiecaj mi, obiecaj, że nigdy nikomu nie zrobisz takiej strasznej rzeczy. Tego nie mogłem obiecać, powiedziałem już, że nigdy bym nie zrobił, nie mogłem sobie wyobrazić, żebym naprawdę był do czegoś takiego zdolny. Tylko jednemu człowiekowi mógłbym to zrobić, Topaloviciowi, którego twarzy nigdy nie widziałem i o którym nigdy więcej nie słyszałem, tylko jemu.

A jednak to zrobiłem. I jeszcze gorsze rzeczy, zanim znalazłem się w Palmanova. Zabijałem nie tylko ludzi, zastrzeliłem też swojego konia, Vranca, którego tak kochała. Ale to była wojna, wojna, wojna. Wyszedłem z niej z jedną zaledwie raną, bez zęba, miałem niewiarygodne szczęście.

Jeszcze wcześniej, nim trafiliśmy tu, do Palmanova, całą zimę i całą wiosnę czterdziestego piątego roku deptaliśmy sobie po piętach na górskich płaskowyżach Słowenii, nasze oddziały i IX Korpus Tity, raz górą byliśmy my, raz oni. Miałem szczęście przez wszystkie te lata. Ta mała, niepoważna rana to drobiazg. Mój Boże, jakie ja rany w tym czasie widziałem. I ciała martwych ludzi, zielone trupy w bośniackich wsiach, nikt ich nie miał czasu chować. I martwe konie, moja droga Veroniko, które wcześniej gnaliśmy do ataku, nie zważając na ogień zaporowy partyzanckich miotaczy, nie bomb, Veroniko, lecz granatów rozszarpujących i masakrujących brzuchy koni i nogi jeźdźców. Których ja uczyłem jeździć, zdejmować z ramienia karabinek w czasie jazdy, repetować, strzelać, ciąć szablą. Co za idiotyzm, prosto na gniazda karabinów maszynowych, ze śpiewem: „Naprzód, bracia czetnicy, będzie wielka bitwa”, nonsens to bardzo oględne słowo, Veroniko, obłąd – znacznie odpowiedniejsze, wszystkich ogarnęło szaleństwo. I dopuszczaliśmy się okrucieństw. Oni i my. Ranni i jeńcy nie mieli żadnej szansy na przeżycie. Ani nasi, ani ich. „Zabijemy i zarżniemy, kto nie chce być z nami”, śpiewaliśmy. Słoweniec tak nie powie. Oni mówią: zarżnąłem go jak świnię. Tak właśnie wyraził się jeden z nich, ujęty przez nas partyzant, kiedy zapytaliśmy go, co się stało z kapitanem Vukmiricą, który wpadł w ich ręce kilka dni temu. Vukmiricą, tym czetnikiem? spytał. Był młodym chłopakiem ze wsi, patrzył na nas przestraszony, wiedział, że nie ujdzie z życiem, nikt jeszcze nie wyszedł żywy z naszych rąk, zarżnąłem go jak świnię, powiedział, choć miał strach w oczach, tylko tyle zdążył powiedzieć, zanim jego rówieśnik z Šumadii, który służył w moim oddziale, wpakował mu w brzuch serię ze szmajsera.

Wszystko to i wiele innych rzeczy widziały moje oczy, które teraz wpatrują się w lustro, w zarośniętą twarz i siwe włosy na skroniach. Posiwiąłem w czasie wojny. Może stało się to tego dnia, gdy musiałem zastrzelić Vranca. Miał złamane przednie nogi, patrzył na mnie jak człowiek, przecież wiesz, że konie czasem patrzą tak, jakby wszystko rozumiały. Pamiętam dokładnie, gdzie to się stało. Nie potrafiłbym powiedzieć, gdzie padło albo gdzie umarło wielu moich towarzyszy, ale umiałbym pokazać podwórze, na którym Vranac skończył swój żołnierski szlak i wspólne ze mną lata życia. We wsi Udbina w Lice. Może naprawdę kiedyś wrócimy, wtedy pojedę do Udbiny pewnego dnia i jeszcze raz przypomnę sobie tamto wydarzenie. Próbuje o tym zapomnieć, choć co noc huczy mi w głowie od strzałów, rozkazów, serii z karabinów maszynowych, eksplozji, krzyków, płaczu kobiet i szlochu dzieci, galopu końskich kopyt, trzasku płonących belek, które wałęsają się do środka chat razem z dachem. Ale Vranca nie zapomnę, mam nadzieję, że ty go też często wspominasz, Veroniko. Znalazłem innego karego konia i dałem mu na imię Vranac, biega teraz za ogrodzeniem z innymi oficerskimi końmi. Przecież tego chciałaś, prawda? Żeby konie nie były w stajniach, tylko swobodnie poruszały się na otwartej przestrzeni. Młody jest i narwany, a też i płochliwy, przeżył więcej, niż doświadczają konie w całym swoim życiu, choćby ciągnęły cesarskie powozy albo paradowały klusem przed publicznością zebraną wokół maneżu. Wczoraj w nocy słyszałem, jak zarżał, przyszło mi do głowy, że cię rozpoznał, ale to niemożliwe. Ten, który by cię poznał, leży na jakimś wiejskim podwórzu w Lice. Przyszło mi to do głowy dlatego, że bardzo często myślę

o tobie, Veroniko. Odkąd odeszłaś, nie ma dnia, żebym o tobie nie myślał, jeśli nie wcześniej, to wtedy, kiedy zapada noc, w górach Bośni albo w wiejskiej chacie w Lice, nad zimną Sočą albo tutaj, w obozie jenieckim w Palmanova. Konie znają myśli swoich jeźdźców, nie chcą powiedzieć panów, tylko jeźdźców, którzy są zwykle częścią ich ciała. Albo się zbudził, gdy ja się zbudziłem, gdy zobaczyłem, że idziesz między pryzcami oficerskiego baraku prosto ku mnie, jakbyś była żywa.

Nie byliśmy długo we Vranju, choć jej musiało się wydawać, że całe wieki. Wiosną trzydziestego ósmego roku dostałem przeniesienie do Mariboru. Przeczuwałem, że stał za tym dandys w białym garniturze, wyobrażałem sobie, że wypiełgnowanymi dłońmi przelicza pieniądze i po blacie stołu w kawiarni Union albo w gospodzie Pod Kasztanami popycha kopertę do majora Illicia. Może po tym nieszczęsnym policzku Veronika skontaktowała się z mężem? Nie wiem, co się stało. Niespodziewane przeniesienie na pewno należało do niezwykłych wydarzeń. Przecież nie byłem już niezawodnym oficerem, którego by kierowano z karnego Vranja na austriacką granicę, choć Drawska Dywizja potrzebowała coraz więcej żołnierzy.

Jakiegolwiek było tło tej sprawy, pod koniec zimy trzydziestego ósmego roku znaleźliśmy się w Mariborze, dostałem mieszkanie w mieście i przydział do szwadronu w koszarach kawalerii. Śnieg topniał, pachniało wiosną, Veronika znów rozkwitła. Była wśród swoich, spacerowała po promenadzie w przepięknym parku miejskim, z mariborskimi damami spotykała się w klubie jeździeckim w Kamnicy. Opowiadała o Vranju i wolnych, nastrojowych piosenkach, których się tam nauczyła, o Morawie, o Vranjskiej Banji, cygańskich trębaczach i weselach, przy herbacie zabawiła towarzystwo opowieściami o prawosławnym obyczaju noszenia na groby ulubionych potraw zmarłych. A nocą przychodzą Cyganie i urządzają sobie ucztę. Dla niej była to zabawna, podniecająca przygoda, nawet mój konflikt z chorążym przybrał postać rycerskiej legendy, mój Stevo, mówiła, jest rycerzem i kawalerem. Policzek przemilczała. Towarzystwo doprowadzała do śmiechu powiedzonkiem: kawaleria pluje na piechotę. Pewnego razu usłyszałem z kuchni, że w salonie opowiada pewnej damie o wstrząsie, jaki przeżyła na widok zabijanych jagniątek, gdy sama poszła do cygańskiej *mahali*. Nadstawiłem uszu. To wtedy uderzyłem ją w twarz. Robili to tuż przy drodze, mówiła, krew z poderżniętych gardel wierzgających zwierząt sphywała prosto do rowu. Jeszcze dzisiaj, dodała, gdy zamknę oczy, widzę tę straszną scenę. Mnie ani we Vranju, ani później nie powiedziała, co stało się tego dnia, kiedy wyszedłem z aresztu i kiedy ją uderzyłem, bo znów wybrała się do *mahali*. Najwyraźniej nie byłem tego wart. Zasługiwałem na litość z powodu jakiejś historii z dzieciństwa, byłem rycerzem, ponieważ biłem się o jej honor, a także partnerem na dansingach w Mariborze, ale to było wszystko, coś się między nami popsulo w tym nieszczęsnym Vranju. Tam była w klatce, wiedziałem, że tak się czuła, może nawet opowiadała o tym którejś ze swoich przyjaciółek. Na pewno to samo stałoby się w każdym innym miejscu. W Mariborze wszystko szło ku gorszemu, z dość dużą prędkością. Poza tym coraz mniej czasu spędzaliśmy razem. Manewry Drawskiej Dywizji odbywały się coraz częściej, granica znajdowała się w odległości zaledwie kilku kilometrów, za nią leżała niespokojna Austria, gdzie już jawnie panoszyli się miejscowi naziści, nadciągały wielkie wydarzenia, czuło się to na każdym kroku. Nasz szwadron dostał tankietki, małe wozy bojowe marki Škoda, które stopniowo miały zastąpić kawalerię. To mi wyglądało na czyste szaleństwo, ale musiałem zgodzić się na szkolenie i zamiast konno, jeździłem tym niezgrabnym, hałaśliwym i śmierdzącym pojazdem. Vranac, który powoli stawał się moją jedyną radością, nudził się w stajni.

Wkrótce po naszym przyjeździe Veronikę odwiedziła mama. Pani Josipina. W ciągu kilku dni całkowicie przemeblowały mieszkanie, było teraz podobne do jej dawnego domu. Mama Josipina przy herbacie i ciasteczkach wspominała swoją młodość, która upłynęła jej w Rijece. Miała wtedy jasne włosy, dlatego nazywali ją *bionda*. A jej mąż, ojciec Veroniki, miał na imię Peter, jak nasz młody król. To już słyszeliśmy. Mieli piękny dom z widokiem na morze i wyspę Cres w oddali, i ogród przed domem, Peter kupił łódź, chodzili do kawiarni na tańce. To też już słyszeliśmy wiele razy. Przyjęliśmy służącą, która cały dzień krzątała się po domu, sprzątając najdrobniejsze śmieci, nie tknęła tylko moich ubłoconych oficerów. Pewnie czuła do nich obrzydzenie, zwłaszcza wtedy, gdy wróciły z dziesięciodniowych manewrów, a wcześniej dzień i noc tkwiły na nogach swojego

właściciela, także gdy spał. Urządzone na nowo mieszkanie odwiedzało coraz więcej gości, przychodziły panie, jej przyjaciółki od jazdy konnej, a z nimi ich panowie. Coraz gorzej czułem się w tym towarzystwie, wieczorami więc, po wyjściu z koszar, chętnie zachodziłem do gospody na kolację.

Pewnego razu jadłem w restauracji przy ulicy Króla Aleksandra. Sąsiedni stół okupowała grupka głośno zachowujących się mężczyzn, pewnie kupców, którzy zatrzymali się w hotelu, i ich mariborskich partnerów. Jednym z cudzoziemców był Czech, handlował jakimiś maszynami, inny był komiwojażerem i sprzedawał instrumenty laboratoryjne. Ten, o ile dobrze zrozumiałem, wybrał się do Triestu, a tu czekał na przybycie współpracownika z Pragi. Nazywał się, nie wiem, dlaczego to zapamiętałem, Erdman. Najgłośniejszy był jednak pewien kupiec, Chorwat z grubym złotym łańcuszkiem, i ten bez najmniejszego powodu zaczął sobie żartować. Wiedziałem, że mówi o mnie, choć nawet nie spojrzął w moją stronę. Tym Serbom, powiedział, wydaje się, że cały świat to koszary kawalerii. Śmierdzące koszary kawalerii. Nie zwracałem na niego uwagi, choć w środku kipiałem ze złości. Już wtedy powinienem był wiedzieć, że na końcu wszystkiemu będziemy winni my, Serbowie. A wśród Serbów kawaleria, którą powoli zastępują tankietki marki Škoda. A w kawalerii ja, który niespodziewanie zostałem bez swojego oficerskiego mieszkania, za to z koronkowymi firankami; wśród tych firanek rządziły mama Josipina i jej rozpuszczona córka, ich weseli goście i służąca, która brzydzi się oficerskich butów.

Teraz było tylko kwestią czasu, kiedy za mamą pojawi się dandys, o którym starsza pani nawet w mojej obecności mówiła z uwielbieniem i podziwem. O jego interesach i jego samochodach. Z entuzjazmem opowiadała córeczce, że Leo kupił zamek w Górnej Krainie, ściślej mówiąc, posiadłość ziemską, starą, okazałą budowlę z parkiem i stawem, terenami myśliwskimi i stajniami dla koni. Nazywa się Podgorsko, oprócz zamku do majątku należą też rozległe lasy i pola, sam zamek wznosi się u podnóża góry Strmi vrh, która wcale nie jest stroma, za budynkami widać zielone zbocze, a z okien rozciąga się widok na równinę, na Gorenją vas i inne miejscowości, skąd przychodzą ludzie do prac gospodarskich w posiadłości. Jest tam pięknie, mama Josipina była już w Podgorsku, spacerowała po zielonym parku, pachniało chłodem rześkiego wiosennego poranka. Leo, żona Veroniki, powtórzyła to kilka razy, nie patrząc na mnie, Leo, twój mąż, spędza tam więcej czasu niż w Lublanie, wciąż jest sam, ale często odwiedzają go artyści z Lublany, chętnie ich wspiera i kupuje ich obrazy, pianista Vito, chyba Veronika jeszcze go pamięta, czasem występuje z wieczornym koncertem. Ta opowieść nadzwyczaj zaciekała Veronikę, dopytywała o rodzinny nabytek, jakie są pokoje, gdzie jest kuchnia, co widać z sypialni. Czy można jeździć konno? Choć nie osobiście, potężny Leo Zarnik pojawił się w naszym mieszkaniu. Był coraz bardziej obecny. Jak obecny był przez cały czas, każdego dnia, także we Vranju, gdzie ostatecznie wkroczył w nasze życie, gdy zdarzył się ten nieszczęsny policzek. Teraz przychodził w opowieściach jej mamy, pani Josipiny. Pani Josipina wyjechała, a on został, niewidzialny, między nami. Ale i mama wróciła już po kilku dniach, a potem zostawała coraz dłużej.

Ja jeździłem w tankietce i brałem przez błoto podczas wiosennych manewrów.

Odeszła w słoneczny zimowy poranek, pamiętam to dokładnie, kiedy miastem wstrząsnęła wieść o straszliwej zbrodni na Pohorju. Wszyscy wtedy mówili o nieszczęsnej parze, która podobno szła z plecakami na wycieczkę zaśnieżoną leśną drogą, podobno kobietę i mężczyznę zatrzymali nieznani ludzie, zamordowali ich bestialsko i ograbili. Nawet w Koszarach imienia Wojewody Mišicia było o tym głośno. Kto by pomyślał, powiedział jeden z oficerów, że ci Słoweńcy, tacy spokojni i przyjaźni ludzie, są do czegoś takiego zdolni! Niespecjalnie się tym przejąłem, wszędzie trafiają się agresywne, skłonne do popełniania zbrodni jednostki, dlaczego Maribor miałby być od nich wolny? Kiedy późnym popołudniem wróciłem do domu, drzwi otworzyła mi służąca. Była blada, w pierwszej chwili pomyślałem, że i ona przestraszyła się zbrodni na Pohorju. Ale nie, powiedziała tylko, że pani wyjechała i zostawiła list. Od razu wiedziałem, co się stało. Może nawet spodziewałem się tego od dawna. Służąca przyglądała mi się, kiedy brałem go do ręki, zaproponowała, że jeśli jej potrzebuję, zostanie. Odparłem, że nie potrzebuję. Może odejść zaraz, buty sam wy czyszczę. Jak czyściłem do tej pory. Nie potrzebowałem już nikogo.

Veronika oznajmiała w liście, że wraca do Leona. Wciąż mnie kocha, nie żałuje ani jednej

przeżytej razem chwili. Ale widzę, Stevo, że ostatnio staliśmy się sobie obcy. Poczuję się niczym aligator, którego wypchano. A nawet nie ugryzłem jej męża.

Ostatni list dostałem od niej wiosną trzydziestego ósmego roku, teraz jest początek lata czterdziestego piątego. Minęło zaledwie siedem lat, odkąd odeszła. A mnie się wydaje, jakby to było wczoraj. Przypominam sobie puste mieszkanie w Mariborze, nigdy go nie zapomnę. Meble stały w nim nadal, niczego nie zabrała, tylko swoje ubrania i kilka drobiazgów, ale mieszkanie było puste, bo jej tam zabrakło, jej śmiechu i cichych kroków, wszystkiego, w łazience kapąca woda, rano wzięła prysznic i wyjechała. Tych kropli też nie zapomnę, jeszcze teraz je słyszę, kap, kap, kap, wpadały do porcelanowej wanny. Jak sekundy, jak minuty, jak czas, który mijał w ciszy. Jakby się coś zatrzymało i zaczęło biec inaczej, dokładnie pamiętam, choć przez te siedem lat zdarzyło się więcej niż w całym moim poprzednim życiu. Jej już nie ma. I Jugosławii też nie ma. I królewskiego wojska, bo tych wziętych do niewoli obiboków płaczących się między barakami w Palmanova nie można nazwać królewskim wojskiem. A ja wciąż tu jestem, jeśli w ogóle ja to jeszcze ja.

Czas, który przeżyłem pomiędzy jej odejściem a początkiem wojny, w moich wspomnieniach jest jak otchłań bez dna. Chciałem znów być tym, kim byłem, nim ją spotkałem: dobrym oficerem. Ale nie miałem już w sobie cienia entuzjazmu. Wykonywałem swoje obowiązki, wrzeszczałem na rekrutów, ziewałem podczas nocnych dyżurów, nie stroniłem od kieliszka, czasem z innymi oficerami popijałem w kancelarii śliwownicę, a rano wracałem do pustego mieszkania. Zaczęły przychodzić listy z Valjeva. Jelica pisała, że wciąż na mnie czeka. Pojechałem do Valjeva, trzy dni minęły mi nawet nie wiem na czym, przespałem się z Jelicą, w środku nocy zaczęła płakać, powiedziała, że mnie nie poznaje, co się ze mną stało? Wróciłem do jeszcze bardziej pustego mieszkania, napisałem do Jelicy, żeby przyjechała do mnie, nie potrafiła się zdecydować. I tak mijał ten pusty czas. Później zamieszkałem nie z Jelicą, ale z Čedom, którego z Vranja odkomenderowano na północną granicę. Razem jadaliliśmy śniadania i kolacje, Čedo czyścił i pastował oficerki, także moje, sprzątał puste butelki, unikaliliśmy rozmów o Veronice. W pierwszych tygodniach po wyjeździe kilka razy dzwoniła do mnie, pytała, jak żyję. Dobrze, a co miałem powiedzieć. W końcu oświadczyła, że przenosi się na wieś, do tego zamku, o którym opowiadała jej mama. Też dobrze. Potem na długo zapanowała cisza. Nie wytrzymałem, napisałem do niej parę listów, nie było odpowiedzi. Milczenie trwało dalej, ginęło w jakiejś pustej otchłani bez dna, w jakiejś ciszy, którą przerywał grzmot haubic na poligonie w Slunju, dokąd jeździliśmy na manewry, i chichot przyjaciółek Čeda pojawiających się razem z nim późną nocą, śpiew i krok defiladowy na dziedzińcu koszar, „maszeruje, maszeruje”.

Kilka dni przed atakiem na Jugosławię spotkałem majora Ilicia. Siedział w samochodzie przed magazynem intendentury. Jego oddział otrzymał rozkaz wymarszu do Dravogradu. W Mariborze zaopatrywali się w amunicję i żywność. Powiedział, że cieszy go mój widok. Ale nie cieszył go wtedy, gdy musiał mnie wysłać do Vranja, powinienem zrozumieć, nie miał wyjścia. Odparłem, że rozumiem, a tak naprawdę było mi obojętne, czy jest mu przykro, czy nie, teraz i tak nie miało już znaczenia to, co zdarzyło się kiedyś. Nie było Veroniki, nie było Vranja, istniały tylko koszary i major Ilić, który wyrusza, żeby odnieść zwycięstwo i zostać pułkownikiem. Nowe było jedynie to, że zaczyna się wojna i że wszyscy czekają na nią od dawna. Byłeś dobrym oficerem, powiedział Ilić, niedługo dostaniesz szansę, żeby to pokazać. Już chciał odjechać, ale coś sobie przypomniał.

Mój przyjaciel Zarnik zaprosił mnie kiedyś do swojej posiadłości. On i jego żona jeszcze raz wzięli ślub. Ilić zaśmiał się głośno. Związali ich łańcuchem, żeby już nigdy nic ich nie rozdzieliło.

Dobry żart, co? rzucił.

I odjechał w stronę Dravogradu, gdzie po kilku dniach, zgodnie z wojskowym regulaminem, poddał swój oddział kapitanowi niemieckiej dywizji zmotoryzowanej.

A ja ze swoimi tankietkami utknąłem w miejscu, myśląc o Veronice, która teraz żyje w jakimś zamku, znów w szczęśliwym związku, po raz drugi z tym samym mężem. Przeklinałem idiotę, który wymyślił tankietki, żeby zastąpić kawalerię, śmieszne maszyny, nie było do nich paliwa. Chcieliśmy właśnie ruszyć w stronę Šentilja i przejść do kontrataku, gdy go akurat zabrakło. Na szczęście mieliśmy jeszcze konie. Z resztkami oddziału, tą częścią szwadronu, która pośród wszechobecnej zdrady i tchórzostwa nie uległa rozproszeniu, razem z Čedom jechałem przez Sla-

wonię, gdzie chorwaccy chłopci stali przy drodze i spluwali na nasz widok. Nie kawaleria pluła na piechotę. Chłopci pluli na nas i wymachiwali widłami, dlatego konie często się płoszyły. Kiedy nadszedł wieczór, my, kawalerzyści słynnej armii królewskiej, musieliśmy prosić sławońskich chłopów, żeby dali koniom owsa, a nam cokolwiek do jedzenia. Prośby pozostały bez echa, poskutkowałą dopiero broń w naszych rękach.

Doszły do nas wieści, że w Bośni formuje się ruch oporu, nagle poczułem, że życie ma sens. Ja i Čedo przysięgliśmy sobie, że będziemy bić się do końca, z Niemcami, z Włochami, z Węgrami, ze wszystkimi, za króla i ojczyznę. W jakiejś wiejskiej chacie rzucaliśmy kieliszkami o ścianę, z rozpaczą, bo została rozbita sławna armia, i z radości, bo zaczyna się coś nowego. Śpiewaliśmy, na podwórzu strzelaliśmy w powietrze. Śmierdziało śliwownicą i śmiercią. To był nonsens, ta przysięga, nonsens, jak by powiedziała Veronika, która w czasie naszego pierwszego spotkania śmiała się, kiedy jej powiedziałem, po co używamy koni w bitwach, nonsens, żeby walczyć ze wszystkimi, którzy napadli na nas, i jeszcze z tymi, którzy nas zdradzili. Ale później naprawdę walczyliśmy i zabijaliśmy, cuchnęło strachem i śmiercią. Biliśmy się najpierw razem z komunistami przeciwko Niemcom, a potem komuniści zaatakowali nas od tyłu i nagle staliśmy się niemieckimi sojusznikami. To było całkowicie niezrozumiałe dla nas, spadkobierców sławnych bohaterów frontu salonicznego, oficerowie naszych nieprzyjaciół pojawili się w naszym sztabie i wspólnie koordynowaliśmy ataki na coraz aktywniejszych komunistów. Mimo to w Bośni biliśmy się także z ustaszami, choć to oni byli niemieckimi sługusami, nie my, my tylko koordynowaliśmy akcje. Z Čedem walczyliśmy cały czas razem, najpierw z Niemcami, potem z ustaszami. Wreszcie, i do końca wojny, z komunistami. W Bośni, w Lice i w górach Słowenii.

Kiedy tuż przed zakończeniem wojny dostał w brzuch i padając, uderzył głową o kamień, trzymałem go w objęciach, z ust, z których wydobywały się tylko bełkotliwe słowa, spływała mu piana niczym koniowi po długiej jeździe. Przypominałem sobie, jak we Vranju śpiewaliśmy *Oj Morawo*, Veronika położyła głowę na moim ramieniu i słuchała z zamkniętymi oczami. A potem Čedo namówił ją, żeby zaśpiewała: „...gdy siedem długich, długich lat minie, znów chłopiec będzie przy swej dziewczynie”.

I tak się stało. Dzisiejszej nocy, kiedy przeszła między pryzami oficerskiego baraku i stanęła koło mojego posłania. Co się dzieje, Stevo? spytała. Ty też nie możesz zasnąć? Chciałem powiedzieć: myślałem, że mieszkasz u stóp zielonego zbocza, że w dole widzisz równinę z rozległymi polami, chciałem spytać: a czy jeździsz tam trochę konno? Lecz jej już nie było. To właśnie chciałem powiedzieć, bo myślałem, że mieszka na zamku, w złotej klatce, czy kiedyś nie mówiła: nie jestem wolna? A potem nieprzymuszona związała się łańcuchem z mężczyzną, którego może nie kochała bardziej niż mnie, ale wolała być z nim. Tej nocy jednak przyszła do mnie, tej nocy ją widziałem, sama przyszła do mnie, Veronika.

Kilka dni temu przybyli kurierzy z wiadomością, że w Lublanie przemawiał ten austriacki kapral, którego teraz uważa się za marszałka. Krzyczał do zgromadzonych tłumów, że zdrajcy już nie będą oglądać naszych pięknych gór. To było o nas, królewskich żołnierzach, o nas, którzyśmy pozostali wierni. A nie o nich, choć jesienią czterdziestego pierwszego wycelowali broń w nasze plecy. Świat stanął na głowie. Jest rozbity, jak to lustro, w którym oglądam fragmenty swojej twarzy, poszarpane fragmenty swojego życia. Mimo to ogolę się, zapnę pas, wyglądzę mundur i pójdę na plac apelowy. Słysząc już głos trąbki, stawili się wszyscy. Po południu wybiorę się na przejażdżkę, żeby Vranac się nie rozleniwiał. Może napiszę list do Jelicy.

Gdyby nasza córka została ze Stevem, powiedziałam Petrowi, byłaby wciąż w tym mariborskim mieszkaniu. W mieszkaniu serbskiego oficera, który w przedpokoju trzymał zabłocone oficerki. A może żyłaby w południowej Serbii i hodowała kury. Ale wiedziałabym przynajmniej, gdzie jest. I nie budziłabym się każdej nocy, myśląc, że to właśnie ja przekonałam ją, by wróciła do Leona i zamieszkała w jego zamku, w którym był zakochany prawie tak samo jak w Veronice. Przeprowadziłam się wtedy razem z nią. I właśnie z zamku nasza Veronika zniknęła, to było w czterdziestym czwartym, kilka dni po Nowym Roku. Od tamtej pory zaginął po niej wszelki ślad. Nie powinnaś sobie niczego zarzucać, powiedział Peter. Zastanowił się chwilę, jak zwykle, pomilczał trochę, a potem powtórzył: nie powinnaś się o to obwiniać. Oczywiście nie mam sobie nic do zarzucenia, dlaczego miałabym obciążać swoje sumienie, po prostu nie potrafiłam pogodzić się z tym, że mieszka w kwaterach oficerskich i hoduje kury. Ona, miłośniczka papug i aligatorów. Ona, po studiach w Berlinie, wielbicielka Beethovena. Bardzo było mi ciężko na duszy, kiedy widziałam, jak żyje, nawet jeśli ona mogła znieść takie życie, ja nie mogłam. Ale nocą w moim pustym mieszkaniu na przedmieściu Lublany znów pojawiła się przewrotna myśl: gdyby została z tamtym oficerem... Zapaliłam lampę, poszukałam fotografii Petra. Rozmawiam z nim już każdej nocy, tylko on potrafi mnie uspokoić.

Dzisiaj odwiedził mnie Filip, brat Leona. Wypytywał, czy mam wszystko, czego potrzebuję. Jasne, że nie, to mieszkanie z dwoma pokojami na przedmieściu Lublany nie jest zamkiem, odparłam. Właściwie to był żart, dobrze wie, że nie zamku mi brakuje. Jakoś pani przeżyje, dopóki to wszystko nie minie. Siedziałam przy otwartym oknie, jak zawsze, on stał za mną, patrzyliśmy na pochód, tłum z transparentami i fotografiami tych swoich przywódców maszerujący ulicą za orkiestrą dętą. Najwyraźniej byli w dobrych humorach, rozbawieni, ci, którzy stali w oknach i na balkonach, machali do nich i pozdrawiali maszerujących. Nagle zobaczyłam mężczyznę, zatrzymał się i spojrzał do góry, wydawało mi się, że patrzył prosto w moje okno, na mnie. Był przysadzisty, szeroki w ramionach, miał podkrążone oczy jak ludzie, którzy lumpują w nocy albo cierpią na bezsenność. Jego twarz była znajoma, może to jeden z tych robotników, którzy najmowali się do pracy w majątkach koło Podgorska. Od tego wzroku przeszedł mi dreszcz po plecach, jakby coś znanego, a jednocześnie niewyraźnego przeniknęło we mnie wraz z tym spojrzeniem. Po chwili odwrócił się i ruszył dalej, rozpląnął się w radosnym tłumie.

Jakoś przeżyję, oczywiście jakoś przeżyję, odpowiedziałam Filipowi, choć mieszkanie nie ma łazienki, a ubikacja jest na korytarzu, więc co rano mieszkańcy czekają w kolejce, kobiety w szlafrokach, mężczyźni w niedbale zapiętych spodniach ze zwisającymi paskami, jakoś przeżyję. Nie potrzebuję niczego, cały dzień siedzę przy oknie i czekam, aż ją zobaczę, moją Veronikę, albo przynajmniej Leona, który pewnego dnia przyjedzie samochodem, może nawet przyjadą oboje, a może przyjdą pieszo, pokażą się na końcu ulicy, ona będzie trzymała go pod rękę, spojrzy w górę, roześmieje się, tylko ona potrafi się śmiać tak ładnie, a ja jej wtedy pomacham. Trochę wcześniej widziałam, jak nadchodzi Filip, to on postarał się o mieszkanie, co drugi dzień przynosi mi coś do jedzenia, kupuje chleb i mleko, mąkę, czasem kawałek mięsa. Nie zjadła pani, mówi, znów zostało. Nie mam apetytu, odpowiadam, a on zawsze: co by na to powiedziała Veronika? Veronika powiedziałaby: jedz, mam, człowiek nie może żyć bez jedzenia. Najpierw mamie, wydawała polecenie, gdy w jadalni na zamku podawano obiad, nawet jeśli byli goście, czasem tylko spojrzeniem dawała znak i wszyscy rozumieli: najpierw mamie. Kiedy była w wyjątkowo dobrym humorze, szła do kuchni i zawiązawszy rękawy, z kucharkami i służącymi przygotowywała to, co lubiłam najbardziej: świeże prawdziwki, rano zebrane.

Siedziałam przy oknie, pochód powoli znikał za rogiem, oddalały się dźwięki muzyki, ulicą biegli ostatni spóźnialscy. Idą na plac Kongresowy, powiedział Filip, na wielki wiec, będzie przemawiał Marszałek. A niech przemawia, niech gra orkiestra, niech ludzie machają i krzyczą, jest koniec wojny, niech się cieszą. Ja nie potrafię. Filip mówi, że powinnam uważać, rozmawiając z ludźmi, czasy są dziwne, nieraz nocą zabierają kogoś z domu i już nie wraca. Jak Veronikę? spytałam. Jak zabrali moją Veronikę? prawie krzyknęłam, gdy nie odpowiedział. Przecież pani wie, odezwał się po pewnym czasie, że wyjechała z Leonem, na pewno są gdzieś w bezpiecznym miejscu. To dlaczego nie daje znaku życia? Mogłaby przysłać choć list. A zresztą ostrzeżenie jest zbędne, bo do nikogo się nie odzywam, z nikim nie rozmawiam.

Siedzę przy oknie, jak na zamku u podnóża góry Strmi vrh przez całą ubiegłą zimę, kiedy pewnej nocy na początku stycznia czterdziestego czwartego roku Veronika i Leo opuścili dom z jakimiś ludźmi i słuch o nich zaginął. Wyszli o północy, w samym środku srogiej zimy, wszędzie było pełno śniegu. Dopiero następnego dnia rano dowiedziałam się, że poszli z nocnymi gośćmi. Wcześniej goście otwierali szafy i trzaskali drzwiami. Już wtedy miałam problemy z chodzeniem, więc prawie cały czas spędzałam w swoim pokoju na piętrze. Zapukała do mnie Joži, nasza gospodyni, mówiąc, że przyjęcie się skończyło, ale goście nie chcą pójść do łóżek. Dlaczego trzaskają drzwiami? spytałam. Bo podpili sobie trochę, odpowiedziała Joži, nie można ich ani wyprosić z zamku, ani namówić, żeby poszli do swoich pokoi. Rano dowiedziałam się, że zabrali ze sobą Veronikę i Leona. Potem czekałam na powrót ich obojga.

Czekam cały czas. Siedziałam przy oknie w pokoju, kiedy nocni goście opuścili zamek, siedziałam następnego dnia i przez całą długą zimę, i przez całą długą wiosnę. A później wśród naszych robotników chodzili po podwórzu ludzie w niemieckich mundurach, a jeszcze później jacyś inni w jakichś innych mundurach. Patrzyłam przez okno i czekałam, kiedy Veronika zawoła z dołu: mamu, jestem! Teraz też siedzę przy oknie w mieszkaniu na przedmieściu Lublany i patrzę na twarz każdego człowieka, który przechodzi ulicą w słoneczne majowe przedpołudnie, na każdego człowieka w wieczornym mroku, żeby rozpoznać jej chód. Albo jego kroki, Leona. Może jest w Zagrzebiu? spytałam Filipa. Kiedy uciekła ze Stevem, najpierw pojechała do Zagrzebia, może on zabrał ją do Vranja? A może po kryjomu wyjechała z mężem do Włoch? Albo do Francji, znała tam jakichś ludzi. Nie sądzę, odparł Filip, w czasie wojny trudno było przedostać się do Francji. A jeśli jest w Berlinie? Ma tam przyjaciółkę. W Berlinie są same ruiny, powiedział Filip. Więc może w Szwajcarii? Mnóstwo ludzi wyjechało do Szwajcarii. To bardziej prawdopodobne, zgodził się Filip, spoglądając na całkiem już opustoszałą ulicę. No to są w Szwajcarii, powiedziałam. Wzięli trochę pieniędzy i teraz są w Szwajcarii. Filip, ty wiesz, że są w Szwajcarii. Filip milczał. Musisz mi zaufać, wiem, boisz się, żebym nie zdradziła tego nikomu, ale ja z nikim nie rozmawiam, nikt się ode mnie nie dowie, że są w Szwajcarii.

Patrzył przez okno.

Filip, słyszałeś, co powiedziałam?

Tak, odparł, słyszałem.

Nic nie mówił przez dłuższą chwilę. A potem spytał, czy przypominam sobie niemieckiego lekarza, który w czasie wojny przyjeżdżał do Podgorska. Oczywiście, miał na imię Horst. Nosił mundur, ale nie było w nim nic z żołnierza. Okazał się uprzejmym mężczyzną. Veronika i Leo często zapraszali go do zamku, lubił muzykę. Przyjeżdżał za każdym razem, gdy pianista Vito dawał koncert. Robił wrażenie człowieka, który przypadkiem znalazł się w naszych stronach, jak ktoś, kto tylko czeka, żeby się wszystko skończyło. Mogę pani powiedzieć coś w zaufaniu, mówił dalej Filip, dowiedziałem się, jaki jest jego adres, mieszka w Monachium, jeśli rzecz jasna jeszcze żyje. Przynajmniej przed wojną tam mieszkał. Napisałem do niego, a teraz będziemy próbowali jakoś przekazać mu ten list. Złapałam go za rękę. On wie? spytałam. Wie, gdzie są? Może, odparł Filip, może, zobaczymy. Musimy czekać. Chciałam wiedzieć, jak długo będziemy czekać na odpowiedź. Sprawa jest nieco skomplikowana, wyjaśnił Filip, do Grazu zawiezie go pewny człowiek, podamy adres, na który ten niemiecki lekarz będzie mógł napisać. Dlaczego do Grazu, dlaczego sprawa miałaby być skomplikowana? Dlaczego nie wyśle listu z Lublany albo nie poszuka numeru jego telefonu i nie zadzwoni? Nic nie rozumiałam. Zasypałam go pytaniami, ale Filip już nic więcej

nie chciał mi wyjaśnić. Musimy czekać, powiedział, musimy czekać.

A potem zaczął opowiadać, że w kraju są ogromne problemy z aprowizacją, że kupił mąkę na czarnym rynku od jakiegoś handlarza, wygląda na człowieka zaufanego, ale nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia. Jakby mnie interesowało, gdzie zdobywa żywność, jakby mnie interesowało jakiegokolwiek jedzenie. Powiedział, że znów przyjdzie, pojutrze. Słyszałeś, co mówiłam, Filipie, są w Szwajcarii, prawda? Ten niemiecki lekarz, Horst, on wie. Kiedy odpisze na list? Nie słyszał mnie, poszedł sobie, jego kroki rozlegały się echem na drewnianych schodach. Ja wciąż siedziałam przy oknie. Kiedy już był na ulicy, spojrział w górę i zniknął za rogami. Siedziałam tam jeszcze po południu, widziałam, jak wracali po wiecu ludzie ze zwiniętymi transparentami, flagami i zdjęciami swoich przywódców, siedziałam tam i wieczorem, kiedy koło mojego domu przechodzili ostatni manifestanci, chwiejąc się na nogach i podając sobie z ręki do ręki butelkę. Patrzyłam z uwagą, szukając wśród nich przysadzystego mężczyzny, który przed południem spojrział w moje okno, był podobny do jednego z naszych robotników w Podgorsku. Ale powoli robiło się ciemno i nie mogłam rozpoznać żadnej twarzy.

Boję się wieczoru. Po zmroku, gdy do pokoju wpada tylko skąpe światło lampy ulicznej, wiem, że wkrótce nadejdzie noc, że będę się przewracała bezsennie w łóżku. Zawsze nadchodzi noc i zawroty głowy, wtedy znów jestem na zamku, u siebie na piętrze, a z dołu dobiegają męskie głosy. Mężczyźni tupią w sieni i strząsają śnieg z butów, potem słyszę kroki na schodach, trzaskanie drzwiami, urywane słowa. Słyszę Leona, który coś wyjaśnia, słyszę Veronikę, która coś wyjaśnia, nie rozumiem słów. Potem ubieram się, chcę zejść na dół, choć już wtedy poruszałam się z trudem. Ale w tej samej chwili przychodzi Joži: teraz nie może pani zejść. Dlaczego? Veronika prosiła, żeby poczekała pani w pokoju. Co się dzieje na dole, Joži? Nic takiego, jedzą kolację i rozmawiają. Ktoś krzyczy, słyszałam, jak ktoś wydaje rozkazy, marsz, powiedział, słyszałam, powiedział marsz. Kim są ci ludzie, Joži, do kogo było to marsz? Nie pozwoliła mi ruszyć się z pokoju, nie może pani zejść na dół, niedługo sobie pójda. Kto pójdzie? Siedziałam ubrana na łóżku i czekałam, żeby ucichły hałasy, żeby ci ludzie, kimkolwiek byli dziwni goście, wreszcie poszli. I żeby przyszła Veronika, i żeby wyjaśniła mi wszystko. Zawsze mówiła, kim są jej goście. Pianista Vito z Lublany. Jakiś malarz, któremu Leo pomagał urządzić pracownię. I poeta, pisał o złotowłosych kobietach, recytował swoje wiersze, a najczęściej opowiadał dowcipy. Powiedziała mi o tym niemieckim lekarzu, miał na imię Horst, przyjeżdżał do nas w czasie wojny, był ranny w Rosji i kulał. Bardzo lubił muzykę, podziwiał też moją córkę. Ale tamtego dnia po Nowym Roku w czterdziestym czwartym nie przyszła do mnie i nic mi nie powiedziała. Nie było jej tamtej nocy i rano też jej nie było, i przez wszystkie dni i wszystkie noce, które potem nadeszły, nie było jej także. Kiedy ucichły hałasy, zeszałam na dół, nasza służba, Joži, Franc i Fani, wszyscy stali i patrzyli na mnie. Co się dzieje, spytałam. Co się właściwie stało? Już poszli, oznajmiła Joži. A gdzie jest Veronika? Poszła z nimi, odparł Franc, Leo też. Ale wróca, pospieszyła z wyjaśnieniem Fani. Skąd wróca? Skąd? Poszli w góry, do chaty myśliwskiej, powiedział Franc, muszą porozmawiać, na pewno wróca do rana. Dlaczego mieliby iść nocą do chaty, w głębokim śniegu? Tym razem odezwała się Joži, Franc wygaduje głupstwa, co by robili w chacie myśliwskiej, odjechali samochodem w inną stronę. Franc przytaknął, jasne, co by robili w chacie, pojechali autem, jasne. Dokąd pojechali? Na dużym stole w jadalni poniewierały się resztki jedzenia, wśród niedbale rozstawionych talerzy stały kieliszki, kilka było przewróconych. Daliśmy im jeść, powiedziała Fani, byli głodni, pan Leo kazał dać im jeść.

Tej nocy nie spałam, świt nie chciał nadejść. Rano jej nie było, jego też. Znowu pojawiły się pytania. Dlaczego poszli nocą? Dokąd? Z kim? To prawda, Leo nie zawsze nam mówił, dokąd się wybiera, często bywał w Lublanie, często wyjeżdżał w interesach. Tym razem jednak wziął ze sobą Veronikę. Dlaczego? Veronika nic mi nie powiedziała, zawsze przychodziła do mnie, kiedy jechała do Lublany. A teraz okazuje się, że poszli dokądś z nocnymi gośćmi. Kim byli ci ludzie? Niczego nie mogłam zrozumieć. Ale na pewno, myślałam, na pewno Leo wiedział, dlaczego tak trzeba zrobić. Musiałam pogodzić się z tym, że poszli. Wróca jednak, jak zawsze wracali. W myślach mieszały mi się wydarzenia, dręczyły mnie różne pytania, zawroty głowy nie minęły następnej nocy, następnej nocy znów nie spałam.

Teraz też nie śpię albo budzę się z zawrotami głowy jak tamtej nocy. W sercu czuję pustkę.

Co noc przywołuję Petra, żeby z nim porozmawiać. On potrafi mnie uspokoić. Nigdy nie odwiedza mnie w dzień, w dzień siedzę przy oknie i wyglądam na ulicę. Obserwuję twarze i sylwetki ludzi. Znam już wielu, nie zwracam na nich uwagi, na kolejarzy, którzy idą rano do pracy, i tych, co wracają z nocnej zmiany, na przekupkę, która ciągnie na targ wózek pełny wiosennych jarzyn ze swojego ogrodu, oficera z domu po przeciwnej stronie ulicy, który odjeżdża na rowerze, młodego człowieka, który bez powodzenia próbuje uruchomić kaszlący motocykl, a potem długo obchodzi go ze wszystkich stron. Kiedy jednak ulicą idzie nieznamą kobietą, kołysząc miękko biodrami, serce bije mi szybciej. Dopóki nie znajdzie się pod moim oknem, dopóki nie zobaczę jej twarzy i nie przekonam się, że to obca osoba. Ktoś przyjdzie, wiem na pewno, że przyjdzie. Jeśli nie Veronika, jeśli nie Leo, to może Stevo, może on przyjedzie na koniu ze swoich koszar, wbiegnie po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i zasapany wpadnie do pokoju ze słowami: Veronika za-wiadamia, że... a może po prostu pojawi się ktoś nieznamy i przyniesie list. Albo kartkę, na której będzie napisane: mamusiu, nie martw się, wszystko jest w porządku. Albo przyjdzie Filip i powie: Horst, ten lekarz z Monachium, odpisał, że Veronika i Leo żyją, są zdrowi. Powiedziałam Petrowi: znów się obudziła we mnie nadzieja, odkąd wiem od Filipa o liście do Monachium. Gdyby już przyszła odpowiedź, dowiedziałabym się, gdzie teraz są i kiedy wróci Veronika.

Wróci, powiada Peter, jasne, że wróci.

A ja mu na to: gdyby została ze Stevem, nic by się nie stało, nie zniknęłaby półtora roku temu z nieznanymi ludźmi pewnej mroźnej styczniowej nocy. Nie mogę uciec przed tą myślą. Zostałaby w mariborskim mieszkaniu, nawet gdyby Steva gdzieś poniosło z tym jego wojskiem. Nie mieszkałaby na zamku w Podgorsku i nie poszła stamtąd gdzieś w nieznanne. To ja ją namawiałam, żeby wróciła do Leona. Był jej mężczyzną, troszczył się o nią przez cały czas i kochał ją, choć sprawiła mu wielki ból, uciekając na południe z serbskim oficerem. Znała Leona od dziecka, na spotkaniach dwóch dużych rodzin zawsze usiłował być blisko niej, później zresztą też, ale gdy Veronika chodziła do szkoły, nie zwracała na niego uwagi. Interesowała się najróżniejszymi rzeczami, sportem, tańcem, końmi, sztuką, wszystkim, tylko nie Leonem. Nawet pilotażem. Zapisła się na kurs jako jedyna kobieta w Lublanie, a potem okazało się, że jest pierwszą kobietą w całej Jugosławii, która zdała egzamin na pilota. Wszyscy wiedzieliśmy, że Leo ją uwielbia, że jest do niej bardzo przywiązany. Wszyscy wiedzieliśmy i widzieliśmy, oprócz niej samej, przynajmniej tak się nam wydawało od dawna. I wszyscy chcieliśmy, żeby się odnaleźli, nie żeby się zbliżyli, bo cały czas byli sobie bardzo bliscy, kto wie, czy nie za bliscy. Może znali się za długo i za dobrze. Może właśnie dlatego Leo był zbyt zamknięty w sobie. A później zbyt zajęty, odziedziczył fabrykę w Lublanie, został właścicielem dużej kopalni w Serbii. Najpierw zamknięty w sobie, potem zajęty, a Veronika pełna energii, radości życia, ciekawa wszystkiego, wszystkich spraw tego świata. Wkrótce po ślubie, do którego po prostu musiało dojść – Veronika powiedziała, że było to jak przeznaczenie – moja córka oszalała na punkcie koni i jazdy konnej. Wydawało mi się, że jak przeznaczenie były te konie, a nie ślub z Leonem, przynajmniej wtedy tak myślałam.

Bo skandal wywołany jej niespodziewanym zniknięciem, kiedy okazało się, że postąpiła haniebnie i niegodziwie, uciekając z kochankiem, oficerem kawalerii, był wprost niesłychany. Jej dotychczasowe wyczyny, pilotowanie samolotu, spacer z aligatorem po ulicach Lublany czy potajemny wyjazd nad morze już po ślubie z Leonem, były niczym w porównaniu z lawiną plotek i oszczerstw, która ruszyła po tym wydarzeniu. Wszyscy czuliśmy się oszołomieni i przygnębieni, długo nie mogłam z nikim rozmawiać. Zamknęłam się w domu, poszukałam fotografii Petra. W środku nocy przyszedł do mnie mój ukochany nieżyjący mąż, jej ojciec, który nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Peter, powiedziałam, wiesz, spotkało nas wielkie nieszczęście. A on tylko się uśmiechnął, jak zawsze, gdy żył, zobaczyłam, że poruszył wąsami, na tamtej fotografii miał jeszcze wąsy i brodę, uśmiechnął się więc i powiedział: na świecie zdarzają się o wiele gorsze rzeczy. Zawsze potrafił zbagatelizować każdy problem, ale dla mnie nie było wtedy gorszej rzeczy. Jego Veronika zostawiła wszystko – a miała to, co młoda kobieta może sobie tylko wymarzyć – i uciekła do południowej Serbii, gdzie klepała biedę w jakimś oficerskim mieszkaniu. Gdyby Peter żył, pękłoby mu serce. Leonowi złamała serce, ale on doszedł do siebie, miał mnóstwo pracy, wielkie interesy wymagają wielkiego zaangażowania, więc pozbierał się i pracował dużo więcej niż do tej pory.

Zajął się kupnem obrazów i drogocennych antyków, to była jedyna radość, jaka mu pozostała. Widywano go co prawda z pewną przyjaciółką, ale nic z tego nie wyszło, dla Leona istniała tylko jedna kobieta – Veronika. Był eleganckim mężczyzną. Spokojnym. Człowiekiem interesu. I kochał Veronikę, mnie zresztą też, był po prostu dobrym człowiekiem. A Veronika w jakimś serbskim mieście, gdzieś daleko na bułgarskiej granicy, gotowała i prała serbskiemu oficerowi. W listach zapewniała mnie, że jest szczęśliwa. Kiedyś napisała, że hoduje kury, bo pensja oficera kawalerii nie należy do najwyższych, a dodatkowe wynagrodzenia trafiają się rzadko. Kury! Twoja Veronika, powiedziała Petrowi, w zapadłej serbskiej dziurze, gdzie wszyscy cuchną śliwownicą, hoduje kury! Ona, młoda dama, którą podziwiała cała Lublana! Po to ją posłaliśmy na studia do Berlina? Nasi przodkowie też hodowali kury, odparł Peter, bywało, że i świnie. Peter czasem potrafił mnie rozzłościć, umiał pogodzić się z tym, co go spotykało. A ja nie. Najpierw byłam bardzo zła, nawet nie mogłam odpisywać na listy Veroniki. Później chciałam jej pomóc, rozmawiałam z nią przez telefon, błagałam, żeby przyjęła pieniądze, które jej posłałam, ale odrzuciła moją pomoc, przesyłka wróciła. Jeśli człowiek decyduje się zerwać z czymś, musi być konsekwentny, powiedziała. Nie chciała pieniędzy. Mój Boże, o co tu właściwie chodzi? spytałam Petra. Pogodziła się z losem.

Ale Leo nie pogodził się z losem. Załatwił przeniesienie jej ukochanego do Słowenii, na granicę z Austrią, do Mariboru. Dostali mieszkanie dla oficerów. Kiedy pierwszy raz do niej przyjechałam, zauważyłam od razu, że z tego jej szczęścia, o którym tyle pisała, zostało bardzo niewiele. Stevo przywitał mnie ciepło, prawie serdecznie, co prawda na swój serbski oficerski sposób, czyli hałaśliwie i z głośnym śmiechem. Często nie było go w domu, ponieważ w armii trwały wtedy jakieś manewry. Veronika przesiadywała sama w mieszkaniu, towarzystwo oficerów i ich żon z całą pewnością bardzo różniło się od znajomych i stylu jej dawnego życia. Widziałam, że powoli zaczyna tracić swą życiową energię, lecz nie odzywałam się ani słowem. Veronika była osobą wolną i dlatego trochę nieszczęśliwą, ale też upartą. Gdybym wtedy próbowała jej uświadomić, w jak trudnej sytuacji się znalazła, oczywiście by zaprotestowała, więc milczałam. Któregoś razu w czasie spaceru rzuciłam uwagę, że nie trzeba upierać się przy czymś, co jest pomyłką... Zatrzymała się, spojrzała na mnie. Nie pomyliłam się, odparła. Dopiero przy trzeciej czy czwartej wizycie pewnego wiosennego wieczoru, kiedy znów zostałyśmy same, powiedziałam: wydaje mi się, że nie jest ci lekko na duszy. Znalazłam odpowiednie słowa. Gdybym próbowała robić jej wymówki: przecież nie możesz żyć tak skromnie, co to za warunki, albo: jak mogłaś uciec z oficerem, nauczycielem jazdy konnej... sprzeciwiłaby się ostrym tonem. Kiedy jednak padły słowa o duszy, z jej oczu popłynęły łzy. Naprawdę nie było jej lekko. Zadzwoiła po kilku tygodniach, chce wracać do Lublany, będzie mieszkała u mnie. Nie pomyliła się, tylko po prostu nie może tak żyć.

Wtedy rozplakałam się ja – ze szczęścia.

Dzisiaj, gdy znów siedzę przy oknie, gdy znów nadchodzi kolejny przygnębiający wieczór, nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam. Może tam, w Mariborze, nie byłoby jej lekko na duszy, ale przecież by żyła. Wiedziałabym przynajmniej, że żyje i że jest zdrowa, mogłybyśmy sobie rozmawiać przez telefon. Kiedy o tym myślę, przechodzą mnie ciarki. Lecz Veronika żyje, żyje z całą pewnością. Tylko nie może się odezwać. Może jest ze Stevem gdzieś w Serbii, a może z Leonem w Szwajcarii. Tylko nie może się odezwać, to wszystko. Jeśli będzie mogła, na pewno to zrobi, na pewno się do mnie odezwie.

Leo kupił wtedy zamek w Górnej Krainie, w podgórskiej okolicy, niedaleko Lublany. Ze stajniami, ogrodem i stawem rybnym. Za częścią mieszkalną rozciągał się las, poniżej zamku rozległe łąki, gdzie pasły się konie. Kiedy zaprosił nas, żebyśmy obejrzały posiadłość, Veronika była zachwycona. Oczarował ją nie tyle Leo – on zawsze był taki sam, elegancki, dobry, usłużny, troskliwy, wobec niej zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, jakby znów była na wycieczce w Sušku i dopiero co z niej wróciła – ile cichy poranek po przebudzeniu, delikatna mgiełka unosząca się nad łąkami. To było coś nowego. Urzekły ją krople rosy na trawie i konie w stajni, kosiarze na skraju lasu, świergot ptaków o pierwszym brzasku. Słyszałaś sowy? spytała. Pohukiwały nocą w wielkim lesie za zamkiem. Przy śniadaniu byłam już pewna, że Veronika chciałaby tu mieszkać. Po tygodniu przeprowadziłyśmy się do Podgorska. Taka była Veronika, taka jest Veronika, gdziekolwiek żyje. Kiedy zdecyduje się na coś, nikt jej nie może powstrzymać. Postanowiła wrócić do Leona. Zafascy-

nował ją zamek i okolice. Poza tym miała dość przeprowadzek, obcych mieszkań, promenad i zabaw w Lublanie, które nie pociągały jej już od dawna, chciała się ustatkować i żyć swobodnie na łonie natury.

W moim wieku od życia nie oczekuje się zbyt wiele. Gdybym jednak zobaczyła Veronikę spokojną i uśmiechniętą, postawiłoby mnie to na nogi. Tak właśnie stało się kiedyś. Jej widok sprawiłby to i dzisiaj. Od razu wstałabym i poszukała albumów z fotografiami. Ze statkami w Rijece, Petrem i Veroniką, kiedy była jeszcze małą dziewczynką w jasnej sukience i z kokardami we włosach. Byłam szczęśliwa, spacerując z nią po łąkach. Zbierałyśmy grzyby w lesie albo siedziałyśmy nad stawem. Cieszyłam się, gdy widziałam z okna, jak jeździ konno po polach. Albo z podwiniętymi rękawami koszuli stoi wśród robotników i wydaje im polecenia. Z Leonem ponownie znalazła wspólny język, znów się kochali, był troskliwy i uczynny, choć więcej czasu spędzał w Lublanie niż na zamku. Miał mnóstwo pracy, tego wymagała fabryka i kopalnia w Serbii. Najbardziej zadowolony wydawał się jednak wtedy, gdy mógł spędzić z Veroniką kilka dni, zapraszał ją nawet na polowania. To była jedyna rzecz w Podgorsku, której nie lubiła. Gdy tylko przywieziono upolowane sarny i dziki, od razu opuszczała dziedziniec. Z Lublany przyjeżdżało wielu gości, jego przyjaciele i partnerzy w interesach, jej przyjaciółki, bywali również malarze i poeci. Na półce mieliśmy każdą nową książkę wydaną w Lublanie, były też oczywiście książki niemieckie, niektóre z czasów, gdy Veronika studiowała w Berlinie, inne całkiem nowe, oboje sprowadzali je pocztą.

Przyjeżdżał pianista Vito, którego przyjmowaliśmy szczególnie serdecznie, czasem późno w noc grał na pianinie, słuchaliśmy go z podziwem, patrząc na palce artysty biegające po klawiaturze. Często bywał u nas poeta z Lublany. Podarował Veronice swój tomik *Wiersze o złotowłosych*. Napisał jej dedykację: „Złotowłosej Veronice, cóż począć – tak szybko mijają dni naszej młodości”. Roześmiała się. Lubiła się śmiać, jak wszyscy młodzi ludzie, którzy nie wierzą, że młodość szybko przemija. Ja też myślałam dawno temu, że młodość jest wieczna, to było wtedy, kiedy wędrowaliśmy z Petrem po Istrii. Ale po kilku dniach, czytając ten tomik, zrozumiałam, dlaczego Veronikę tak rozbawiła dedykacja. Poeta lubił żartować, to był żart na temat jej ucieczki z oficerem, nauczycielem jazdy konnej. Wers z dedykacji znalazłam w wierszu *Uciekajmy!* Przepisałam go, a kartkę schowałam do albumu z jej fotografiami, nadal tu jest: „Uciekajmy, zanurczmy się w szalonej radości, żeby potem, potem, potem nie było nam żal... I śpiewajmy, śpiewajmy, idąc własną drogą w dal... Cóż począć, tak szybko mijają dni naszej młodości”. Nie śmiała się beztrząsco na myśl o szybko przemijającej młodości, tylko rozbawiło ją to, że poeta znał jej tajemnicę, jeśli to w ogóle była tajemnica. Ale na pewno już nigdy nie rozmawialiśmy o tej historii.

Tak, to były piękne chwile. Veronika chodziła uśmiechnięta, ja i Peter byliśmy zadowoleni. A potem zaczęłam podupadać na zdrowiu, dużo czasu spędzałam w swoim pokoju. Oglądałam fotografie, wspominałam dni, które przeżyłam z Petrem w Rijece. Powiedziała mu: cieszę się, Peter, że teraz znów jesteśmy razem. Przecież ci mówiłam, wszystko będzie dobrze. Nie mówiłeś, zaprotestowałam, przekonywałeś mnie tylko, że są na świecie gorsze rzeczy niż to, że nasza córka hoduje kury. Że nasi przodkowie też je hodowali. I świnie. Zabijali je zimą i z ich krwi robili kaszanki. Pamiętasz, nie lubię kaszanki, słabo mi się robi na myśl, że tę świńską krew zbierali w wiadrach i jeszcze ciepłą mieszały z różnymi dodatkami. A Peter przepadał za kaszanką, to mu przypominało święta w dzieciństwie, gdy mieszkaliśmy w Rijece, zamawiał ją każdej zimy w rodzinnej wsi. Rozmawiając z Petrem, w tamte noce zawsze zasypiałam spokojnie. Rano cieszyłam oczy widokiem zielonych pól i łąk, z których dochodziły nawoływania chłopów sprzątających siano.

Leo i Veronika znów byli mężem i żoną, nie wiem, kto wymyślił tę ceremonię, w każdym razie połączyliśmy ich po raz drugi. Może wpadł na to poeta, który lubił żarty. Połączyliśmy ich dosłownie, łańcuchem. Całkiem możliwe, że pomysł tej zabawnej uroczystości podsunęła Veronika, Leo na pewno nie, on był zbyt poważny. Odbyliśmy ten pogański obrzęd zawarcia małżeństwa w wesołych nastrojach. Na zamkowym dziedzińcu związaliśmy ich łańcuchem – żeby już nigdy nie mogli się rozłączyć. Nasz poeta wypowiedział uroczyste słowa, które nie bardzo pasowały do żartobliwej ceremonii, a padają zawsze z ust duchownego, tak jak było na ich prawdziwym ślubie: „Dopóki śmierć was nie rozłączy”. Kto tamtego dnia widział Veronikę i Leona, kto widział ich później na zamku Podgorsko, mógł być pewien, że są ze sobą na zawsze, że nie może być inaczej,

cokolwiek się zdarzy, że zawsze będą razem... dopóki śmierć ich nie rozłączy. Jak dzieje się z nami wszystkimi, jak rozłączyła jej ojca ze mną i z nią, jak rozłączy mnie z tymi, których znam. Ten wiersz ma ciąg dalszy: „Kiedyś otworzą się otchłanie w grobie, wilgotne i ciemne już czekają na nas, kapryśni i przebiegli są bogowie...”. Nadchodzi jeszcze jeden ponury wieczór, przeglądam fotografię i znajduję kartkę z wierszem poety, myślę sobie, i mówię to Petrovi, że on już wtedy, w czasie tej żartobliwej uroczystości, nie przypadkiem powiedział: „Dopóki śmierć was nie rozłączy”. A jeśli naprawdę otworzyły się otchłanie grobów, a jeśli naprawdę rozłączyła ich śmierć? Nie mogę znieść tej strasznej myśli, która mąci moją samotność, czuję głęboki smutek, w głowie mam pustkę, i znów pojawia się kolejna natrętna myśl, Peter, twoja śmierć nas rozłączyła, chciałabym, żeby zabrała teraz i mnie. Tylko z kim mnie rozłączy? Z Veroniką, z tymi niewieloma ludźmi, którzy odwiedzają mnie na przedmieściu Lublany? Czy z lokatorami tego domu, kobietami w szlafrokach, mężczyznami w niedbale zapiętych spodniach, stojącymi co rano na korytarzu w kolejce do ubikacji?

Spokojne życie w Podgorsku zakłócały czasami listy, z którymi mieli problemy listonosze w bliskim Poselju, ponieważ adres na kopercie był napisany cyrylicą. Veronika ich nie otwierała. Ale drżały jej ręce, kiedy je przynoszono. Później leżały na szafce w salonie, dopóki Joži ich nie sprzątnęła. Rozumiałam, że nie mogła czytać listów od Steva. Jeśli już się z czymś zerwało, nie wolno do tego wracać. Wiedziałam, że nie jest jej lekko. Wciąż go kochała. Może czuła lęk, że wszystko wróci, gdy tylko otworzy jeden z tych listów, że znów będzie czekała na peronie jakiegoś dworca kolejowego.

Obudziłam się przed godziną i zapaliłam lampę. Nagle przemknęło mi przez myśl, ten człowiek, który dziś rano szedł w pochodzie i spojrzał w moje okno... gdzieś go widziałam, teraz byłam tego zupełnie pewna. Wstałam, wyciągnęłam z szuflady albumy z fotografiami. Odwróciłam tylko kilka kartek, szybko znalazłam zdjęcie, którego szukałam. Przed bramą prowadzącą do zamku stoi grupka naszej służby i robotników, wśród nich kilku z Poselja, od czasu do czasu przychodzili pomagać przy większych pracach.

Włożyłam okulary. Od razu wypatrzyłam młodego przysadzistego człowieka, tego, który dziś przed południem przystanął na ulicy pod moim oknem i popatrzył w górę, jakby mnie poznał, teraz wiem, że mnie poznał. Na zdjęciu opiera się o kamienny mur, koło niego stoi Joži i nieznana kobieta. Młody człowiek się śmieje, głowę odwrócił ku środkowi grupy, gdzie stoją Leo i Veronika. Veronika ma na sobie męską koszulę i spodnie do jazdy konnej, rękawy zawinęła wysoko, ona też się śmieje, znów się śmieje, „cóż począć, tak szybko mijają dni naszej młodości”, patrzy prosto w obiektyw aparatu, wszyscy mają dobre humory, oprócz Leona, on spogląda gdzieś w dal, na pola leżące poniżej zamku. W jednej chwili przypomniałam sobie, jak się nazywał ten chłopak w roboczym ubraniu. Ten, który dziś przed południem maszerował na wiec zwołany przez Marszałka. Popatrzył w moje okno, zatrzymał się na moment, a później szybko odwrócił spojrzenie.

Jeranek, to przecież Jeranek z Poselja!

Często przychodził do Podgorska, kosił trawę i przetrząsał siano, reperował okna, łaził po dachu, czasem pomagał czyścić konie. Kiedy zobaczyłam to zdjęcie, jakby mnie coś olśniło, przypomniałam sobie wszystko. I usłyszałam rozmowę, z daleka, z głębi żywego wspomnienia. Jest już po śniadaniu, na dziedzińcu stoją Veronika i Jeranek, rozmawiają.

Jak ma na imię twoja dziewczyna? pyta Veronika.

Zakłopotany Jeranek przestępuje z nogi na nogę, wpatrując się w czubki swoich butów. Na chrzcie jej dali Jožefina, udaje mu się w końcu wydusić. Tak samo jak naszej gospodyni, mówi Veronika, ale wołamy na nią Joži, przecież ją znasz. Znam, potakuje, przynosi nam drugie śniadanie, kiedy pracujemy w ogrodzie. Ale ty do swojej dziewczyny nie mówisz Jožefino, ona też jest Joži, prawda? W domu wołają na nią Pepca, odpowiada Jeranek. Veronika się uśmiecha, słyszałam, że się żenisz ze swoją dziewczyną. Stoję w drzwiach, Jeranek patrzy na mnie. Tak mówią. Veronika się śmieje: tak mówią? A co ty mówisz? Przez chwilę milczy zakłopotany. To samo, mruczy pod nosem. No to przyprowadź ją kiedyś do nas, żebyśmy mogła poznać tę twoją Pepcę, rzuca wesoło Veronika. Dam jej coś, co będzie mogła włożyć do ślubu. Odwraca się i beztrudno idzie ku bramie. A tamten stoi nieruchomo jak posąg i patrzy za nią, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić.

To był on, człowiek, który szedł w pochodzie i zatrzymał się pod moim oknem, to był Jeranek, chłopak z Poselja, który chciał się żenić z Jożefiną ze swojej wsi. Nie wiem, czy się pobrali, ale wkrótce potem przestał się u nas pokazywać, chodziły słuchy, że poszedł do lasu, do partyzantki. Ludzie przychodzili i odchodzili, w ostatnich latach po niektórych ginął ślad. Jak po Leonie i Veronice. Ogarnęło mnie dziwne przeczucie, kiedy tego ranka przystanął na chwilę pod moim oknem, spojrział w górę i odwrócił wzrok. Zanim jednak ruszył dalej, zobaczyłam, że mnie poznał. Dlaczego więc od razu popatrzył w inną stronę?

Na zamku i w okolicy zawsze się coś działo, robotnicy przychodzili do pracy i przyjeżdżali goście, nie mogę sobie przypomnieć wszystkich twarzy, niektórzy przyjeżdżali samochodami, inni szli pieszo ze stacji kolejowej, nie pamiętam wszystkich, z którymi siadaliśmy do stołu i których głosy słyszałam czasem późną nocą, gdy całe towarzystwo zostawało w salonie, a ja udawałam się do swego pokoju wcześniej, nim zabawa rozkręciła się na dobre. Potem przyszła wojna i w Podgorsku zaczęli bywać ludzie w mundurach. Ale tej nocy w moim mieszkaniu na przedmieściu Lublany zniknęło wszystko, przed oczami miałam tylko jedną postać, nawet gdy zgasiałam światło i próbowałam zasnąć, widziałam jego twarz i słyszałam tę krótką rozmowę między nim a Veroniką, patrzył za nią, jak idzie ku bramie, a dziś przed południem zatrzymał na mnie to samo zamyślane spojrzenie, on też mnie poznał, teraz wiem na pewno, że mnie poznał. Powinnam go była zawołać i spytać, gdzie jest Veronika, może on wie. To jedyny człowiek z Podgorska, którego spotkałam, odkąd znalazłam się w tym miejscu, choć prawdę mówiąc, wcale go nie spotkałam, tylko nasze spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. Nocą w myślach zbiegłam na dół, nie miałam problemów z nogami, jakbym znów była młoda, stanęłam przed orkiestrą dętą i uniosłam ręce do góry. Przestali grać. W kompletnej ciszy podeszłam do Jeranka, który patrzył na mnie zdziwiony, nie zapytam cię, czy się ożeniłeś z Jożefiną, powiedziałam. Zapytam cię, gdzie jest Veronika. A skąd miałbyś wiedzieć? odezwał się niespodziewanie Peter. Był w Podgorsku, odparłam, całymi dniami, na pewno coś wie. Uspokój się, to wszystko dlatego, że nie możesz zasnąć. Wcale nie, w mojej głowie kłębią się różne myśli, szepnęłam. Wszystko będzie dobrze, wszystko jakoś się ułoży, uspokajał mnie Peter. Jak to? Jak się ułoży? Patrzył na mnie długo ze swojej fotografii i zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu odezwał się z całkowitym spokojem: jakoś się ułoży. Zawsze jakoś się układa.

Jakoś pani przeżyje, stwierdził dziś przed południem Filip, brat Leona, dopóki to wszystko nie minie. A co ma minąć? Dla mnie wszystko minęło już dawno, i to niejedyn raz.

Śniło mi się, że jestem młoda. Czułam to bardzo żywo, miałam dopiero dwadzieścia lat. Siedzieliśmy z Petrem w gospodzie gdzieś na Istrii, zmęczeni całodniową wycieczką, miejscowi muzykanci grali i śpiewali piosenkę o dziewczynie, która ma czarne włosy, ale wszyscy wołają na nią *bionda*, sama nie wie dlaczego. Piliśmy wino. Zmęczenie, wino, muzyka uderzyły nam do głowy. Było pięknie, byłam młoda.

Po tym, co minęło, zostały mi fotografie w albumach. Tutaj jest wszystko, co było i co odeszło w przeszłość. Moje jasne włosy i czerwona sukienka na promenadzie w Rijecie. Peter, mój mąż. Nasza willa. Statek, my na pokładzie oparci o balustradę, on trzyma na ręku małą Veronikę i pokazuje jej coś w oddali na lądzie, w mieście, w którym mieszkamy. Może nasz nowo wybudowany dom i niewielki ogród z rabatami, ścieżkami, kwiatami. Jeszcze jedna fotografia: ja i Peter w łodzi rybackiej. W czasie naszej wycieczki po Istrii, wtedy już było wiadomo, że się pobierzemy, na drugiej stronie zdjęcia jest napis: *Ta łódź rybacka nazywa się batana*. Była tam też gospoda, mówili na nią *bottega*, niewielka tawerna, gdzie zatrzymaliśmy się na kolację i gdzie pierwszy raz usłyszałam tę piosenkę, jeszcze dzisiaj pamiętam jej słowa: *Tutti mi chiamano bionda, ma bionda io non sono...*

Minęło, już dawno. Najpierw odszedł Peter, umarł nagle. A potem Rijeka i dom, w którym mieszkaliśmy. Z małą Veroniką przeprowadziłam się do Lublany. Przeminięło też nasze wspólne życie, ona wyszła za mąż i zamieszkała z Leonem. Pozostały mi fotografie z ich ślubu. I zdjęcia uciekinierki Veroniki, do których pozuje w objęciach swojego oficera Steva przed nędzną kawiarnią we Vranju, kawiarnia ma nad wejściem napis Europa. Fotografie z Podgorska: w zamkowej jadalni z okazji sylwestra, w wesołym towarzystwie przyjaciół i artystów z Lublany, z Veroniką nad stawem, Leo i Veronika na koniach, ja z nimi w samochodzie, oni znów razem, para szczęśliwych

młodych ludzi w salonie przy pianinie. Na jednym ze zdjęć stoję w czerwonej sukience pośrodku łąki pełnej kwiatów z dopiero co zebranych bukietem w ręku, to było wtedy, gdy jeszcze nie miałam problemów z chodzeniem. To też minęło, i kwiaty, i moje zdrowie. A czerwona sukienka już dawno powędrowała razem z innymi ubraniami do przytułku w Lublanie. I jasne włosy minęły. Miałam jasne włosy, Veronika też takie ma.

Opowiedz, mam, poprosiła Veronika, jak grali ci *Biondę*.

W dzieciństwie opowiadałam jej, jak grali mi *Biondę*, gdy jej jeszcze nie było na świecie. Klaskała zachwycona, słuchając tej opowieści: zagrali *Biondę*, a ja zawirowałam z Petrem pośrodku kawiarni Europa, która, z ręką na sercu, wyglądała trochę inaczej niż tamta we Vranju, skąd wiele lat później przysłała mi fotografię ze swoim porucznikiem, może wtedy był już kapitanem. Chciała słuchać tej historii stale od nowa, nawet gdy była już duża i mieszkaliśmy w Lublanie, musiałam ją stale powtarzać. I śpiewać piosenkę, nie zapomniałam jej nigdy.

W sylwestrowy wieczór na zamku, był to ostatni spokojny rok przed wojną, poprosiła, żebym opowiedziała tę historię i zaśpiewała piosenkę. Zmieszałam się, zwłaszcza że do jej prośby przyłączyli się Leo i reszta towarzystwa. Niech pani opowie, prosimy, odezwał się poeta, co to za tajemnica z tą *biondą*. Dobrze, opowiem, ale nie będę śpiewać. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, zaczęłam, Peter mieszkał wtedy w Rijece, interesy szły mu nie najgorzej, znów kupił nowy frachtowiec, który stał na kotwicy w Trieście... Daj spokój z interesami, powiedziała Veronika, nikogo to nie obchodzi.

Przyjechałam więc do Rijeki. Wieczorem siedzieliśmy w kawiarni Europa, nie byliśmy jeszcze małżeństwem, w kącie sali grał jakiś zespół. Nagle Peter wstał, podszedł do muzyków i zamówił melodię. A kapelmistrz grający na skrzypcach oznajmił wypełnionej po brzegi sali: teraz zagramy dla złotowłosej damy z Lublany, i wskazał na mnie ruchem ręki. Wszyscy spojrzeli w moją stronę, zmieszałam się, pewnie było widać w świetle lamp, że spłonęłam rumieńcem. Peter wracał na swoje miejsce powoli, szedł przez całą salę prosto do naszego stolika. Poprosił mnie do tańca, a potem zatańczyliśmy. To wszystko.

Wcale nie wszystko, zaprotestowała Veronika. To była piosenka, którą kiedyś usłyszeli w jakiejś gospodzie, w *bottegze*, prawda, mam? *Bottega* po włosku znaczy sklep, ale na Istrii może to być też gospoda. Byli oczarowani piosenką. I Veronika zaśpiewała: *Tutti mi chiamano bionda, ma bionda io non sono...*, a potem przetłumaczyła: „Wszyscy mówią na mnie blondynka, lecz ja nie jestem blondynką”. Rzecz w tym, że mama była blondynką, miała piękne jasne włosy, prawie złote. Tańczyła więc nasza złotowłosa w kawiarni Europa w Rijece, opowiadała dalej Veronika, ze swoim Petrem, który jej powiedział, co ci powiedział, mam? Najwyższy czas, żebyśmy się pobrali. A co ty na to odpowiedziałaś? Przytaknęłaś, prawda, najwyższy czas. Veronika milczała przez moment, do tej pory opowieść nie brzmiała zbyt interesująco. Najwyższy czas, wyjaśniła Veronika, bo mama była w ciąży. To ja byłam w drodze, na samym początku tej drogi, zawołała. Veronika śmiała się beztrudnie, ja się speszyłam, prawie tak samo jak wtedy, gdy to się stało. A głównie dlatego, że inni też głośno śmiali się i klaskali. Tak jak w kawiarni goście zaczęli bić brawo, gdy przestaliśmy tańczyć. Było naprawdę pięknie. Poeta powiedział, że zna tę piosenkę. Jest o dziewczynie z Parenzo, po naszymu z Poreča, ta dziewczyna najpierw mówi to, co słyszeliśmy przed chwilą, wyjaśnił, a potem: *porto i capelli neri... sinceri nell'amor. Perché non m'ami più?* Ona ma naprawdę czarne włosy... szczerze w miłości. Ktoś usiadł do pianina, przebiegł palcami po klawiaturze, zaczęłam śpiewać razem z Veroniką i poetą, ja śpiewałam kolejne zwrotki, a pozostali refren, bo szybko się go nauczyli: *Perché non m'ami più!* Dlaczego nie kochasz mnie już! *La mia murusa vegia ga meso su butega*, czyli *bottega*, sklep, może też być gospoda, gdzie pierwszy raz słyszałam z Petrem tę piosenkę, moja stara przyjaciółka sprzedaje w niej wszystko, co się tylko da, *de tutto la vendeva*, polentę i dorsza... *polenta e baccalà. Perché non m'ami più!*

Jeszcze dzisiaj potrafię zaśpiewać wszystkich dwanaście zwrotek tego dziwnego walca *La mula de Parenzo*, który pod koniec przypomina skoczną alpejską melodię. Powtarza się refren „dlaczego nie kochasz mnie już”, Peter nie wybrał tej melodii w kawiarni Europa, żeby zapytać mnie o to, przecież go wtedy kochałam, pod sercem nosiłam jego dziecko, Veronikę, ale dlatego że słuchaliśmy jej na wycieczce po Istrii, urzekła nas ta piosenka, nuciliśmy ją cały czas w drodze do

domu. Piosenka o dziewczynie, która ma czarne włosy, szczerze w miłości, i sprzedaje polentę i dor-sza, śmialiśmy się beztrudnie. Peter oświadczył mi się tą piosenką.

Wszyscy jesteśmy na tej fotografii, wszyscy, którzyśmy śpiewali w tamten sylwestrowy wieczór. Potem została z niej tylko Joži, nasza gospodyni. Inni gdzieś zniknęli. Pokoje stały puste, wokół zamku nie było słycać żadnej wrzawy, ogród zarastał chwastami, nie pojawiali się robotnicy. Nie opuściła nas tylko Joži, ulubienica Veroniki. Moja córka mówiła, że to Joži jest zarządcą zamku i majątku, zawsze wiedziała, co należy zrobić w jadalni, w ogrodzie albo na polach. A potem zostałyśmy same. Oglądałyśmy fotografie. Joži też znała piosenkę o blondynce, czasem śpiewałyśmy ją razem na piętrze w moim pokoju. Wtedy już rzadko schodziłam do jadalni i na dziedzi-niec. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, poza tym nie miałam na to ochoty. Każde miejsce za bar-dzo przypominało mi Veronikę i Leona, wszędzie były ich rzeczy, nie mogłam spojrzeć nawet na wypchanego aligatora, żeby nie pomyśleć o Veronice. Rozmawiałam z Petrem. I z Joži.

W tamten sylwestrowy wieczór nie wiedzieliśmy jeszcze, że tego samego roku przyjdzie do nas wojna. Że nie ominie Podgorska.

Zostawiła ślady na zamku, skąd pewnej zimowej nocy odeszła Veronika, moja córka. Potem codziennie siedziałam przy oknie i czekałam. Przyjedzie samochodem z Leonem, pomacha z dale-ka, gdy mnie zobaczy w otwartym oknie. To było piękne wyobrazenie, ale już wtedy wiedziałam, że nie przyjadą autem. Pewnego popołudnia zesłam na dół, pomogła mi Joži, w garażu zobaczyłam samochód, na tylnym siedzeniu leżała kurtka Veroniki, zawsze wkładała ją na wyjazd. Była też jej parasolka. Zrozumiałam, że nie przyjadą swoim samochodem, więc pewnie ktoś ich przywiezie, może jeden z tych ludzi, którzy chodzili po pokojach, jedli i pili, a czasem też nocowali w zamku.

Tej wiosny znów przysli, nie pytali o nic, przysli i tyle. Kim są ci ludzie, czy to przyjacie-le Leona? Joži wyjaśniła, że są z Lublany, mówią, że na jakiś czas wynajmą zamek. Jak to wy-najmą? No wynajmą, odparła. A z kim podpiszą umowę, skoro nie ma Leona? Oni nie muszą nicze-go podpisywać, powiedziała Joži, oni po prostu wynajmują. Wtedy nie rozumiałam, teraz rozu-miem: to były nowe władze. Joži najpierw rozejrzała się wokół siebie, potem szepnęła: czasem też coś zabierają. Po kilku dniach dostrzegłam z okna, jak na ciężarówkę ładują duże obrazy z jadalni, wynieśli też kilka skrzyń i jelenie poroża, które wisały na ścianach. Jeden niósł pod pachą pudła ze sztućcami, poznałam je, zawołałam Joži: dokąd to zabierają? Wypożyczyli sobie, powiedziała, do urzędów w Lublanie. Dobrze, niech wypożyczą, pomyślałam, Leo na pewno dostanie je z powro-tem. Ale po co im poroża, wypchane głowy jeleni i dzików? Właściwie było mi wszystko jedno, a niech tam, niech zabierają, byle tylko wróciła Veronika, z Leonem albo ze Stevem, albo i sama, samochodem, na koniu, nawet pieszo, niech tylko wróci, żebym ją mogła objąć i spytać: gdzie się znów podziewałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi, dokąd idziesz? Kiedy wybrałaś się do Suška, było tak samo. I kiedy wyjechałaś ze Stevem do Serbii, też nic nie powiedziałaś. W dzień sie-działam przy oknie, jak teraz, w nocy płakałam. Ale już nie płaczę, tylko budzę się co noc i co noc wpatruję się w sufit, czekam na rano, gdy znów będę mogła obserwować twarze ludzi prze-chodzących ulicą.

Kilka dni po tym, jak z zamku w Podgorsku wywieziono obrazy i poroża, na dziedzińcu usłyszałam rozmowę między naszą gospodynią a jakimś człowiekiem w oficerkach.

Jak długo będzie jeszcze tutaj ta stara? wydarł się na Joži.

Szukają jej mieszkania, odpowiedziała.

Niech ją weźmie do siebie jakiś krewny, rzucił mężczyzna, stukając butem o ścianę, żeby oczyścić go z błota. Pani jest bardzo stara, odparła Joži. To niech ją zabiorą do siebie, wrzasnął, ja mam się o nią martwić? Tacy oni są, dodał, starego człowieka zostawiliby na ulicy. Byłam bardzo zdziwiona: przecież nie jestem na ulicy, mieszkam tu szósty rok, a Leo, właściciel zamku, jest moim zięciem.

Potem, pewnego majowego dnia, pojawił się Filip i powiedział, że znaleźli dla mnie miesz-kanie na przedmieściu Lublany, w Mostach. Joži pomogła mi zapakować dwie walizki, mężczyzna w mundurze zawiózł mnie autem na stację kolejową w Poselju, razem z Filipem, który pojechał ze mną do Lublany, i Joži, która mi pomachała, kiedy zawiadowca w czerwonej czapce uniósł lizak i pociąg ruszył. Płakała. Chciałam jej powiedzieć, żeby przestała płakać, przecież niedługo wrócę,

może razem z Veroniką i Leonem.

Nie wiem, gdzie teraz jest Joži, nie wiem, gdzie jest Veronika. Tylko Filip jeszcze przychodzi. Wczoraj przed południem powiedział mi w zaufaniu, że napisał do Monachium. Teraz musimy tylko poczekać na odpowiedź.

Mija noc, za oknami powoli świta. Z korytarza dobiegają pierwsze głosy mieszkańców, którzy już się obudzili i stoją w kolejce do ubikacji. Ktoś nalewa wody do wiadra. Jeszcze trochę poleżę i porozmawiam z Petrem. O tamtym tańcu w Rijece. Zawsze był człowiekiem spokojnym i powściągliwym, a wtedy zachował się tak odważnie. Potem pewnie usiądę w oknie i będę obserwować twarze przechodniów. Może znów pojawi się tamten chłopak, Jeranek z Poselja, zawołam go wtedy i spytam, czy wie, z kim poszła Veronika. Jeśli nie wie Jeranek, to może coś wie Horst, niemiecki lekarz. Filip napisał do niego list. Poczekał na Filipa, z daleka pomachał mi listem, który przyszedł z Niemiec. Może już tego ranka.

Kiedy dziś koło ósmej wróciłem z porannego spaceru po Luitpoldparku – jeśli to moje poruszanie się o lasce można nazwać spacerem – w skrzynce czekał na mnie dziwny list, dzięki któremu raptownie wróciłem myślą do czasów mojej służby wojskowej w górzystych rejonach Słowenii. Zupełnie nieznany mi człowiek, niejaki Franc Gorisek, pytał w tym liście, czy mam jakieś informacje o małżeństwie Zarników, Veronice i Leonie, którzy zniknęli podczas wojny. To wprawiło mnie w zły humor, bo niby jakie informacje mógłbym mieć? Minęły dwa lata, odkąd widziałem ich ostatni raz, i ja miałbym komuś wyjaśniać, dlaczego i gdzie zniknęli, co się z nimi stało?

Żona była w pracy, syn Bóg wie gdzie, a ja, jak zawsze, sam przed południem w pustym mieszkaniu, ja, człowiek, któremu za wcześnie posiwiały włosy i do niczego się nie nadaje. Tylko rano przynieść mleko i chleb, potem pójść na spacer do Luitpoldparku, wrócić Brunnerstraße, przyglądając się pracowitym ludziom, którzy odbudowują swoje zburzone domy. I wreszcie zająć się ostatnią pożyteczną rzeczą, jaką może robić codziennie: gotowaniem obiadu.

To przedpołudnie było inne niż pozostałe, w rękę trzymałem list, a ten list sprawił, że poczułem niespodziewane wzburzenie. Unikam takiego stanu ducha. My, którzyśmy przeżyli w czasie wojny to, co przeżyliśmy, stronimy od wspomnień. Każde miłe wydarzenie z tamtych czasów pociąga za sobą coś złego, lepiej, żeby niczego nie było, ani dobrego, ani złego, tylko spacer z laską, gazeta, gotowanie obiadu, to zupełnie wystarczy. I podziw dla młodych ludzi – najwięcej jest wśród nich kobiet – którzy stojąc w długich rzędach, podają sobie z rąk do rąk cegły. Budynki wyrastają z ruin, życie rodzi się i trwa dalej, co się stało, to się stało, co pogrzebały bomby i pociski, jest pogrzebane. Choć jeszcze przed kilkoma miesiącami miasto przeżywało naloty, dziś to już przeszłość, a my wszyscy, którzyśmy brali udział w tej nieszczęsnej wojnie, będziemy jutro ludźmi przeszłości. Ja takim człowiekiem już jestem, dlatego nie chcę niczego wspominać. Na przeszłości i na moich wspomnieniach powoli kładzie się cień zapomnienia. Głowę mam siwą, a jeszcze pięć lat temu siwych włosów nie było wcale. Kiedy spoglądam w lustro, wiem: dla mnie życie już przeszło na drugą stronę, na tamtą, gdzie są moi nieżyjący towarzysze, którzy zginęli w ukraińskich bagnach i na leśnych drogach Słowenii, gdy z zasadzki nadleciały partyzanckie kule, roztrzaskały szyby aut i zmasakrowały twarze ludzi, na równinach Lombardii, które w roku czterdziestym piątym wycofaliśmy się w kierunku Alp. Wtedy śmierć po prostu zaatakowała, zabiła i poszła czyhać gdzie indziej. Ale nie czułem jej tak jak teraz, bo teraz wiem, że jest we mnie, w moim ciele, które kuśtyka po mieszkaniu i rankiem wlecze się na spacer do parku, gdzie o świcie śpiewają ptaki, gdy zaś wracam, uwijają się hałaśliwe sierpniowe owady; na ulicy młodzi ludzie kładą belki na dawne miejsca, wznoszą ściany, wstawiają okna i drzwi, nawet śmiech słysząc, okrzyki zachęty. Wszędzie budzi się życie, a we mnie jest śmierć, widziałem zbyt wielu umierających, by teraz cieszyć się latem, kiedy wszystko zaczyna się od nowa; śmierć jak szczur zaległa się w moich myślach, nie chcę jednak pamiętać wojny, służby w wermachcie, niczego. Ta śmierć budzi mnie w środku nocy i daje do zrozumienia, że każdy oddech, każdy utykający krok do łazienki i z powrotem do łóżka jest tylko drogą ku pustce. Nie znałem jej, gdy w dalekich krajach była bardzo blisko, teraz widzę ją wszędzie, w opadłych liściach na porannym spacerze, w oczach starego psa, który wlecze się za swoim panem.

A ona, Veronika, o którą pytają mnie w liście, widziała ją już wtedy, gdy pochylając się nad zabłądzoną na drodze, szepnęła: spójrzcie w te oczka... Pewnego ranka powiedziała mi nad stawem w Podgorsku: pan przecież cały czas żyje między życiem a śmiercią. Ze stajni dobiegało rżenie jej konia, wschodziło słońce, za nami była długa noc spędzona w miłym towarzystwie, a ona powiedziała te słowa jak dziecko, do którego dotarło nagle, że życie przemija, że młodość przemija,

jak dziecko, które dziwi to, co dzieje się naokoło, żołnierze, mundury, zabijanie, rozjechana żaba. Próbuję o tym zapomnieć już od dwóch lat, i o niej też, choć jeszcze długo miałem w pamięci tamten poranek, jej postać, jej głos, sportowy chód i smutne, spokojne, prawie nieruchome oczy, rozjaśnione promieniami wschodzącego słońca.

Ale w ten sierpniowy poranek leżał przede mną list, który wymagał odpowiedzi. Nie mogłem opanować zdenerwowania. Stał mi przed oczami skąpany w słońcu zielony pejzaż, góry, rozległe pola, biała droga i nas troje w samochodzie, za którym wzbijają się tumany kurzu. To było tego niedzielnego popołudnia, niemal pod wieczór, kiedy rozjechaliśmy żabę.

We wrześniu czterdziestego drugiego roku, pod koniec sierpnia, może na początku września, późnym popołudniem jechaliśmy do zamku. Leo prowadził, koło niego miejsce zajęła Veronika, ja siedziałem z tyłu. Zabrali mnie z Kranja, wracając do domu z Lublany. Nie miałem akurat żadnego samochodu, zadzwoniłem więc do Leona, chciałem mu tylko powiedzieć, że nie będę mógł przyjechać na kolację, bo nie mam czym. Telefon odebrała ona: to drobiazg, stwierdziła, zabierzemy pana po drodze i pojedziemy razem. Zaprośiliśmy pianistę, będziemy słuchać Beethovena. Wahałem się trochę, moim zdaniem nie był to dobry pomysł, jeśli ludzie zobaczą ich w towarzystwie niemieckiego oficera, będą mieli im to za złe. Przed rokiem przyjęli nas całkiem spokojnie, a teraz miejscowi chłopci patrzą na niemieckich żołnierzy wilkiem. Nasze dowództwo nie zawsze działało najrozsądniej, losy wojny nie były już pewne, wieści z Rosji i Afryki nie zawsze brzmiały najlepiej. Leo to rozumiał, ale ona jakby spadła z księżycy, zupełnie nie interesowała jej polityka, wojna rozgrywała się gdzieś daleko, w Rosji, my byliśmy w ich kraju przejściowo albo przypadkiem, który nazywa się rozlokowanie jednostek w czasie działań wojennych; kiedy to wszystko się skończy, wyślemy do siebie widokówkę. Powiedziałem, że nie będę miał także jak wrócić, a rano muszę być w szpitalu na obchodzie.

Drobiazg, powtórzyła, przenocuje pan u nas, no a jutro już jakoś dowieziemy pana do pańskich pacjentów.

Veronice czasami nie można się było sprzeciwić. Nie wiem, dlaczego przypomniałem sobie to ciepłe niedzielne popołudnie już wtedy, w roku czterdziestym czwartym, kiedy we Włoszech dowiedziałem się, że zniknęli z Podgorska, ona i jej mąż. Czy tylko z powodu tamtej żaby? I teraz ta jazda znów stanęła mi przed oczami, jednostajny szum silnika, długie cienie łagodnego wieczoru.

Kiedy jechaliśmy spokojnie, Veronika krzyknęła nagle: spójrz, żaba. A chwilę później: przejechaliśmy ją. Zażądała, żeby Leo zatrzymał auto. Stanęliśmy, ona wyszła z samochodu, on spojrział na mnie przez ramię: już taka jest, czasami trochę ekscentryczna. Cofnęła się kilka kroków i przykucnęła obok przejechanego zwierzątka. My czekaliśmy jeszcze przez moment, a potem też wyszliśmy z samochodu, zapaliliśmy papierosy i podeszliśmy do niej. Veronika prawie miała łzy w oczach. Biedaczka, powiedziała, rozjechało ją koło. Choć była mocno poruszona, zainteresowała się anatomią małego ciała, jakby chciała, żebyśmy i my zrozumieli, co się tu stało. Patrz, zwróciła się do Leona, to jelita, a żołądek i pęcherz ma zmiażdżone, biedna żaba. Tu, na udzie, widać mięśnie. Leo wzruszył ramionami, Veronika wstała. Schył się, poleciała, co, nie widzisz? Leo z wyrozumiałością spełnił jej życzenie.

Zobacz te oczka, wyszeptwała, jeszcze żyje.

Potem odwróciła się do mnie: prawda, doktorze, tu nic nie można poradzić. Nie wiedziałem, czy było to pytanie, czy stwierdzenie. Zażartowałem: nie jestem weterynarzem, ona jednak spojrziała surowo i podeszła do samochodu. Na krótko wprawiło mnie to w zły humor. Widziałem przecież tyle strasznych rzeczy, ludzkie wnętrzności wylewające się z brzuchów poszarpanych pociskami, oczy ludzi, żywe, a po chwili martwe. W każdym razie cała ta historia wydawała mi się niepotrzebna, robić cyrk z powodu rozjechanej żaby i w dodatku mieć żal do innych, że nie chcą wspólnie ubolewać nad jej losem?!

Wtedy już prawie rok przebywałem w Górnej Krainie, alpejskim regionie pokonanej i podzielonej Jugosławii. Od pierwszej chwili pobytu krajobraz przypominał mi strony rodzinne, wieńiec gór otaczający nasze jeziora. Kiedy w bagnach nad Dnieprem odłamek rosyjskiego granatu rozzerwał mi ścięgno pod kolanem, najpierw przenoszono mnie z lazaretu do lazaretu – tam połatali mnie koledzy – a potem wysłano w długą podróż pociągiem do sanatorium w Bawarii, niedaleko od

domu. Zanim zacząłem chodzić, upłynęło około miesiąca, później do końca wojny trochę kulałem. Myślałem, że wyślą mnie do domu, lecz brakowało lekarzy, więc oświadczyli, że będę się świetnie nadawał do służby na tyłach. Ktoś z komisji powiedział: chyba nie będziesz już paradował krokiem defiladowym, ale chodzisz całkiem sprawnie. Skierowano mnie do Krainy. W porównaniu z tym, co parę miesięcy temu przeżyłem w bagnach nad Prypecią, było tam stosunkowo spokojnie. Pracowałem w szpitalu w Kranju, mieszkalem z kilkoma lekarzami w domu, którego właścicieli wysiedlono gdzieś na Bałkany, codziennie powtarzaliśmy sobie: ale mamy szczęście! Zwłaszcza ja mogłem się pod tym podpisać, bo zostawiłem za sobą ukraińskie mokradła, błoto, forsowne marsze, strzały z zasadzki, świst pocisków mózdzierzowych. Było tam dosyć spokojnie, mówiono o buntownikach i ofensywie Włochów, naszych sojuszników, w rozległych lasach południowej części kraju. Od czasu do czasu zdarzały się napady na posterunek żandarmerii albo patrol wojskowy, oficerowie pokonanej armii jugosłowiańskiej rozpaczliwie próbowali organizować ruch oporu, o bandach czerwonych nie wiedziano wtedy jeszcze zbyt wiele. Zdarzało się, że przywieziono jakiegoś ранnego żołnierza, głównie jednak leczyliśmy złamania, odciski i wrzody. I „chorych”, którzy po musztrze w koszarach lub po powrocie z patrolu w górskich dolinach i lasach chcieli trochę odechnąć w spokoju, trochę poleżeć w łóżku. Prawdę mówiąc, tamtego roku w Górnej Krainie dało się żyć prawie jak w Niemczech, których jeszcze nie pustoszyły naloty bombowe. Próbowałem odzyskać sprawność kolana, chodząc na długie spacerunki po spowitej poranną mgłą okolicy, skalne szczyty w oddali przypominały mi moją bawarską ojczyznę. Kiedy mocniej przygrzało słońce, pszczoły brzęczały nad kwitnącymi polami, ludzie kopali ziemniaki, wojna była daleko.

Veronikę poznałem wkrótce po przyjeździe do Kranja. W czasie mojego dyżuru, było niedzielne przedpołudnie, do szpitala przywiozła chorą, kobieta miała wysoką gorączkę, jęczała z bólu, zaczynała majaczyć. Zdiagnozowałem zapalenie wyrostka robaczkowego, zleciłem operację. Był z nią młody mężczyzna, miał na imię Jeranek, albo tak go nazywali. Zapamiętałem to, bo w moich uszach jego imię brzmiało niezwykle, poza tym spotykałem Jeranka później, kiedy odwiedzałem Veronikę i Leona w Podgorsku, gdzie wykonywał dorywcze prace. Zapamiętałem go też dlatego, że sympatyczna kobieta, która przywiozła chorą i bez przerwy trzymała ją za rękę, powtarzała to imię, Jeranek. Na pewno ją pan wyleczy, doktorze, powiedziała w bezbłędnej niemczyźnie, cały czas jej mówię, że nie powinna się bać. Jeranek też tu jest, pana pacjentka martwi się, że sobie poszedł. Jeranek to jej narzeczony, dodała, mają zamiar się pobrać. Kiedy chorą wywieziono z gabinetu, pokazała ręką na dziedziniec, gdzie przy aucie przestępował z nogi na nogę młody przysadzisty człowiek w zielonym kapeluszu, to jest Jeranek, powiedziała. Dobry chłopak.

To pani szofer? spytałem.

Nie, odparła, ja ją przywiozłam, on chciał być razem z nią, bo ją kocha.

Pani prowadzi samochód? nie kryłem zdziwienia.

Nie tylko samochód, zaśmiała się, jeśli trzeba, to i samolot.

Powiedziała, że ma licencję pilota. Na samoloty sportowe. A Jeranek czasami u nich pracuje. Bardziej niż Jeranek interesowała mnie ta elegancka i niezwykła kobieta, która podobno potrafi pilotować samolot, w co, przyznaję, początkowo nie bardzo mogłem uwierzyć. Ale na pewno umie prowadzić ten duży samochód. I mówi po niemiecku z berlińskim akcentem. Powiedziała, że studiowała w Berlinie. Mieszka na jakimś zamku w górskiej okolicy, czasami w Lublanie, gdzie też mają mieszkanie. Teraz jednak najwięcej czasu spędza na zamku, który nazywa się Podgorsko, Lublana leży w strefie włoskiej, a ona nie lubi przejeżdżać przez te okropne granice, gdzie uzbrojeni ludzie przeszukują samochody i zachowują się tak, jakbyśmy wszyscy byli przemytnikami. Spytała, kiedy może przyjechać po chorą. Odparłem, że za tydzień, mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

Tak poznałem młodą damę z zamku, a niebawem też i jej męża, który mnie zaprosił z wizytą do górskiego zamczyska, jak czasem mówiono o ich posiadłości, dziwnie to brzmiało w moich uszach, zamczysko, miałem problemy z wymówieniem tej nazwy, dlatego wołałem po prostu zamek. Poznałem również starszą panią, mamę Veroniki, panią Josipinę, i przedsiębiorczą gospodynię, która miała na imię Joži i była kimś więcej niż gospodynią, raczej powiernicą Veroniki i całej rodziny, poznałem ich ogrodnika, psa, konie. Po miesiącu byłem już u nich częstym gościem. Nie ja

jeden zresztą, na zamku zbierało się towarzystwo przedsiębiorców, wyższych urzędników z okolicznych miasteczek, ich żon, lublańskich artystów i młodych dam, przyjaciółek Veroniki. A także niemieckich oficerów, z którymi Leo utrzymywał dobre kontakty. Przydawały mu się, kiedy potrzebował dokumentów podróży, pozwoleń na pracę, wszystkiego, dzięki czemu jego fabryka mogła funkcjonować bez przeszkód. Krótko mówiąc, barwne towarzystwo najróżniejszych ludzi, którzy z dala od miasta, w bliskości natury szukali azylu, chcieli poczuć smak cywilnego, normalnego życia w czasach wielkiej wojny. Veronika była mi wdzięczna, że zoperowałem młodą wieśniaczkę, nawet dużo później przedstawiała mnie jako pana doktora, który wyleczył narzeczoną Jeranka, może niedokładnie tak, może nazwała ją jej własnym imieniem, ale ja zapomniałem, jakie to było imię.

O Jeranku usłyszałem jeszcze raz, pod koniec roku czterdziestego drugiego, może było to w listopadzie, mróz malował już na szybach lodowe kwiaty. Do ambulatorium zadzwonił Leo i poprosił mnie o drobną przysługę. Policja zamknęła jego pracownika, jest podejrzany o kontakty z partyzantami. Ale on dałby sobie za niego rękę uciąć, to spokojny, lojalny człowiek, którego nie interesuje żadna polityka. Aresztowano około trzystu ludzi, na pewno są wśród nich niewinni, a do takich niewątpliwie należy Jeranek. Powiedziałem mu: chyba nie będę mógł pomóc, tym bardziej że wpadł w ręce gestapo, a z nimi nawet my nie lubiliśmy mieć do czynienia. Potem do telefonu poszła Veronika. To ten chłopak w zielonym kapeluszu, wyjaśniła, kiedyś przywiozłam jego narzeczoną z zapaleniem wyrostka, pamięta pan, prawda? Pamiętałem, oczywiście, nasze pierwsze spotkanie. Narzeczoną rozpacza, jest przestraszona: ona, jego rodzice, wszyscy będą mi bardzo wdzięczni, jeśli będę mógł coś zrobić, ona, Veronika, też nigdy mi tego nie zapomni. Obiecałem niechętnie, że spróbuję. Gdyby nie rozmawiała ze mną Veronika, której głos brzmiał prosząco, a jednocześnie stanowczo, nie podjąłbym się tego z całą pewnością.

Zadzwoniłem do Wallnera, był zimnym człowiekiem, do tej pory zamieniłem z nim zaledwie kilka słów. Powiedział, żebym przyszedł do niego w tej sprawie. Prosto ze szpitala, w kitlu lekarskim, pojechałem do siedziby gestapo. Spotkałem go na dziedzińcu, gdy wysiadłem z samochodu. Od razu przystąpiłem do rzeczy, oświadczyłem, że jednego z tych młodych ludzi, których ostatnio aresztowano w okolicznych wsiach, dobrze znam osobiście. Trochę mijałem się z prawdą, znałem go, faktycznie, i po tym, jak z Veroniką przywiózł do szpitala swoją narzeczoną, nawet widziałem go kilka razy na zamku, ale żebym miał znać go osobiście, i to wręcz dobrze? Wallner spojrział na mnie oziębłe, poradził, żebym nie mieszał się do spraw bezpieczeństwa. Zamierzałem już zrezygnować, pomyślałem jednak, że będę musiał stanąć przed Veroniką, a wtedy nie będzie mi łatwo spojrzeć w jej smutne, może nawet zrozpaczone oczy. Posłużyłem się więc najcięższą bronią, choć wiedziałem, że używam dość ryzykownego argumentu. Powiedziałem, że osobiście, jako żołnierz Rzeszy Niemieckiej, ręczę za tego człowieka honorem oficera. Jeśli honorem oficera, uśmiechnął się drwiąco, to spróbujemy coś zrobić. Przekazałem mu informacje o aresztowanym. Po kilku dniach okazało się, że naprawdę zaszła pomyłka. Jeranek był wolny.

Nie było to łatwe. Wallner miał opinię niebezpiecznego człowieka. Kiedy rozmawialiśmy na dziedzińcu, nagle rozległ się krótki, przeraźliwy krzyk, który za moment przeszedł w długie, nieludzkie wycie. Zamilkliśmy, Wallner spoglądał na mnie pustymi, jasnymi oczami. Nie zapytałem o nic, nie odezwałem się słowem. Po chwili mówiłem dalej, jakby się nic nie stało. Ale dobrze wiedziałem, co się dzieje, kogoś przesłuchiowano. Ten, kto krzyczał, był jednym z aresztowanych, potem głośno wydzierał się na niego przesłuchujący. Wiedziałem, że używają bykowców. Znałem skutki tych przesłuchań, czasem kogoś przywożono do ambulatorium, żebyśmy go zaszyli, połatali, opatrzyli. Tego, kto zgodził się współpracować. Kto się nie zgodził, nie trafiał do mnie, stawiano go przed plutonem egzekucyjnym. Gdyby się okazało, że skłamałem Wallnerowi, mógłbym się znaleźć w pokoju przesłuchań, a może lepiej byłoby powiedzieć – w katowni.

Bardzo się ucieszyłem, kiedy po zdradzie rządu Badoglia, który wypowiedział nam wojnę, Wallnera przeniesiono do Triestu. Nie mógł się więc dowiedzieć, że Jeranek zniknął kilka miesięcy później. Według wszelkiego prawdopodobieństwa poszedł do partyzantki. Na szczęście dla mnie i mojego oficerskiego honoru Wallnera nie było już w Kranju. Może też na szczęście dla Leona, który za tego chłopaka dałby sobie głowę uciąć. Ale kiedy ratowałem Jeranka, nawet mi nie

przyszło na myśl, że nie rękę za niewinnego człowieka. Honorem niemieckiego oficera.

Tamtego dnia, kiedy roztkliwialiśmy się nad rozjechaną żabą, do zamku przywieziono nowe pianino. Z jadalni dochodziły monotonne, nieco natarczywe dźwięki, pianista sam stroił instrument. A wieczorem przed bramę zaczęły zajeżdżać auta. Słysząc było trzaskanie drzwiczek, z samochodów wysiadali nasi oficerowie w błyszczących oficerkach. Aż tyle osób będzie na kolacji? spytałem Veronikę. Ze śmiechem powiedziała, że niektórzy zaprosili się sami. Pojawiło się też kilku przedsiębiorców z Lublany, kilku miejscowych urzędników i lokalnych działaczy politycznych z żonami. Nie pamiętam już, dlaczego na tej kolacji było tylu gości, może Leo miał urodziny, a może zaprosił ich bez specjalnej okazji, jego interesy, które prowadził w czasie wojny, wymagały odpowiednich kontaktów.

Pianista, zwracali się do niego Vito, grał po kolacji Beethovena. *Sonata Księżycowa. Sonata quasi una fantasia*. Siedzieliśmy w półmroku pośród bukietów polnych kwiatów, które jaśniały ciepłymi kolorami w całym pokoju, okna były otwarte, wieczorny chłód pachniał świerkami z pobliskiego lasu. Sto palców pianisty biegło po klawiaturze, w powietrzu unosiły się na przemian ciche i ostre pasaże kompozycji fortepianowej, przypominam sobie, że byłem bardzo przejęty. Melancholijne adagio. Gdyby nie mundury, oczywiście i mój, mógłbym pomyśleć, że na świecie nie ma wojny, że jestem teraz w Konzerthalle w moim ukochanym Monachium albo znalazłem się na cudownej, szczęśliwej wyspie w jakimś obcym kraju. Patrzyłem na Veronikę, oddychała głęboko, jakby muzyka przenikała ją całą albo jakby nachodziły ją wspomnienia, pomyślałem, że jest jej ciężko na duszy i pewnie się rozplacze. Ale nie. Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki dramatycznego finału, spoglądając przed siebie, milczała chwilę, po czym roześmiała się jak szczęśliwe dziecko, podeszła do pianisty i objęła go czule.

To był niezapomniany wieczór. A właściwie noc. Większość gości pożegnała się po koncercie. Przez otwarte okna słyszałem głosy kolegów oficerów, którzy w dobrych nastrojach po wypiciu pożegnalnego koniaku żartowali na dziedzińcu, wsiadając do samochodów. Słoweńskich gości rozwoził do domów kierowca Leona. Leo też się pożegnał, poszedł do siebie na górę. Nigdy nie prześadywał długo w nocy. Powiedział, że rano musi jechać do Lublany, w poniedziałek ma mnóstwo spraw do załatwienia. Ale zgodnie z umową może mnie oczywiście zabrać do Kranja.

Nie wiem, dlaczego tyle lat później nie chce mi wyjść z głowy tamta zielona żaba rozjechana na drodze, blahe wydarzenie, które tkwi człowiekowi w pamięci wbrew jego woli. W czasie wojny zdarzyło się tyle najróżniejszych rzeczy, a mnie na widok listu, który rano znalazłem w skrzynce pocztowej, przychodzi na myśl zmiażdżona żaba i jej oczy, jeszcze żywe, choć już martwe.

List został wysłany w Grazu przed tygodniem, na co wskazuje data stempla pocztowego. A więc poczta działa całkiem nieźle w tych warunkach, zresztą działała też bez zarzutu podczas wojny. Jednak w liście data była znacznie wcześniejsza: dwudziesty maja czterdziestego piątego roku. To oznacza, że napisano go w Słowenii i że nadawca potrzebował dużo czasu, by przerzucić list przez granicę. Jakkolwiek było, trzymam go teraz w rękę, a niejaki Franc Gorisek pyta w nim w imieniu rodziny Zarników, czy mam jakieś informacje o zaginionej parze małżonków: Leonie Zarniku, zwanym Leo, i jego żonie Veronice Zarnik. Czy w trakcie swojej służby w Karyntii, do której należała wówczas Górna Kraina, słyszałem cokolwiek o okolicznościach, a zwłaszcza o skutkach ich zniknięcia? Był napisany w starej niemczyźnie, imię i nazwisko nadawcy prawie na pewno zostało zmyślane. Przypuszczałem, że autorem jest jakiś krewny, który w tych czasach nie może się ujawnić, wiadomo, czym groziło nawiązanie kontaktów z byłym niemieckim oficerem, okupantem, nazistą, jak nas teraz nazywają, wszystkich bez wyjątku. Rodzina upoważniła go do napisania listu, bo chciałyby wiedzieć, czy zaginione osoby jeszcze żyją, jako że nie ma o nich żadnej informacji.

A skąd miałbym wiedzieć, co się stało z Leonem i Veroniką?

W lutym czterdziestego czwartego, kiedy dowiedziałem się, że zabrali ich partyzanci, byłem w Lombardii, gdzie wraz z żołnierzami Republiki Salò przygotowywaliśmy się do kontrataku na nacierające siły sojusznicze. Wtedy nie było już ważne, że mam kontuzjowane kolano, przemieszczali nas tam i z powrotem, w obliczu wielkich wydarzeń moje utykanie i coraz silniejsze bóle spowodowane nieustannym ruchem okazały się zupełnie nieistotne. Wiadomość przyniósł mi oficer sztabowy, także przeniesiony z Górnej Krainy, choć kilka miesięcy później. Ale niejaki Franc Gori-

sek zwraca się w tym liście do mnie, ponieważ krewni zaginionych wiedzą, że byłem dobrym znajomym obojga małżonków i często odwiedzałem ich na zamku w Podgorsku, posiadłości zaginionego Leona Zarnika. Prosi więc, żebym, jeśli to możliwe, odnalazł policjantów odkomenderowanych wówczas w tamte strony, być może teraz, po demobilizacji, przebywających w Bawarii, i zapytał, czy przypadkiem któryś w trakcie przesłuchań nie słyszał czegoś o losie obojga zaginionych, o których wiadomo, że pewnej zimowej nocy w styczniu czterdziestego czwartego roku opuścili zamek z jakimś oddziałem partyzanckim i nie wrócili do Podgorska. Pod koniec listu usianego formułkami grzecznościowymi było powiedziane, że krewni są bardzo zatroskani, a starsza pani, którą na pewno sobie przypominam, mama Veroniki, jest niezwykle przygnębiona. Na zamku przebywała do zakończenia wojny, czekając na powrót córki. Teraz pani Josipina, wdowa po przedwcześnie zmarłym Petrze, mieszka sama w Lublanie, cały czas siedzi przy oknie, żyjąc nadzieją na rychły powrót Veroniki, i bardzo bym jej pomógł, gdyby poznała prawdę, jakakolwiek by była.

Pańscy przyjaciele, napisał ów człowiek na końcu listu, byli dobrymi ludźmi i jak sam pan dobrze wie, nie współpracowali z władzami okupacyjnymi.

No ładnie, pomyślałem, nie współpracowali z władzami okupacyjnymi, to dlaczego teraz zwracacie się z pytaniem o ich los do przedstawiciela wojsk okupacyjnych, choćby tylko lekarza wojskowego? Dlaczego pan Gorisek nie zapyta raczej nowych władz, tamtejszych, przecież to ich wojsko, kiedy jeszcze nie byli nową władzą, wyciągnęło Zarników z zamku i uprowadziło. Oczywiście wiedziałem, że to niemożliwe, ale trochę mnie rozżłościło dziwne, niezręcznie sformułowane postscriptum: w końcu pan doktor, nosząc niemiecki mundur, częstymi wizytami wzbudził zainteresowanie partyzantów i naprowadził ich na myśl o ewentualnej współpracy Leona i Veroniki z okupantem, przyczyniając się w ten sposób, z całą pewnością niechcący, do uprowadzenia, a może nawet uśmiercenia państwa Zarników. Dlatego będą wdzięczni za odpowiedź, którą należy wysłać na poste restante w Grazu, i podają numer skrytki pocztowej.

Co mam odpowiedzieć?

Że jestem winien ich śmierci, bo razem słuchaliśmy Beethovena? Bo jeździłem ich samochodem? Bo czytałem reportaż z „Morgenpost” o bitwie nad rzeką Teterew gościom na zamku? Ten dziwny przypisek wyprowadził mnie z równowagi. Tak dzisiaj widzi się to, co działo się niecałe dwa lata temu. Winny jest każdy, kto zgodnie ze swoją wolą, albo wbrew niej, nosił mundur. A ja miałbym być odpowiedzialny za śmierć, oczywiście śmierć, cóż by innego, dwojga sympatycznych ludzi! List porwałem i wrzuciłem do kosza, postanowiłem, że już nie będę myślał o tej bzdurnej pisaninie.

Po chwili zaczęło mnie kłuć w piersiach, poczułem ciężar i przygnębienie, jakby nadchodził atak, który kończy się zawałem. A jeśli naprawdę swoimi wizytami spowodowałem ich zniknięcie, jeśli zabrali ich i zrobili z nimi to, co zrobili? Jeśli jestem sprawcą ich śmierci? Oczywiście, że śmierci, nie jestem starszą panią, która wierzy, że żyją. Że gdzieś ich ukryto albo umożliwiono im wyjazd za granicę. Albo że oboje uciekli kto wie gdzie. Kogo tamci zawlekli do lasu, nie wracali żywy. Nie mieli ani czasu, ani możliwości ciągnąć ze sobą podejrzanych i aresztowanych. To wiem na pewno. Sami łazili po lasach i brnęli przez zasypane śniegi niczym wilki. Jak więc zimą czterdziestego czwartego mieli wlec z oddziałem jeszcze i Zarników? A w ogóle powinni zapytać kogoś innego, przecież do Podgorska przyjeżdżali także inni oficerowie, dużo wyżsi szarżą i mający całkiem inne zadania służbowe niż moje. To prawda, niektórzy wprosilili się sami, oboje, Leo i Veronika, znali niemiecki, nie byli uwikłani w politykę, a my na anektowanym terytorium, gdzie wszyscy patrzą na człowieka krzywo, bo nie rozumie ich języka, i gdzie na odludziu ostrzeliwuje się samochód z niemieckimi żołnierzami albo nawet wybucha bomba w kantynie oficerskiej pośrodku miasta, tęskniliśmy do życia towarzyskiego. Słuchanie Beethovena i rozmowa z normalnymi ludźmi, którzy za plecami nie kryją noża lub wrogiego zamiaru, sprawiały, że w czasie wojny życie było podobne do życia. Ci, którzy chowali się po leśnych wąwozach albo czaili się na górskich zboczach, na wszystko oczywiście patrzyli inaczej. Kto pozostawał z nami w przyjacielskich kontaktach, okazywał się potencjalnym zdrajcą. Właściwie zdrajcą był już wtedy, gdy oferował niemieckim oficerom gościnność, kolację i koncert, podczas gdy oni głodowali, marzli, uciekali i ciągnęli ze sobą swoich rannych. Poza tym mieli swoje informacje, a wśród służby na zamku na pewno swo-

ich ludzi.

W roku czterdziestym trzecim, kiedy w tamtej okolicy coraz częściej dochodziło do starć i kiedy do mojego gabinetu coraz częściej trafiali nasi żołnierze ranni w walkach z partyzanckimi bandami, zacząłem zauważać to, czego wolałbym nie widzieć i o czym wolałbym nie wiedzieć. Wtedy, mimo moich problemów z nogą, coraz częściej pakowano mnie do wozu sanitarnego i wieziono do jakiejś wsi albo w góry, gdzie przeprowadzał akcję nasz oddział, tam czekałem, aż sanitariusze przyniosą byle jak opatrzonych rannych żołnierzy.

Pewnego jesiennego wieczoru, kilka dni po kapitulacji Włoch, wracałem z udanej akcji naszego oddziału na płaskowyżu nad idyllicznym jeziorem Bohinj. Zapragnąłem trochę spokoju i towarzystwa Veroniki, muszę przyznać, głównie jej towarzystwa, poleciłem więc szoferowi skręcić w lewo, do Podgorska. Kiedy podjechaliśmy tam, była już noc, tylko na pierwszym piętrze paliło się światło. Kierowcę i auto zostawiłem na drodze, postanowiłem najpierw sprawdzić, czy na zamku jeszcze nie śpią. Nie chciałem, żeby tak późno niepokoił ich hałas samochodu. Drzwi wejściowe były otwarte, w słabym świetle padającym z okien zobaczyłem sylwetki ludzi, którzy wynosili jakieś skrzynie i wędrowali z nimi w stronę lasu. Poczekałem moment, żeby zniknęli, i wszedłem na dziedziniec. Stał tam Leo z grupą obcych mężczyzn, o czymś rozmawiali. Przywitałem się głośno, zapadła cisza, prawdę mówiąc, wszyscy zamarli na widok mojego munduru. Leo też był zaskoczony. Podeszedł szybkim krokiem, nie spodziewał się mnie o tej porze, ale wita serdecznie, był niezwykle rozmowny, on, który częściej milczał, niż mówił. Od razu zaprowadził mnie do jadalni. Zanim weszliśmy do środka, grupka mężczyzn już się rozproszyła. Przemknęło mi przez myśl, wyraźnie to pamiętam, że Leo ma jakieś kontakty z ludźmi z lasu, nie tylko z nami, z nimi też. Przypomniałem sobie, jak mnie prosili, oboje, o interwencję w sprawie Jeranka, ich robotnika. Wtedy jego aresztowanie uważałem za pomyłkę, którą szczęśliwie mogłem naprawić dzięki jednej rozmowie, teraz wiem, że to wcale nie była pomyłka. I że tamtego wieczoru przecucie mnie nie myliło. Nie zapytałem o nic, to nie moja sprawa, niech się tym, jeśli trzeba, zajmują Wallner i jego ludzie, nie chciałem nic wiedzieć ani o ich robotniku Jeranku, ani o skrzyniach, które razem z nieznanymi ludźmi znikają w lesie. Nie chciałem wiedzieć, co jest w skrzyniach wynoszonych z zamku, a najbardziej byłbym zadowolony, gdybym wcale tego nie widział.

Leo Zarnik miał kontakty z ludźmi, których my nazywaliśmy bandytami, a oni sami siebie partyzantami. My uważaliśmy ich za bandę zbrodniarzy, a oni twierdzili, że są armią wyzwolenczą. Wśród jego robotników na pewno byli ludzie, którzy śledzili to, co się dzieje na zamku, dzisiaj wydaje mi się to całkiem możliwe. Jeśli tak było naprawdę, to musieli też wiedzieć, że moja znajomość z Veroniką nie była żadną współpracą z okupantem.

To gdzie tu jest moja wina?

Jeżeli o mnie chodzi, mam sprawę z głowy. Zdecydowałem, że nie odpowiem na list i że nie będę się tym zajmował. Skończyła się wojna, po całych Niemczech, moim zrujnowanym kraju, także błakają się matki w poszukiwaniu zaginionych dzieci, także tu siedzą przy oknach i czekają na synów. Albo żony na mężów. Nie obchodzi mnie, co się stało z tymi ludźmi w Krainie, teraz znowu części Jugosławii, komunistycznej. Ale te bzdurne słowa, to postscriptum, że moje częste wizyty w niemieckim mundurze przyczyniły się do... to postscriptum towarzyszyło mi cały czas, trafiało do serca, gdzie pojawiło się niebezpieczne klucie połączone z przygnębieniem, gdzie już i tak przyczał się ten szczer, który sprawia, że pod koniec ciało słabnie, a myśli stają się powolne, który przyprósza głowę siwizną.

Wyciągnąłem skrawki podartego listu ze śmieci, złożyłem je i przeczytałem jeszcze raz. Zacząłem się zastanawiać, czy znam kogoś z policji, kto pełnił tam służbę, bo jeśli służył w tamtych stronach, na pewno przesłuchiwał jakichś bandytów. Przypomniałem sobie Wallnera, który przez pewien czas mieszkał w Kranju przy tej samej ulicy co ja, to właśnie przez niego udało mi się uratować przed więzieniem, a może nawet obozem koncentracyjnym tego chłopaka ze wsi, Jeranka, najemnego robotnika z Podgorska. Ale Wallnera, człowieka bezwzględniego, który i tak nic by nie powiedział, rozerwał pocisk gdzieś na skraju lasu w okolicy Triestu na Krasie. A gdybym nawet znał kogoś, to kto kilka miesięcy po zakończeniu wojny chciałby się przyznać, że przesłuchiwał partyzantów w jakiejś gestapowskiej piwnicy? No i kto mnie, lekarzowi wojskowemu, chciałby za-

ufać? Wreszcie skąd mogę wiedzieć, kim jest ten Franc Gorisek, dlaczego mam wierzyć, że naprawdę zbiera informacje dla rodziny, z litości dla starej kobiety?

Wiem tylko: tak jak ze mną nie zaprzyjaźnili się z żadnym z gości bywających na zamku. Veronika studiowała w Berlinie, pewnego ranka spytała mnie, jak jest teraz w tym mieście nad Szprewą. Gdy tylko przypomniałem sobie ten poranek, porę między nocą a dniem, staliśmy wtedy nad stawem koło zamku, jakbyśmy zatrzymali się między życiem a śmiercią, pojawił mi się przed oczami jej obraz: Veronika w wieczorowej sukni przechadza się wśród gości elastycznym, sportowym krokiem, Veronika w męskiej koszuli z podwiniętymi rękawami prowadzi konia ze stajni i macha do mnie wolną ręką, Veronika pochyla się nad martwą żabą i mówi: spójrz na te oczka, jeszcze żyje, prawda, doktorze, tu nic nie można poradzić.

Nie, tu nic nie można poradzić.

Jej postać widziałem za każdym razem, gdy w Lombardii następowały przerwy w walkach, gdy cichły ogłuszające eksplozje albo syreny, które ostrzegały przed nadlatującymi bombowcami i samolotami myśliwskimi. Towarzyszył mi nawet jej głos, słyszałem go wyraźnie w chwilach ciszy. Czy byłem w niej zakochany? W jakimś sensie tak. Czuję się samotny, a ona okazała się zachwycającym zjawiskiem w barbarzyńskich czasach. Kiedy ją poznałem, w tamtych stronach panował niezwykle spokojny, ptaki śpiewały pośród drzew, pszczoły brzęczały nad kwitnącą gryką. Pianista, chyba miał na imię Vito, grał Beethovena. Od czasu do czasu zachrapał pijany malarz. Szanowałem także jej męża, na swój sposób lubiłem tego poważnego człowieka, zawsze ubranego bez zarzutu, ale pragnąłem jej towarzystwa, i to bardzo. Jest to właściwie jedyne jasne, aż do bólu jasne wspomnienie z czasów wojny, wszystko inne, co pamiętam, to transporty wojskowe, przemieszczanie jednostek po całym kontynencie, lazarety z rzeżącymi rannymi, jeńcy rozstrzelani ostatniego lata we Włoszech, którym sprawdzam puls. I ja, jak pisze w postscriptum niejaki Franc Gorisek, miałbym być odpowiedzialny za to, co się stało, ja miałbym być, mówiąc wprost, winny jej śmierci? I jego. Jeśli on utrzymywał kontakty z niemieckimi oficerami, bo miał w tym cel, bo chciał, żeby funkcjonowała fabryka, żeby dobrze szły interesy, jeśli interweniował u nich w sprawie ludzi z okolicznych wsi, których bez tej interwencji wsadziliby do więzienia, wywieźli do obozu koncentracyjnego albo nawet rozstrzelali, jeśli on w ten sposób, nieumyślnie i moim zdaniem bez swojej winy, nawet patrząc na to ich oczami, oczami partyzantów, wplątał się w coś, co się nazywa polityką, jeśli to znaczy, że sam na siebie wydał wyrok w postaci nocnej wizyty uzbrojonych ludzi, marszu przez śnieżne zasy do lasu nad zamkiem, to dlaczego musieli zabrać także ją, Veronikę?

Dlaczego ona, dlaczego Veronika?

W tamtym czasie nie spotkałem nikogo, kto byłby tak daleko od wojny jak ona. Konie, wiejskie wesela, malarze i poeci z Lublany, życie służących i kucharek wydawało jej się ważniejsze niż wydarzenia i wieści z Rosji czy Afryki, o których często rozmawialiśmy, tak jak zresztą i o tu-tejszych partyzantach, atakujących nasze kolumny na samotnych górskich drogach albo podpalających posterunki żandarmerii. Nie lubiła tych rozmów, zwykle wstawała od stołu, kiedy zaczęliśmy mówić o polityce, broni i wojnie. Nawet teraz nie wiem, czy ją to nudziło, czy znalazła swój sposób na przeżycie niebezpiecznych czasów. Nienawidziła wszelkiej przemocy. Gdy myśliwi wracali z polowania obładowani ustrzeloną zwierzyną, nie czekała na nich na dziedzińcu, stała przy oknie, patrzyła na zabite zwierzęta i ze smutkiem kiwała głową. Jeżdżąc konno, nie używała pejca. Wstrząsnęła nią nawet rozjechana żaba. Może po prostu się bała, nie chciała mieć do czynienia z tymi strasznymi czasami. Choć miała do czynienia z ludźmi, którzy zgodnie ze swoją wolą albo wbrew niej byli głęboko zaangażowani w wydarzenia tych straszných czasów.

Tylko jeden jedyny raz odniosłem wrażenie, że interesuje ją wojna, a właściwie kawaleria.

To było tej nocy, kiedy oprócz pianisty w salonie pozostało kilka osób, wszyscy domagali się nowych melodii, oczywiście już nie Beethovena, *Sonaty Księżycowej* nie można było powtórzyć, tylko niemieckich piosenek, smutnej *Lili Marleen*, i słoweńskich, ludowych, Veronika nuciła je cichutko pod nosem. Siedziało z nami dwóch jej krewnych, a może krewnych Leona, jakiś malarz z Lublany, który szybko upił się prawie do nieprzytomności i zasnął w fotelu, przyjaciółka Veroniki, jej imienia i twarzy nie potrafię sobie przypomnieć mimo najlepszych chęci. Lokaj nalewał nam wina, umilkliśmy, pianista był zmęczony. Wtedy niespodziewanie odezwała się Veronika,

powiedziała: przecież jest wojna. Spojrzeliśmy na nią. Na to ona odwróciła się w moją stronę: Horst, niech pan powie, jak jest na wojnie, prawdziwej wojnie, jak to jest na froncie. Wiedziała, że byłem na froncie wschodnim, wiedziała, że nie lubię o tym opowiadać.

Słyszałam, mówiła dalej, że Polacy walczyli konno przeciw waszym czołgom.

To prawda, przytaknąłem, ułani. Byli odważnymi żołnierzami, ale w starciu z naszymi wozami bojowymi nie mieli najmniejszej szansy. Lekka kawaleria przeciw ciężkim pojazdom... choć widok był straszny, szarżowali pod ogniem armat i karabinów maszynowych, wyglądało to niemal śmiesznie. Jakby byli z innych czasów.

Długo milczała, potem powtórzyła: z innych czasów.

A co w tym było śmiesznego? spytała po chwili.

Nie odpowiedziałem, ona zaś stwierdziła, nie podnosząc głosu: to znaczy, że zabijaliście tych ułanów i ich konie.

Mnie tam nie było, odparłem, ale o ile wiem, nasze oddziały kosiły ich karabinami maszynowymi. Nie było śmiesznie, było strasznie, we frontalnym ataku kawaleria nie odgrywa żadnej roli strategicznej, nie ma żadnej siły rażenia. Każdy piechur może zestrzelić z konia najlepszego jeźdźcę, nawet z dużej odległości. Albo zabić konia, dorzuciła. Nie chciała dać za wygraną. Wiedziałem, że kocha konie, nie miałem pojęcia, co jej odpowiedzieć. Nie było tam pana, w jej słowach brzmiał gniew, jakbym to ja ponosił odpowiedzialność za to, że w czasie wojny zabija się konie i że polscy generałowie wysłali kawalerię przeciw naszym czołgom, nie było tam pana, to gdzie w ogóle pan był?

Poczułem się rozżalony.

Przypomniałem sobie, że w kieszeni mam wycinek z gazety, kilka dni temu przysłał mi go pocztą przyjaciel z Monachium, któremu z powodu złego stanu zdrowia udało się uniknąć mobilizacji. Był to artykuł z „Morgenpost” z czterdziestego pierwszego roku. Do dzisiaj przechowuję ten wycinek, wszędzie woziłem go ze sobą. Nad tekstem o bitwie na ukraińskich mokradłach przyjaciel napisał: „Czy cię tam przypadkiem nie było?”. Byłem. Nie wiedziałem, że właśnie o naszej dywizji pisano w niemieckich gazetach. Że kilka dni po tym, jak zdychaliśmy w nadrzecznych bagnach, czytano o nas w codziennej prasie przy maśle i miodzie, mleku i herbacie, bo wtedy w Niemczech wszystkiego było jeszcze w bród. Taka piękna daleka wojna, bitwa o „czarodziejski worek” nad rzeką Teterew.

Powiedziałem, że nie będę opowiadał, ale mam przy sobie artykuł, opisano w nim wydarzenia, w których brałem udział. Kto chce, może przeczytać.

Niech pan sam przeczyta, poprosiła Veronika, inni też zaczęli mnie do tego zachęcać. Czuję się zakłopotany, nie było jednak odwrotu, skoro zacząłem, musiałem kontynuować. Dostałem kieliszek wina, usiadłem w fotelu pod lampą. Malarz zachrapał cicho, przez sen powiedział coś po słoweńsku, rozległ się śmiech gości. Spytałem, o co chodzi. Veronika machnęła ręką: nieważne, proszę czytać. No więc zacząłem, ale nie mogłem sobie darować, by nie dorzucić kilku słów komentarza do tego tekstu w podniosłym stylu.

Rzeka Teterew, rozpoczyna swój reportaż korespondent wojenny Oswald Zunkner, płynie na północny wschód od Kijowa przez naddnieprzańskie bagna i moczary Prypeci. Nie jest szczególnie szeroka, gdzieś ma najwyżej czterdzieści pięć metrów, ale jej koryto przechodzi w półtorakilometrowy pas mokradeł, gęsto porośnięty zaroślami trzciny, pełen zagłębień z wodą i chaszczy, pod spodem natomiast kryje się niezwykle groźny wróg: ruchome piaski. Oddziały niemieckie utworzyły w tym pasie jeden z wielu „worków”. Ten akurat był mały, taki, jaki może utworzyć pułk piechoty, żołnierze dali mu jednak ważną nazwę – „czarodziejski worek”. Historia tego małego „worka”, donosi „Morgenpost”, jest napisana krwią.

Patrzyłem na te litery, jakbym pierwszy raz czytał artykuł, ręce lekko mi drżały. Tak, krwią, także moją, pomyślałem. Właśnie tam, nad rzeką Teterew, zostałem ranny. Nie w bitwie, którą opisuje korespondent wojenny, ale kilka dni później. Tego jednak nie powiedziałem owego wieczoru. Wicie państwo, korespondent wojenny, starałem się wyjaśnić, jest jak ptak, który krąży nad nami, żołnierzami, pograżającymi się w lepkim błocie. Pisze, że bagna i odnogi rzeki Teterew są przeskodą nie do przebycia nie tylko dla wozów pancernych i samochodów ciężarowych, ale i dla ka-

walerii. Lecz nie dla piechoty, nas pognano w błoto, prosto pod ogień rosyjskich armat, które waliły bezlitośnie, aż łamały się wierzchołki drzew i powietrze huczało od nadlatujących pocisków. Spadały na nas fragmenty pni i odłamki granatów. Teraz drżał mi także głos. Po kolana, mówiłem dalej, czasem nawet po pas w wodzie i błocie, starałem się wszędzie dotrzeć z torbą sanitariusza, dezynfekowałem, opatrywałem rany, ciągnąłem poszkodowanych w miejsca, gdzie było sucho. Ale korespondent wojenny, ptak unoszący się nad nami, pisze, że dowództwo dywizji wydało rozkaz, trzeba było zająć wieś K., której z jednej strony strzegą mokradła, z drugiej las, a z trzeciej leniwy bieg czterech odnóg rzeki Teterew. Atak frontalny był szaleństwem, wyjaśnia, lecz właśnie w to szaleństwo pchnięto nasze oddziały.

Z góry, z ptasiej perspektywy, nie widzi, że żołnierze grzęzną w błocie, że co chwila ktoś znika pod powierzchnią stojącej, cuchnącej wody, że kłębkami gazy zatykam dziurę w ramieniu jakiegoś młodego człowieka, któremu z ust wydobywa się krwawa ślina, tego nie widzi. Ale widzi, jak pisze, że w ciągu sześciu godzin oddział posunął się dwa kilometry do przodu, zdawałoby się niedużo, lecz w takich warunkach to wyjątkowy sukces. Żołnierze dostali rozkaz całkowitego milczenia, czekają na kolejny atak. Na czele oddziału stoi stary siwowłosy dowódca z bawarskim medalem za odwagę. To ten szaleniec, który się chwalił, że razem z Rommlem w bitwie nad Socą pod Kobaridem podczas pierwszej wojny przedzierał się przez zasieki z drutu kolczastego, a teraz gna nas przez śmierdzącą wodę, w której toną krzyki, w której toną trupy.

Trzeba być ostrożnym, pisze dalej korespondent z ptasiej perspektywy, bo czerwoni kryją się wszędzie, wśród zarośli trzciny, w lesie i w błotnistych okopach. Jazgoczą karabiny maszynowe, przed naszymi żołnierzami pojawia się jakby rój pszczoł. Jest niebezpiecznie, ponieważ siły nieprzyjaciela są przynajmniej pięciokrotnie większe. Ale niemiecka artyleria zaczyna strzelać z wielką dokładnością, roztrzaskując bolszewikom głowy. Rosjanie się tym nie przejmują, ich ogień też jest coraz silniejszy. Walka rozgorzała na całej linii.

Zauważyłem, że goście bardziej przejęli się słowami korespondenta wojennego, niejakiego Oswalda Zunknera, niż moimi komentarzami. Słuchali w napięciu, nie zabrzęczały kieliszki, nie zakrzypiało krzesło, nawet lokaj stał przy drzwiach bez ruchu. Oddałem więc głos korespondentowi:

I nagle prawdziwa niespodzianka, z wielkim hukiem wyłania się z lasu chyba tuzin wozów pancernych. „Wszyscy tu padniemy!”, mówi dowódca. Jakiś podoficer też jest tego zdania. Ale żaden z żołnierzy nie dopuszcza myśli, by można było oddać bolszewikom choćby kawałek zdobytego terytorium.

Wtem niemiecka artyleria zaczyna strzelać z niesamowitą precyzją. „*Mein Gott*, dzielni chłopcy!”, z tym okrzykiem młody żołnierz osuwa się na ziemię, umierając w chwili największego zapału. Niemcy atakują, na czele oddziału kroczy porucznik G. uzbrojony w pistolet maszynowy. Żołnierze padają jak muchy. Porucznik dowcipkuje: „To piekło, kto wie, czy nie jesteśmy już martwi?!”, jednak nie pomaga to rozwiązać sytuacji. Niemożliwe, by oddział, który tonie w błocie, rażony krzyżowym ogniem jednostek wroga, wykonał zadanie. Pole walki usłane jest ciałami nieprzyjaciół, ale i my ponieśliśmy straty. Udało nam się wycofać nad brzeg rzeki. Najlepsi pływacy ściągają mundury i ratują rannych. Rosjanie znów nacierają, lecz w żaden sposób nie są w stanie rozbić drugiego oddziału. Cel, a więc utworzenie nowego przyczółka na skrzydle nieprzyjaciela, nie został osiągnięty, korespondent wojenny Oswald Zunkner kończy swój opis, na wojnie jednak nigdy nic nie toczy się gładko.

Przyznaję, potrafił pisać, końcowa część reportażu robiła wrażenie. Znów chciałem coś dodać, ale się rozmyśliłem. Nie powiedziałem nawet tego, że z mojej perspektywy, nie ptasiej, lecz zabiej, błotnistej, mokrej, przerażonej i krwawej, te wydarzenia wyglądały inaczej. Ktoś z gości, przerywając ciszę, powtórzył: tak, na wojnie nigdy nic nie toczy się gładko. Potem nagle wszystkim rozwiązały się języki. Pianista doszedł do siebie, przebiegł palcami po klawiaturze. Tylko Veronika milczała. Po jakimś czasie podeszła do mnie: a więc taka jest wojna. Tak, odparłem, mniej więcej taka. Wtedy został pan ranny w nogę. Przytaknąłem: szrapnel rozerwał mi ścięgno pod kolaniem, dostałem Krzyż Żelazny i kurację na tyłach. Przyjechałem tu dzięki „czarodziejskiemu workowi” nad rzeką Teterew. I poznałem panią, właściwie spotkało mnie szczęście. Szczęściem jest to, że nie zginął pan w tej bitwie, tylko to można nazwać szczęściem. Trochę wcześniej, w czasie rozmowy

o polskiej kawalerii, czułem, że prawie mnie nienawidzi, była sarkastyczna i stanowcza. A teraz powiedziała: to szczęście, że nie zginął pan w tej bitwie. Nagle poczułem, że jej zmęczone, ciepłe spojrzenie przenika mnie do głębi, przez głowę przeleciała mi myśl, że w tej chwili jesteśmy sobie bardzo bliscy, niemal zbyt bliscy jak na dwoje ludzi, z których jedno ma męża, a drugie żonę.

Tej nocy wcale nie położyłem się spać. Przy śniadaniu poczekałem na Leona, który potem odwiózł mnie samochodem. Prawdę mówiąc, auto prowadził jego szofer. Całe szczęście. Po takiej nocy nie bardzo byłem w stanie rozmawiać z wyspanym i trzeźwym współpasażerem, więc pograżyłem się w półśnie na tylnym siedzeniu. Ich głosy dochodziły do mnie jakby z oddali, mówili po słoweńsku, słowa, których nie rozumiałem, rozbrzmiewały niczym spokojna melodia, słyszałem opanowany, niemal monotony głos Leona i myślałem o jego żonie.

Przed oczami miałem jej twarz, promienną, wyróżniającą się z całego towarzystwa, jej sportowy krok, którego nie mogła ukryć długa czarna suknia z frędzelkami w kolorze czerwonym. Lokaj niemal zaniósł malarza do łóżka; widząc pierwsze promienie słońca zagląające przez okna, dwaj krewni i przyjaciółka Veroniki udali się do swoich pokojów. Zostaliśmy sami. Powiedziała, że ma ochotę się przejść, jest taki piękny, pełen rosy poranek, jeśli chcę, mogę jej towarzyszyć. W ostrym porannym powietrzu szliśmy powoli nad staw. Spotkaliśmy kobiety spieszące na zamek, pewnie miały posprzątać po naszej nocnej zabawie. Na widok właścicielki zamku w wieczorowej toalecie i mężczyzny w oficerskim mundurze, mężczyzny, który nie był jej mężem, spojrzały na siebie wymownie.

Veronika powiedziała, że czasem przychodziła tak rano nad Szprewę, to było wtedy, gdy studiowała w Berlinie. Odwróciła się do mnie: jak jest teraz w Berlinie? Nie wiem, odparłem. Dość słabo znałem Berlin, byłem tam tylko raz. Jest ranek, jak i tu, a po Szprewie pływają małe kaczki, dodała, nurkują pod mostami. I dalej opowiadała o berlińskim poranku. Z jednej strony zamku wschodziło słońce, po drugiej wisiał jeszcze sierp księżyca. Zatrzymaliśmy się nad wodą. Było jasno, cicho, sennie, aż do bólu pięknie w tym czasie szaleństwa. Ze stajni dobiegło rzenie konia. To on, przerwała milczenie, znam jego głos. Nie powiedziała, jak ma na imię, tylko on, koń, jakby słyszała głos człowieka, nie konia. Nad tamtą rzeką, nad rzeką Teterew, był pan między życiem a śmiercią. I z tego powodu, zażartowałem, jeszcze teraz kuleję. Nie była w nastroju do żartów. Dopiero dzisiaj dowiedzieliśmy się od pana, gdzie został pan ranny. Milczałem. Jakby pierwszy raz wojna weszła do naszego domu, odezwała się po chwili. Wziąłem ją za rękę i spojrzałem jej w oczy. Chciałem powiedzieć: dobrze jest żyć, coś w tym rodzaju, dobrze jest stać nad stawem o wschodzie słońca.

Wtedy usłyszeliśmy, jak ktoś gwizdże. Cofnęła rękę. Koło stodoły stał młody mężczyzna, patrzył na nas. O, nasz Ivan, powiedziała Veronika. Poznałem go, to był Jeranek. Chłopak zniknął w drzwiach stodoły, już się nie odwrócił. Śledzi nas? spytałem. Ach, rzuciła Veronika, to dobry człowiek, chociaż czasem trochę uparty. Uśmiechnęła się lekko: wydaje mi się, że mnie lubi. Po chwili ruszyliśmy ścieżką wokół stawu.

Właściwie, odezwała się po dłuższym milczeniu, dopóki nosi pan ten mundur, cały czas żyje pan, chwając życie i oglądając śmierć. Spoglądałem na słońce, spoglądałem na błądy sierp księżyca wiszący nad równiną. Między życiem a śmiercią, pomyślałem, wszyscy tak żyjemy, między nocą a dniem, jak teraz. Już jej nie dotknąłem. Chociaż bardzo chciałem. Ona była niedotykalna. Pociągająca, ale niedotykalna.

Taka pozostanie w mojej pamięci.

Widzę ją tej nocy. Czuję jej obecność, chociaż dotknąłem jej tylko wtedy, gdy wziąłem ją za rękę, czuję ją, jakby jeszcze teraz była tutaj.

Nie mogę myśleć o tym, co ją spotkało, co z nią zrobili, nie mogę.

Nie odpowiem na ten list. Ponownie zebrałem podarte papierki i spaliłem je. Przyglądałem się płomyczkowi w popielniczce. Zapaliłem papierosa. Teraz leżę i patrzę w sufit. Zbliża się świt. Jeszcze jeden. A później będzie wieczór. Wreszcie nadejdzie noc, kiedy szczur dopadnie serca albo mózgu i najpierw wszystko przechylą się, potem oderwie i spadnie na tamtą stronę, gdzie każdy z nas kończy. Słyszę dzwonki tramwajów. Wstanie ranek, po jednej stronie będzie świeciło słońce, po drugiej będzie wisiał sierp księżyca. *Sonata Księżycowa.*

Żyjemy w czasach, kiedy szacunek zdobywają wyłącznie ludzie, żywi lub martwi, którzy gotowi byli walczyć, a nawet poświęcać się dla wspólnych idei. Tak myślą zwycięzcy i pokonani. Nikt nie ceni tych, którzy chcieli tylko żyć, którzy kochali innych ludzi, naturę, zwierzęta, świat i czuli się z tym dobrze. W naszych czasach to za mało. A ja, choć mogę zaliczyć się do tych, co walczyli, nawet jeśli zostali pokonani, też chciałem tylko żyć. Że ma to sens, pokazała mi w czasie wojny ta ciekawa wszystkiego, wesoła, otwarta na świat i trochę melancholijna kobieta, którą spotkałem w tamtym bliskim dalekim kraju. Veronika. Chciała tylko żyć w zgodzie ze sobą i tylko rozumieć siebie i innych. Ale ją zabito. Nie mam żadnej informacji, że tak się stało, jak nie ma jej matka, która czeka na powrót córki. Jednak stało się tak prawie na pewno. Kiedy dzieją się takie rzeczy, każdy chce wiedzieć dlaczego. Ów Gorisek chciałby wiedzieć, i jej mama, kiedy się dowie, że Veronika nie żyje. W czasie wojny nie zawsze był potrzebny dobry powód, by kogoś zabić. Nie mogę pogodzić się z myślą, że przyczyną jej śmierci była przyjaźń z niemieckim lekarzem. A może sympatyzowała z nami? Kiedyś powiedziała, że w czasie wojny pojechała na dwa miesiące do Berlina, miasta swoich studiów. Zaprosiła ją przyjaciółka z uniwersytetu. W Berlinie było jeszcze spokojnie, koszmar zaczął się dużo później. Wyobrażam sobie, że znów spacerowała nad Szprewą i po Unter den Linden, że chodziła do muzeów. Powiedziała też, że przez pewien czas była tam kierownicą ambulansu sanitarnego. Jako ochotniczka. Brakowało ludzi do transportu rannych. Ktoś jej to zaproponował, a ona się zgodziła. Nie chodziło tu jednak o żadne poglądy polityczne. Jeśli ja nie zważałem na to, opatrując rannych na Ukrainie, w Krainie i we Włoszech, to tym bardziej ona nie jeździła ambulansem z sympatii do naszej wielkiej, obłąkanej wojny. Domyślam się, że w ojczyźnie poczytano by jej za złe, gdyby wyszło na jaw, co robiła w Berlinie. Ale żeby za to zabić? Choć wszystko jest możliwe. W tym czasie obłędu nie trzeba było żadnego powodu, by kogoś pozbawić życia.

Zbyt dużo widziałem, żeby myśleć inaczej, zbyt wiele śmierci, która tyle razy zdarzała się jakby mimochodem, od strzału, odłamka granatu, przed plutonem egzekucyjnym albo od zabłąkanej kuli. Zabicie człowieka było tak oczywiste jak rozjechanie żaby na drodze. To samo stało się z Veroniką, od nikogo niczego nie chciała, nikomu źle nie życzyła, tylko w złym czasie znalazła się w złym miejscu. Tam, gdzie ludzie gotowi byli zabijać. Nawet jeśli trzeba było zlikwidować kogoś niewinnego.

Minęło zaledwie pół roku od czasu, gdy przez równinę Friuli wycofywaliśmy się do Austrii. Była wiosna, w oddali, tam dokąd zmierzaliśmy, błyszczały w słońcu białe ośnieżone szczyty Alp. Wiedzieliśmy, że wojna dobiega końca, że gdy przejdziemy przez te góry, może wszystko się wreszcie skończy. Nagle na zakręcie drogi z rzadka porośniętej drzewami padły strzały. Wyglądało to na niezbyt zaciekły atak uzbrojonej grupki okolicznych mieszkańców, którzy dopiero pod koniec wojny zdobyli się na odwagę albo w ostatniej chwili postanowili powiększyć szeregi zwycięzców i zorganizowali zasadzkę na wycofującą się kolumnę niemieckich samochodów. Nie zdarzyło się nic szczególnego, strzały ucichły od razu, gdy tylko wyskoczyliśmy z ciężarówek, między drzewami migały pochylone sylwetki, które szybko zniknęły w gęstych zaroślach. Z wojskowego punktu widzenia był to zupełnie nieistotny incydent, nie ponieśliśmy też żadnych strat, tylko jeden z żołnierzy został ranny w pośladek; niezdarnie zeskakując z ciężarówki, zaczepił butem o jej burtę, wtedy musnęła go kula. Zdjął spodnie, a ja zdezynfekowałem mu ranę, kuli nie było. Żołnierze, wróciwszy z krótkiej, bezskutecznej pogoni, żartowali z białego tyłka rannego kolegi. Myślałem, że pojedziemy dalej, ale drogą nadbiegł młody porucznik, wściekle wymachując pistoletem.

Tchórze, ścierwa, wrzeszczał, zapłacą nam za to.

Po chwili ruszyliśmy. Zatrzymaliśmy się w niewielkim przysiółku położonym przy drodze dwa, trzy kilometry od miejsca zasadzki. Najpierw porucznik rozkazał przyprowadzić wszystkich mężczyzn mieszkających we wsi, o ile to miejsce, bez kościoła, a nawet gospody, można nazwać wsią. Żołnierze, w grupkach po trzech, czterech, rozbiegli się po chatach, minęło około dwudziestu minut, nim zaczęli wracać z ujętymi chłopami. Żniwo okazało się skromne nie tylko dlatego, że wieś była mała; młodszych mężczyzn już dawno zgarnęły różne armie, które przechodziły nieopodal. Do miejsca, gdzie stał ciągle wściekły porucznik, żołnierze przywlekli kilku przestraszonych starców. Porucznik wezwał tłumacza i oznajmił nieszczęśnikom, że zostaną rozstrzelani za napad na

niemieckie siły zbrojne. Starcy trzęśli się ze strachu, zobaczyłem, że jeden ma mokrą nogawkę. Uformował się pluton egzekucyjny, wybrani żołnierze powoli i niechętnie stawali w odpowiednim szyku. Na pewno nie widzieli w tym żadnego sensu. Siedziałem w wozie sanitarnym, sytuacja była tak niedorzeczna, niemal zbierało mi się na wymioty. Nie z powodu współczucia, bo współczucie zostało gdzieś na ukraińskich bagnach w czterdziestym pierwszym roku, ale totalnego absurdu, który sprawi, że ci starzy ludzie stracą życie tego wiosennego dnia w scenerii białych błyszczących w słońcu gór. Gdy rozległa się salwa, czterech upadło od razu, piąty trzymał się na nogach. To był ten, który zsiakał się ze strachu. Słyszając rozkaz, machnął rękami i pochylił się do przodu, kula tylko musnęła mu głowę, krew polała się po twarzy, ale nie upadł. Porucznik wezwał mnie, bym stwierdził zgon tych, którzy leżeli na ziemi. Wskoczyłem z auta, wziąłem torbę sanitarną, nie wiem, dlaczego myślałem, że starcowi zabandażuję głowę. Co mamy z nim zrobić? spytał porucznik, patrząc na oszołomionego, przerażonego człowieka, który niezdarne dreptał między ciałami, łapał się za głowę i zdziwiony patrzył na zakrwawione dłonie.

Milczeliśmy. Porucznik powiedział mu przez tłumacza, żeby się uspokoił, bo nie może go zastrzelić. Nie wiem, czy przetłumaczył dosłownie, ale starzec przestał się kręcić. Kazał mu uklęknąć. Tłumacz przetłumaczył. Stary człowiek ukląkł z trudem, najwyraźniej bolały go kolana. Porucznik podszedł bliżej, zarepetował pistolet i strzelił mu w tył zakrwawionej głowy. Krew pomieszana z odłamkami czaszki trysnęła na jego ręce. Ruszyłem się, żeby sprawdzić puls rozstrzelanych starców, lecz żołnierze już wskakiwali na ciężarówki, więc też się odwróciłem i wsiałem do wozu. Cały się trząsałem. Ale nie z powodu tego, co widziałem przed chwilą. Dlatego że nic nie powiedziałem. Powinienem był krzyknąć: do diabła, to już nie ma najmniejszego sensu. Miałem wyższy od niego stopień, może by mnie posłuchał, choć był dowódcą oddziału, a ja zaledwie lekarzem, który mógł rozkazywać tylko jednostce sanitarnej, czyli dwóm podstarzałym sanitariuszom. Gdybym krzyknął w obecności żołnierzy, ten szaleniec gotów był wymierzyć we mnie pistolet. Powinienem był przynajmniej wziąć go na bok i porozmawiać. Ale nie kiwnąłem nawet palcem. Przestraszyłem się. Wojna już się kończyła, wiedzieliśmy, że nie potrwa długo, nie chciałem zdrzeć z niebezpiecznym, rozwścieczonym młodym człowiekiem. On też wiedział, że to koniec. Dlatego strzały z zasadzki doprowadziły go do takiej wściekłości, czuł się pokonany i poniżony, bo teraz, kiedy wycofuje się z tego kraju, zabijają mu żołnierzy. Choć tylko jednego trafili w tyłek. A mogliby w głowę, tak czy inaczej, nie potrafili strzelać. Żołnierze wskakiwali na ciężarówki, silniki pracowały cały czas, nie wyłączyliśmy ich wcale, tylko zatrzymaliśmy się, zabiliśmy kilku ludzi i pojechaliśmy dalej. Jeśli kiedykolwiek, to właśnie wtedy powinienem był coś zrobić, przynajmniej zdecydowanie pokazać swoją niezgodę na takie działanie. Ale nie zrobiłem nic. Z tego powodu często budzę się w nocy. Człowiekowi towarzyszy nie to, co zrobił, lecz to, czego nie zrobił. Co mógłby albo choćby próbował zrobić, ale nie zrobił.

Przez okno widziałem młodego porucznika, mył ręce, żołnierz polewał mu je wodą z kanistra. Na pewno nie pomyślał wtedy, że tuż przed końcem wojny obciążył sumienie zabójstwem pięciu starców przy jakiejś drodze na równinie Friuli. Może dzisiaj o tym myśli. Jak ja o tym, czego nie zrobiłem. Kolumna ruszyła w kierunku ośnieżonych gór. Przez tylną szybę wozu sanitarnego zobaczyłem kobiety i dzieci, które wybiegają z chat na scenę bezsensownej śmierci.

Taka jest śmierć. Jak śmierć żaby, którą rozjechaliśmy w niedzielne słoneczne popołudnie Leo, Veronika i ja. Jaka była jej śmierć, śmierć Veroniki, w zimny styczniowy dzień czterdziestego czwartego roku? W lesie nad zamkiem czy może gdzieś w górach, czy był tam ktoś, kto by powiedział: spójrz na te oczy, jeszcze żyje. Jej żywe, zawsze wesołe oczy, może zrozpaczone i puste, patrzyły na czubki ośnieżonych świerków zaraz po Nowym Roku czterdziestego czwartego, może widziały je, zanim zgasły. Te świerki, na które spoglądały co rano, kiedy oświetlało je słońce, kiedy po jednej stronie wschodziła płonąca słoneczna kula, a po drugiej w niezmiernym, czystym błękitcie wisiał sierp księżyca w ostatniej kwadrze.

Przyszli w środku zimy, jak wilki nocą.

Było ich pewnie z dziesięciu, może więcej, wszyscy uzbrojeni. Chodzili po zamku, zaglądali do pokojów, grzebali w szufladach, na dziedziniec wynosili najróżniejsze rzeczy. Nie pytali o nic, nie powiedzieli, dlaczego i po co przyszli, nie krzydzeli ani nie grozili, w milczeniu wykonywali swoje zadanie, tylko od czasu do czasu padał krótki rozkaz. Wystawili strażę, zobaczyłam, że jeden z nich stanął z karabinem w rękę przy wejściu, jego sylwetka wydawała mi się znajoma, ale była noc i choć dziedziniec rozjaśniało światło księżyca, nie mogłam go rozpoznać, nie znałam też żadnego z tych, którzy weszli do środka, bo nie pochodzili z naszych stron.

Uzbrojeni przybysze ruszyli do pomieszczeń na piętrze, słyszeliśmy, jak otwierają szafy i przesuwają meble. Veronikę i Leona zamknęli w jadalni, my zostaliśmy w kuchni. Zabronili nam wychodzić. Strażnik, który został z nami, widział, że jesteśmy bardzo przestraszeni i że nie ma mowy o jakiegokolwiek ucieczce. Powiedział więc, że wszystko skończy się dobrze, jeśli będziemy siedzieć cicho i spokojnie. A niby jak mieliśmy się zachowywać, skoro strach przenikał nas do szpi-ku kości. Po jakimś czasie, gdy się przekonał, że nikt się nie rusza, że wszyscy patrzą przed siebie, bo nawet jedno na drugie nie mieliśmy odwagi spojrzeć, zszedł do piwnicy. Pewnie po butelkę wina. Wtedy ja wyśliznęłam się na dziedziniec. Sama nie wiem dlaczego, może myślałam, że powinnam pobiec do wsi i powiadomić ogrodnika Majcna, co się tu dzieje. On zawsze potrafił dać sobie radę, wiedziałam, że ma kontakty z naszymi, może przyszedłby na zamek i wyjaśnił, że pan Leo pomagał partyzantom, i wszystko skończyłoby się dobrze. Bo ci, którzy przyszli, nie byli stąd, nie mogli więc tego wiedzieć, poza tym wyglądało na to, że są dość zdecydowani. Jeśli uzbrojeni ludzie wdzierają się nocą do domu, wydają się niebezpieczni, dzicy. Byłam jednak mocno zdenerwowana, zapomniałam, że jeszcze jeden strażnik stoi przy wejściu na dziedziniec, w takich okolicznościach człowiek nie bardzo wie, co robi, toteż prawie wpadłam na żołnierza pilnującego bramy.

To był Jeranek.

O, wysapałam zadyszana, Ivan! Jak dobrze, że tu jesteś. A on na to: wracaj, nikomu nie wolno wychodzić. Zaczęłam mu tłumaczyć, że włamują się do szaf i szuflad, co to wszystko ma znaczyć, demolują meble spokojnym mieszkańcom, pana i panią zamknęli w jadalni, służbę w kuchni. Niech wejdzie do środka i niech im wyjaśni, że to pomyłka, że tu mieszkają dobrzy ludzie, którzy nikomu nie zrobili nic złego. Często dawaliśmy partyzantom żywność, a nawet ubrania. Milcz, odparł Jeranek, to jest akcja. Jaka akcja? krzyknęłam głośno. Nerwowo rozejrzał się po dziedzińcu. Przypomnij sobie, powiedziałam ciszej, bo nie chciałam go rozgniewać, jaka dobra była dla ciebie pani. Przez moment wydawało się, że jest lekko zakłopotany, spojrzął pod nogi i szurnął butem o ziemię, jak zawsze, gdy chciał powiedzieć coś ważnego. A potem pokazał ruchem głowy na drzwi, co oznaczało, że mam wracać, skąd przyszłam. Ivan, odezwałam się cicho, to ja, Joži, przecież mnie znasz, przyniosę ci kiełbasy i sera. Nagle, jakby w jednej chwili oprzytomniał, zdjął karabin z ramienia i popchnął mnie, zachwiałam się, upadłam w zaspę śniegu. Warknął: wynoś się, wracaj natychmiast... Pewnie wyglądało to tak, że go nie zrozumiałam, naprawdę trudno to było zrozumieć, złożyłam ręce jak do modlitwy, jakbym prosiła go niczym Boga, ale to rozwścieczyło go jeszcze bardziej, rzucił przez zęby: bo zastrzelę jak kota.

Odwróciłam się i pobiegłam z powrotem. Zawołał coś za mną, obejrzałam się i zobaczyłam, że w porywie złości kopie pryzmę śniegu. Co się z tobą dzieje? krzyknęłam przez dziedziniec. Myślałam, że jest mu ciężko na duszy, bo musi stać na straży, podczas gdy jego towarzysze buszują po zamku i grabią własność ludzi, którzy wobec niego zawsze byli w porządku. Dobrze wiesz, zawołałam, że nic ci nie zrobili. Wtedy on powiedział coś tak okropnego o pani Veronice, że nie po-

trafię tego powtórzyć nawet w myślach, wyjątkowo obrzydliwe kłamstwo. Dzisiaj wydaje mi się, że zrobił to, bo było mu ciężko. Nie wiedział, że Veronika wyciągnęła go z więzienia, kiedy Niemcy wyłapali po wsiach młodych ludzi, potem niektórych rozstrzelali jako zakładników. A ja wiedziałam, bo usłyszałam pewnego wieczoru, jak mówi do Leona: wypuszczą naszego Ivana. Dzięki Bogu, odparł Leo. Ale i doktorowi, dodała Veronika, jemu też trzeba podziękować. Słyszałam to na własne uszy, nigdy jednak nie rozmawiałam o tym z Ivanem. Już i tak wszyscy patrzyli krzywo na właścicieli zamku, ponieważ do Podgorska przyjeżdżali Niemcy, zresztą podejrzewali również nas, służbę. Gdyby wiedzieli, że Veronika ma wpływy wśród wysokich przedstawicieli niemieckich władz, byłoby jeszcze gorzej. Pewnego razu zauważyłam, że ten nasz Ivan chodzi naburmuszony z powodu pani Veroniki, sama nie wiem, dlaczego powiedziałam mu wtedy: powinieneś się cieszyć, pani ci bardzo pomogła. Pomogła, jasne, burknął jak uparty osioł, który niczego nie rozumie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo, i odwróciłam się do niego plecami. Może tamtej nocy na dziedzińcu, kiedy wygadywał te okropne rzeczy, powinnam mu była jednak powiedzieć. Ale wszystko działo się tak szybko, nie było czasu na myślenie.

Wróciłam do kuchni. Panowała tam cisza, słychać było tylko brzęk zastawy i sztućców, które Fani przed chwilą przyniosła z jadalni i teraz myła je drżącymi rękami, sztućce co chwila spadały jej na podłogę. Pozostali w milczeniu patrzyli przed siebie, czekając, co się wydarzy. W pokojach na górze ustały hałasy, za to głosy zaczęły dochodzić z pokoju myśliwskiego, gdzie przybysze rozsiedli się, żeby coś zjeść. Nie pierwszy raz. Pan Leo często nocą otwierał przed nimi drzwi zamku i gościł ich, a oni, odchodząc, wynosili pełne plecaki. Wiedziałam o tym, bo nieraz szykowałam dla nich kielbasę i ser, dlatego wciąż byłam pewna, że nie może się przydarzyć nic złego. Ogrodnik Majcen mówił mi, że pan załatwił tym z lasu nawet maszynę drukarską, zaopatrywał ich więc nie tylko w żywność. Często nocowali w jego chacie myśliwskiej wysoko w górach. Jest mądry, powiedział Majcen, nikomu nie chce się narazić, ani Niemcom, ani naszym. Wiedziałam, że jest mądry, i dlatego cały czas myślałam, że wszystko skończy się dobrze.

Ale w powietrzu wisiało coś złowieszczonego.

Nigdy nie wdarli się na zamek, nigdy nie rozbijali się po wszystkich pokojach jak tej nocy. Prawdę mówiąc, dotychczas wchodzili tylko do kuchni, nawet nie zaglądali do innych pomieszczeń. Teraz zamknęli nas w kuchni, a pana i panią w jadalni. Tego wieczoru Majcna nie było na zamku, służbę miały dwie pokojówki i Fani, było też kilku robotników, jeden z nich, Franc, pomagał Majcnowi w ogrodzie. No i starsza pani, mama Veroniki, na górze w swoim pokoju. Bałam się o nią, była słabego zdrowia, gdyby więc jakiś uzbrojony człowiek wszedł do jej pokoju, na pewno przestraszyłaby się na śmierć. W kącie kuchni za stołem siedział mężczyzna, którego nie znałam. Od czasu do czasu pociągał łyk wódki, patrzył przed siebie w milczeniu, do nikogo nie odezwał się słowem. Podobno był hodowcą koni, pochodził gdzieś z Igu koło Lublany. Do dziś nie wiem, kim był i co tego wieczoru robił na zamku. Może chciał sprzedać pani Veronice nowego konia, ale takie rzeczy załatwia się w biały dzień, dlaczego więc siedział u nas jeszcze wieczorem? W samym środku ostrej zimy? Nie wiem, wielu rzeczy nie wiem i nie rozumiem. Nie mogę pojąć, dlaczego wierzyłam do końca, że nie może się zdarzyć nic gorszego. Że zabiorą trochę rzeczy, nazywali to rekwizycją, zapakują na wóz i odjadą.

A potem otworzyły się drzwi i do kuchni weszła młoda partyzantka, kołnierzyk białej bluzki wystawał jej spod ciężkiego zimowego płaszcza, w pasie zwisała kabura z pistoletem. Która to Jożi? spytała. Wstałam. Pani dziedziczka, roześmiała się, chce z tobą mówić. Minęliśmy pokój myśliwski, gdzie głośno rozmawiało i jadło kilku ludzi. Inni oglądali strzelby myśliwskie i trofea na ścianach. Korytarzem, mokrym od stopniałego śniegu, który nanieśli na górskich butach, szliśmy do jadalni. Po drodze spotkałyśmy młodych, nawet bardzo młodych ludzi obładowanych kocami i butami.

Pan i pani siedzieli w jadalni za stołem. Trochę wcześniej jedli tam kolację. Pan Leo był bładny jak ściana. Przy oknie stał komisarz, tak zwracali się do niego ci młodzi chłopcy: towarzyszu komisarzu. Miał na sobie wojskową kurtkę, a na nogach buty z cholewami. Płaszcz przerzucił przez oparcie krzesła, o które opierał się ręką, na oparciu krzesła wisiał też karabin maszynowy. Stał odwrócony twarzą do okna, widziałam tylko jego plecy. Jeszcze teraz go widzę, patrzy na dwór,

jakby w zimową mroźną noc można było coś zobaczyć albo jakby zastanawiał się nad tym, o czym rozmawiali przed chwilą. Veronika uśmiechnęła się do mnie. Oczami i głową dawałam jej znaki, chciałam, żeby jakoś pomogła mi zrozumieć, co się tu właściwie dzieje. Ale poprosiła tylko cichym głosem: Joži, idź do mamy na górę i uspokój ją, powiedz, że wszystko będzie dobrze i żeby nie martwiła się o mnie. Dopiero wtedy spostrzegłam, że oboje są ubrani, jakby wybierali się w drogę. Ona miała na sobie spodnie do jazdy konnej i pulower, a pan Leo zimową kurtkę myśliwską, na kolanach trzymał lekki płaszcz, który zawsze wkładał na polowania. Oboje byli w górskich butach. Nie mogłam się powstrzymać, by nie zapytać głośno: a dokąd to się państwo wybierają? Mężczyzna przy oknie drgnął, tamci dwoje milczeli. Do Berlina, powiedział po chwili komisarz, odwracając się od okna.

Pani jedzie do Berlina, bardzo jej się tam podoba.

A jeśli chodzi o pana, to jeszcze nie wiemy. Oczywiście nie mówił serio. Pojechałabyś z nimi, Joži? spytał, uśmiechając się nieprzyjemnie. Żartował, mnie zaś wcale nie było do śmiechu. Skąd ci obcy ludzie wiedzą, że mam na imię Joži? I kto mu powiedział, że pani była w Berlinie? Pomyślałam o Jeranku i o ogrodniku Majcnie. Wiedzieli o wszystkim, o każdej wizycie, o tym, że pani czasem przechadzała się z lekarzem Horstem nad stawem, o pianiście i malarzu, o niemieckich oficerach i innych gościach. W tej samej chwili zrozumiałam, że ich zabiorą. Zrozpaczona rozglądałam się wokół siebie, jakby kryło się tu jakieś rozwiązanie. Zobaczyłam, że przewód telefoniczny jest wyrwany ze ściany, to mnie załamało do reszty. Byliśmy odcięci od świata, pod strażą, zdani na ich łaskę i niełaskę. Wreszcie dotarło do mnie, że to nie skończy się dobrze. Łzy napływały mi do oczu, kochałam ich oboje. Najróżniejsze myśli przelatywały mi przez głowę, kiedy patrzyłam na ten kabel wyrwany ze ściany i kawałeczki białego tynku leżące na podłodze. Przypomniałam sobie, jak pan Leo co wieczór czekał przy telefonie, żeby jego Veronika zadzwoniła z Berlina, bardzo się o nią martwił i bardzo ją kochał, gdyby tak nie było, nie ożeniłby się z nią po raz drugi, choćby nawet tak niepoważnie. Kiedy komisarz powiedział, że pani jedzie do Berlina, ogarnęło mnie złowróżbne przeczucie. A kiedy zobaczyłam, że nie działa telefon, zrozumiałam. Zaczęłam płakać. Przecież nie pójdą państwo w tę mroźną noc. Pójdą, pójdą, odparł na to komisarz. A teraz idź i zrób, co ci pani kazała, dorzucił. Ruszyłam do drzwi, minęłam młodą dziewczynę z pistoletem, która przyprowadziła mnie do jadalni i cały czas stała pod ścianą. Jeszcze raz odwróciłam się w otwartych drzwiach. Zobaczyłam smutne oczy Veroniki, wydawało mi się, że mówią: bądź dobra dla mamy, prosiła tak zawsze, gdy wybierała się w podróż, także wtedy, gdy pojechała do swojej przyjaciółki do Berlina, bądź dobra dla mamy, przecież wiesz, że jest chora. Ostatni raz, przez łzy, widziałam ich z bliska. Jego bladego jak śmierć, z płaszczem myśliwskim na kolanach, który ścisnął drżącymi rękami. Ją w stroju do konnej jazdy, z nieobecny spojrzeniem i uśmiechem, w którym kryło się polecenie.

Otarłam łzy, żeby jeszcze bardziej nie przestraszyć starszej pani, i pobiegłam na górę do jej pokoju. Ona też była ubrana. Siedziała na łóżku. Joži! zawołała na mój widok. Kiedy zobaczyła, że jestem spokojna, a wyglądałam na opanowaną, choć w środku trzęsłam się jak galareta, zapytała mnie już przyciszonym głosem: kim są ci ludzie, którzy chodzą po domu? Odparłam, że pani i pan mają gości z Lublany. Ach tak? zdziwiła się, to dłaczego otwierają szafy i trzaskają drzwiami?

Pani Josipina przez ostatni rok prawie nie ruszała się ze swojego pokoju, żyła pośród fotografii i listów. Długie życie miała już za sobą, Veronika była jej jedynym dzieckiem. Bardziej interesowały ją wspomnienia niż to, co się dzieje wokoło. Poruszała się z trudem, czasem w słoneczne przedpołudnia prowadziliśmy ją na łąkę albo nad staw, posiedziała tam trochę, popatrzyła w dal, ale zwykle szybko prosiła, żeby ją zabrać z powrotem do domu. Zawsze mi się wydawało, że najlepiej czuje się pośród swoich fotografii, znałam wszystkie, bo nieraz oglądałyśmy je razem. Najczęściej pojawiała się na nich z przedwcześnie zmarłym mężem, w ogrodzie przed willą w mieście nad morzem, na lublańskiej promenadzie, w podróży po Włoszech, wśród gołębi w Wenecji, twarze, miasta, krajobrazy, setki fotografii z całego jej życia – najlepiej czuła się właśnie w tym otoczeniu i czasie. Chyba zaczęła tak żyć już wcześniej, nim przyjechała do Podgorska. Kiedy Veronika została w Lublanie i zamieszkała gdzieś na południu, podobno w Serbii. Sama w dużym, pustym mieszkaniu bez swojej pełnej temperamentu, stanowczej córki – cóż jej zostało innego, niż

przeglądać albumy z fotografiami, na których pozuje w białych kapeluszach i eleganckich strojach w towarzystwie zmarłego męża. Veronika jednak wróciła do Leona i zabrała ją na zamek. Starsza pani była już dość wiekowa, chora i niezainteresowana bieżącymi sprawami. Słyszałam czasem, jak cichutko śpiewa po włosku piosenkę z Istrii, powiedziała, że nauczyła się jej w Rijece... *La mula de Parenzo*..., zapamiętałam te słowa. Piosenka mówi o dziewczynie z Parenzo, czyli po naszymu z Poreča, która wcale nie ma jasnych włosów, tylko czarne. I sprzedaje ryby. Pewnego razu, gdy ją spytałam, o co chodzi z tą piosenką, zaczęła mi opowiadać długą historię o tym, jak mieszkali w portowym mieście i jak kiedyś tańczyli w jakiejś kawiarni. Błyszczą jej oczy, domyśliłam się, że głęboko w sercu zachowuje pamięć o czasach, których już nie ma, że chętnie powraca do pięknych wspomnień, do ludzi, którzy są daleko albo odeszli na zawsze.

Jak w ten straszny wieczór, a właściwie noc, bo trwało to długo i była już prawie noc, kiedy poszłam do starszej pani, miałam jej wyjaśnić, kim są ci ludzie, którzy otwierają szafy i trzaskają drzwiami? A przy wejściu stoi z karabinem nasz Ivan. Jak biedna stara kobieta miałaby zrozumieć, że na dole w jadalni siedzi jej córka ubrana w spodnie do jazdy konnej i górskie buty, zmuszona do opuszczenia domu z obcymi uzbrojonymi ludźmi? Że w stroju myśliwskim siedzi tam pan Leo, którego kochała tak samo jak swoją córkę i uważała za najlepszego człowieka na świecie? Nie tylko dlatego, że wybaczył jej niespokojnej Veronice i że zamieszkali znów razem po tym, jak go porzuciła na dłużej, że ją, starszą panią, zabrał na zamek, co więcej, odwiedzał ją także wtedy, gdy była sama, gdy Veronika przepadła gdzieś daleko na południu w obcych stronach. A więc nie dlatego, tylko dlatego, jak starsza pani powtarzała wiele razy, że był dobrym człowiekiem. Zdolnym, przedsiębiorczym, znał się na interesach i finansach, a przy tym był po prostu dobrym człowiekiem. Wie pani, mówiła do mnie czasami, nie zawsze idzie to w parze. W przypadku pana Leona szło w parze, przynajmniej tak myślała pani Josipina, mama Veroniki. Nie wszyscy jednak byli tego zdania, a już na pewno nie ci, którzy trzymali go pod strażą w jadalni, bladego jak ściana, na pewno śmiertelnie przerażonego, ściskającego kurczowo drżącymi rękami płaszcz myśliwski leżący na kolanach. Jak miałabym jej powiedzieć, że pan Leo siedzi na dole w stroju myśliwego, choć wcale nie wybiera się na polowanie?

Nie, nie mogłam jej tego powiedzieć. Wyjaśniłam więc, że na dole skończyła się zabawa, przecież pani wie, niektórych trudno potem przekonać, że dobrze byłoby położyć się do łóżka. To brzmiało znajomo, nie działało się pierwszy raz, ona też bywała na takich przyjęciach, kiedy niełatwo było odciągnąć gości od stołu i wyprawić ich do domu albo zaprowadzić do pokojów gościnnych. Usiadłyśmy przy stole, zaczęła przeglądać fotografie. Już myślałam, że udało mi się uspokoić starszą panią, ale po pewnym czasie znów się zdenerwowała.

Dlaczego wciąż podchodzi pani do okna? spytała nagle.

To prawda, stale wstawałam i wyglądałam przez okno. Patrzyłam zza odsuniętej zasłony, co się dzieje na dziedzińcu, na który padało światło z jadalni. Jakaś postać niespokojnie chodziła przy drzwiach tam i z powrotem, czasem zatrzymywała się na chwilę i kopała zaspę śniegu. To był Jeranek.

Oj, Jeranek, oj, Ivan, pomyślałam, tak pięknie śpiewałeś w kościelnym chórze, a teraz grzebiesz nogą w śniegu i czekasz, aż zaborą panią, która ci pomagała. I pana, który cię zawsze chwalił za twoją pracę i płacił uczciwie. I wygadujesz takie bezceństwa, że jeszcze teraz bolą mnie uszy od tego, co usłyszałam na dziedzińcu, kiedy cię poprosiłam, żebyś wszedł do środka i wyjaśnił naszym, to znaczy swoim, że zaszło nieporozumienie. Że ci dwoje niczemu nie są winni i że nie trzeba ich stąd zabierać. Patrząc na tę niespokojną postać w płaszczu wojskowym i z karabinem, nieoczekiwanie przypomniałam sobie coś, o czym już prawie zapomniałam. I zrozumiałam nagle, dlaczego ten niemądry, choć dobry chłopak wygaduje takie okropne brednie. Było to ponad pół roku temu. Wczesnie rano, jeszcze przed śniadaniem, wyszłam na dwór i zobaczyłam Jeranka, który miał kosić trawę. Podszedł do mnie i powiedział: coś mi się wydaje, że ta twoja pani lubi Niemców. Roześmiałam się: co ty wygadujesz, Ivan, goście przyjeżdżają, to musi ich przyjąć. Ale przyjeżdżają w mundurach, rzucił Ivan, grzebiąc nogą w piasku, którym wysypany był dziedziniec, jakby coś rysował czubkiem buta. Był rześki letni poranek, nie było śniegu jak tej nocy kilka miesięcy później, gdy stał na straży. Gapił się w ziemię i grzebał nogą w piasku, bo pewnie było mu głupio.

Kto by się nie czuł zakłopotany, wygadując tak wierutne bzdury?

Jasne, że w mundurach, powiedziałam, nie mają przecież ze sobą cywilnych ubrań. Śmiałam się, bo wciąż myślałam, że żartuje. Nieraz przyjeżdżają goście z Lublany, partnerzy w interesach, panowie pisarze i malarze, czasem Niemcy z Kranja, nie może im zamknąć drzwi przed nosem. A on bez przerwy patrzył w ziemię i grzebał nogą w piasku, aż zrobiła się od tego dziura. Zwłaszcza do jednego czuje sympatię, powiedział. No, do którego? spytałam, byłam już trochę zła, najwyraźniej nie miał zamiaru kończyć rozmowy. Do tego oficera, lekarza. Co też ty pleciesz? Widziałem ich dzisiaj rano, on na to, kiedy przyszedłem kosić. Stali nad stawem o wschodzie słońca. Aleś ty niemądry, wieczorem był koncert, pan Vito grał na pianinie, później jeszcze trochę posiedzieli sobie w jadalni. Do rana? A co cię to obchodzi, byłam już mocno zła, lepiej się zajmij swoją robotą. Nie chciał jednak odpuścić, co za uparty człowiek: a gdzie był wtedy pan? Poszedł spać, powiedziałam, przecież wiesz, że nie pije i nie lubi dużo mówić. Poszedł spać, tak, pokiwał głową Ivan, a ona z niemieckim oficerem spaceruje wokół stawu. Jeśli masz na myśli lekarza, pana Horsta, to on bardzo szanuje naszą panią. Ivan się zaśmiał, nie podnosząc oczu, szanuje, tak. Szanuje, tak, potwierdziłam ze złością, wszyscy ją szanują, ty też ją szanowałeś. Zawsze była dla ciebie miła, a teraz wygadujesz takie bzdury, że muszę się za ciebie wstydić. Co by powiedziała twoja Pepca, kto ją zawiózł do szpitala, jak nie nasza pani? Jeśli się natychmiast nie uspokoisz, powiem jej o tym, nie będzie zachwycona, ona też szanuje panią Veronikę.

Myślisz, że nie wie? spytał Ivan. Wszyscy wiedzą, że pani lubi towarzystwo Niemców. Miałam już tego powyżej uszu. Weź grabie, powiedziałam, i wyrównaj piasek, grzebiesz w nim jak dzik w lesie. I żebym już nigdy więcej nie słyszała podobnych bzdur. Przestał szurać nogą, podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy. Żebyś wiedziała, Joži, naszym się to nie podoba, boję się, że to się źle skończy.

Naszym? Wtedy jeszcze się nie domyślałam, że Jeranka mogłoby coś łączyć z leśnymi, jak nazywaliśmy czasem partyzantów. Ten spokojny chłopak, który cicho robił to, co do niego należało, kosił i przetrząsał siano, pomagał przy reperacji dachu w stajni, pogwizdywał w lesie i lubił jeździć na rowerze, a w niedzielę śpiewał w kościelnym chórze, ten Ivan chyba nie miał nic wspólnego z naszymi?! Przypomniałam sobie, że przez kilka dni siedział w kranjskim więzieniu, kiedy Niemcy aresztowali młodych mężczyzn z okolicznych wsi. A kto go uratował? Veronika, ona go uratowała, poprosiła o pomoc lekarza Hubmayera. Tego, o którego głupio zazdrosny był Jeranek. Mówiło się wtedy, że Ivana zamknęli przez pomyłkę, lekarz zaręczył za niego, bo go o to poprosiła Veronika. Już chciałam mu to powiedzieć, miałam na końcu języka, ale kto wie, co działo się w tym jego upartym łbie, jeszcze mógłby to wykorzystać przeciw niej, wiedział przecież, że pan Leo pomaga leśnym, wiedzieliśmy to wszyscy. I to powinno było wystarczyć.

Mógłbyś być jej wdzięczny, powiedziałam, zawiozła Pepcę do lekarza.

Narzeczoną Jeranka zawiozła do szpitala, na swój sposób lubiła też Ivana. Nasz Ivan, mówiła, najlepiej potrafi zadbać o konie. Jego lubiła, a mnie traktowała niemal jak przyjaciółkę. Opowiadała, jak jej się żyło w Serbii. Zwierzyła mi się pewnego razu, że z tym oficerem zdarzały się trudne chwile, że tam, na południu, w jakimś małym miasteczku hodowała kury. Brzmiało to niewiarygodnie, ale ja jej wierzyłam. Nie wynosiła się nad innych, chociaż mieszkała na zamku. Kochaliśmy ją. Dała mi kiedyś bieliznę z jedwabiu. Jesteś dla mnie taka dobra, powiedziała. A prawdę mówiąc, to ona była dobra dla wszystkich, także dla niego.

To całkiem inna historia, stwierdził Jeranek, i nie powód, żeby spacerować z niemieckim oficerem, urządzać sobie przechadzki nad stawem.

Nie mogłam pojąć, jaki jest jego zdaniem związek między chorobą Pepcy a spacerem Veroniki. Byłam już rozżłoszczona, więc powiedziałam, że pewnie go poprosiła, by jej towarzyszył w spacerze.

Jasne, odparł na to z przekorą, ten niemiecki oficer wyświadcza jej wszelkiego rodzaju usługi. A może ona odwdzięcza mu się czasem?

Tego już za wiele, wynoś mi się stąd, syknęłam przez zęby, teraz byłam wściekła jak żmija, mogłabym wydrapać mu oczy. Odwrócił się i ruszył wolnym krokiem, kiedy przed bramą obejrzał się przez ramię, pogroziłam mu palcem. Nicpoń.

Może pani Veronika po prostu mu się podobała? Nie byłoby w tym nic dziwnego, wszyscy mężczyźni, nawet młodszy od niej, pozostawali pod jej urokiem, choć z powodu swojej życzliwości i bez troski bywała czasem źle rozumiana. Możliwe, że w głębi ducha podziwiał Veronikę, a kiedy ją zobaczył z lekarzem, ze spokojnym panem Horstem, o rannej porze nad stawem, odebrało mu rozum? Ale wtedy nie zaprzętałam sobie tym głowy. Mieliśmy dość innych zmartwień. Poza tym wiedziałam, że pomiędzy panią Veroniką i lekarzem Hubmayerem, panem Horstem, może istnieć wyłącznie wzajemna przychylność, co najwyżej przyjaźń. Ona była wierna swojemu mężowi Leonowi. Najradośniejszym wydarzeniem, jakie pamiętam z Podgorska, był ich ponowny ślub. Oczywiście symboliczny, bo formalnie nigdy się nie rozwiedli, tylko ona odeszła od niego, a potem wróciła. Myślę, że dobrze postąpił, wybacząc jej niewierność, tak się potrafią zachować jedynie mężczyźni z klasą. Niedługo po jej powrocie zostaliśmy zaproszeni na wesołą ceremonię. Na dziedzińcu zamkowym stały nakryte stoły, ktoś z Lublany, podobno poeta, wygłosił dowcipną mowę, a na końcu związał im ręce łańcuchem i oświadczył, że od tej pory zawsze będą razem, gdyby zaś któremuś z nich przyszło do głowy odejść, niech spojrzy na ten łańcuch. Potem dodał, jak mówi ksiądz w kościele – dopóki śmierć was nie rozłączy. Byłam na kilku ślubach i zawsze przy tych słowach coś mnie ścisnęło za gardło, wtedy też z trudem hamowałam łzy, choć tym razem wyglądało to bardzo zabawnie, wszyscy się śmiali, a najbardziej panna młoda. Zwłaszcza gdy pan Leo, który pił tylko wodę, musiał wypić kieliszek wina. Poeta powiedział, że przysięga małżeńska nie będzie ważna, jeśli się jej nie przypieczętuje nie tylko łańcuchem, lecz i winem. Dziwny był ten ślub mojej drogiej pani Veroniki.

Wiedziałam, że kocha Leona i że dotrzyma przysięgi. Ale wiedziałam też, że nie zapomniła o swojej wielkiej miłości, serbskim oficerze, dla którego na pewien czas opuściła męża. Wciąż przychodziły listy z adresem w cyrylicy, na początku listonosze mieli z tym trochę problemów, bo nie bardzo orientowali się, dla kogo są przeznaczone. Pani Veronika nigdy jednak nie otwierała tych listów, kazała mi je wyrzucać. Pewnie bała się, że zapadną jej w serce i napełnią ją smutkiem. Bo wspomnienia prawdziwej miłości, my, kobiety, dobrze to wiemy, są czasem silniejsze niż łańcuchy, którymi się wiążemy, choćby tylko symbolicznie i dla żartu. Kiedyś z kucharką Fani, zamiast wyrzucić, przeczytałyśmy jeden z tych listów. A czytając, płakałyśmy. Ponieważ ten Stevo, po naszymu Štefan, tak miał na imię mężczyzna, z którym uciekła do Serbii, pisał tak pięknie i z takim uczuciem, bez niej był tak nieszczęśliwy, że na pewno płakałaby i ona, gdyby przeczytała ten list. Wiedziałam, że dla jej związku z Leonem, dla spokoju w rodzinie będzie o wiele lepiej, jeśli ich nie zobaczy. Z całą pewnością każdy, jak i ten, który przeczytałyśmy z Fani, kończył się słowami: „Wróć, miłości moja”. To było napisane po serbsku, a potem jeszcze to samo po słoweńsku.

Joži, odezwała się starsza pani, dlaczego stoi pani przy oknie?

Zmieszałam się, jakby mnie przyłapała na kłamstwie, powiedziałam jej, że niektórzy goście właśnie wychodzą. Czekam, żeby wreszcie sobie poszli, mówiłam jednym tchem, oczywiście nie była to prawda, ale nie miałam wyjścia, jedni położyli się spać w pokojach gościnnych, a inni wyjadą, później weźmiemy się do całego tego bałaganu, trochę posprzątam od razu, plotłam, co mi ślina na język przyniosła, żeby ją tylko przekonać, resztę dokończymy jutro rano. Pani Josipina domyślała się chyba, że w domu dzieje się coś niedobrego. Choć trzęsłam się cała w środku, a moje serce nie chciało się uspokoić, usiadłam koło niej i otworzyłam album. Jaki piękny kapelusz, powiedziałam. Nie zwróciła uwagi na moje słowa, z niepokojem patrzyła bez przerwy w stronę okna. Nad morzem pewnie było upalnie, mówiłam dalej. Tak, odezwała się wreszcie, czasem było naprawdę gorąco. Jeździliśmy do Opatii na plażę. Ulżyło mi trochę, pomyślałam, że starsza pani lada moment znów pogrzeje się we wspomnieniach. Opowiadała mi często, jak kiedyś wyglądało ich życie, jeździli na wycieczki po Istrii, nieraz wpadali do Lublany, byli też w Wiedniu, chodzili do teatru i operetki. No i lubiła pani tańczyć, powiedziałam. Pamięta pani tę piosenkę? Spojrzała na mnie rozmarzonym wzrokiem. Veronika też ją zna, dodałam. Myśli pani o *Biondzie*? spytała. Tak, tak, właśnie o niej, kiedy wyszła pani za męża. Nie wyszłam za męża, tylko Petrowi powiedziałam w tańcu, już najwyższy czas, żebyśmy się pobrali. Roześmiała się wesoło.

Odetchnęłam odrobinę, pani przestała spoglądać ku oknu i przysłuchiwać się hałasom w innych pokojach. Było widać po jej oczach, że już nie słyszy tego, co się dzieje na dole. Te oczy pa-

trzyły teraz na coś, co widziały dawno temu, zniknęły mroźna zimowa noc i głosy nocnych gości, te oczy widziały jakąś kawiarnię, statki w porcie i ciepłe morze. A piosenka, powiedziała, idzie tak, i zanuciła: *Tutti mi chiamano bionda, ma bionda io non sono...* To znaczy, zaczęła mi tłumaczyć, choć wiele razy słyszałam tę historię: wszyscy nazywają mnie *bionda*, czyli blondynka, jasnowłosa, a ja przecież nie mam jasnych włosów. Dziwne, nie rozumiem tego do dzisiaj. Ale ja naprawdę miałam jasne włosy, Veronika też ma takie, na pewno po mnie, poeta mówi do niej: złotowłosa. Peter miał kasztanowe, trochę kręcone. Starsza pani zaczęła opowiadać, co się działo w kawiarni, kiedy jej Peter szedł przez salę, żeby zamówić u muzyków melodię.

Zrobiło mi się trochę lżej na duszy, w końcu udało mi się ją czymś zająć. Może nie było w porządku, że ją oszukałam, przez cały czas zresztą męczyło mnie pytanie, co słysząc na dole, ale Veronika kazała mi uspokoić starszą panią, a to naprawdę przywracało jej spokój. Fotografie, wspomnienia, piosenka o *biondzie*, tłumaczyła mi słowo po słowie, ja tymczasem znów ostrożnie podeszłam do okna.

Zobaczyłam, że Jeranek nagle znalazł się w kręgu światła, ktoś zapalił lampę w jednym z pokojów na pierwszym piętrze. Spojrzałam w górę, wyraźnie widziałam jego twarz. Wydawało mi się, że chce coś powiedzieć. Był nieogolony, czapkę nasunął na czoło. Oby tylko nie powiedział tego, co zawołał wcześniej na dziedzińcu.

Żebyś wiedziała, Joži, ta twoja pani to najzwyczajniej w świecie niemiecka kurwa!

To właśnie krzyknął za mną. Nie mogłam uwierzyć, że z ust tego spokojnego chłopca słyszę takie słowa. Do dzisiaj nie mogę pojąć, co się działo w jego głowie. Bo chodziło nie tylko o to, że jest żołnierzem, stoi na straży i nienawidzi wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli jakieś kontakty towarzyskie z Niemcami. Rozumiem, że byli głodni, ukrywali się i czasem żyli jak dzikie zwierzęta w lasach, że uciekali przed Niemcami, którzy ścigali ich jak zjadli myśliwi, rozumiem też, że ten jego komisarz wbił mu do głowy: należy napiętnować bogaczy, ale w jego przypadku szło o coś więcej, o to, co mu chodziło po głowie już wtedy, gdy grzebał nogą w piasku i opowiadał mi o lekarzu, panu Horście, z którym widział Veronikę tamtego ranka nad stawem. Albo złość w jego młodym sercu nagromadziła się wcześniej, kiedy nie było jeszcze żadnych Niemców i żadnych partyzantów.

Zobaczyłam, że odwrócił się ku drzwiom, w tej samej chwili na dole zgasły światła. Teraz dziedziniec oświetlały tylko blade promienie księżyca. Ktoś wyszedł na dwór i podbiegł do Ivana, rozmawiali przez moment, po czym ze środka zaczęli wychodzić pozostali.

Starsza pani próbowała wstać. Przestraszyłam się, że będzie chciała podejść do okna, ale ona rozłożyła ręce i zaczęła śpiewać piosenkę o dziewczynie, która nie była blondynką.

Na dziedzińcu kręciły się ciemne postacie. Potem pojawił się pan Leo w płaszczu myśliwskim i pani Veronika, też w płaszczu, czapkę trzymała w ręku. Światło księżyca padało na jej jasne, gładko zaczesane włosy. A starsza pani śpiewała *Tutti mi chiamano bionda, ma bionda io non sono...* i tańczyła, bez reszty zatopiona we wspomnieniach. Wszyscy znieruchomieli na chwilę. Nagle ktoś wbiegł z powrotem do środka i szybko wrócił z trzema albo czterema strzelbami myśliwskimi. Najwyraźniej zapomnieli je wziąć. Ten ktoś jedną zarzucił na ramię, a pozostałe rozdzielił. Wszyscy nieśli ogromne plecaki pełne ubrań, koców i różnych drogocennych rzeczy, które zabrali z zamku. Jasne, że tej zimy potrzebują koców i swetrów, ale po co im srebrne sztucce i futro – jeden z nich przywiązał sobie futro do plecaka – nie mogłam zrozumieć. Może sprzedają je i kupią żywność lub amunicję, przeleciało mi przez głowę, może chciała je mieć kobieta w mundurze i bluzce z białym kołnierzykiem, o najdziwniejszych rzeczach myśli się w takich chwilach. Potem ruszyli do bramy i zniknęli w ciemnościach. Starsza pani tańczyła i śpiewała. Szybko jednak usiadła na łóżku. Ach, moje nogi, westchnęła. Jak ja kiedyś tańczyłam! Po górach też chodziliśmy. A teraz nie mogę dojść nawet do stawu.

Nocni goście pojawili się na zaśnieżonym zboczu. Utworzyli kolumnę na wąskiej ścieżce i powoli zaczęli wspinać się ku granicy lasu. Pośrodku szli Veronika i Leo. Wydawało mi się, że jest też z nimi hodowca koni, który tego wieczoru był w kuchni, ten nieznajomy. Leo obejrzał się w stronę zamku, nie dostrzegłam jego twarzy, był za daleko, Veronika szła z lekko pochyloną głową, jakby patrzyła pod nogi, w śnieg. Z bliska widziałam ich po raz ostatni godzinę, dwie temu

na dole w jadalni, jego bladego, ją z dziwnym uśmiechem na ustach. Teraz ostatni raz widziałam ich sylwetki w kolumnie uzbrojonych ludzi. Nie widziałam ich już nigdy więcej.

Odwróciłam się do pani Josipiny. Proszę się nie martwić, powiedziałam, jeszcze będzie pani chodzić. Kiedy przyjdzie wiosna, wybierzemy się razem na spacer, żeby nazbierać polnych kwiatów. Jak na tej fotografii, gdzie ma pani taką piękną koronkową suknię. Oparła się o poduszkę. Pięknie pani śpiewała. Zapomniałam już tyle rzeczy, szepnęła, ale tę piosenkę pamiętam, każde słowo. Oczy się jej zamykały. Miała siwe włosy. Pomyślałam, że trzeba by je umyć, rano przyniosę wodę i pomogę jej, jak to robiłam już tyle razy.

Cicho wyszłam z pokoju, nie budząc starszej pani. Na korytarzu było ciemno, zapaliłam światło. Niemal w tym samym momencie ktoś krzyknął z dołu: zgaś natychmiast! Zgasiałam, z trudem dotarłam do kuchni. Znow zapaliłam lampę, siedzieli w różnych miejscach dużego pomieszczenia, niektórzy z głową w dłoniach, inni w pozycji półleżącej. Jeden z robotników od razu zerwał się na równe nogi, warknął coś i zgasił światło. Po chwili zapalił papierosa, zobaczyłam jego twarz oświetloną żarzącym się ognikiem i przestraszone oczy. Dlaczego siedzicie po ciemku? spytałam. Ktoś wyjaśnił szeptem: zastrzelą każdego, kto przed piątą rano wyjdzie z domu. To dziwne, że szepczą, pomyślałam, przecież tamci opuścili zamek, na pewno byli daleko stąd, w górach. Ale strach robi swoje. Kiedy wychodzili, a zamek Podgorsko pogrążył się w ciemności i ciszy, najwyraźniej nie zwrócili uwagi na światło, które paliło się w pokoju starszej pani. Pewnie już im się spieszyło. Spytałam, czy ktoś wie, dokąd zabrali pana i panią. Długo nie było żadnej odpowiedzi. Wreszcie ktoś się odważył i szepnął: słyszałem, jak jeden z nich mówił, że idą do chaty myśliwskiej, tam ich przesłuchają. Po co mają ich przesłuchiwać, powiedziałam na głos, ze złością, pan Leo dostarczał im żywność i różne inne rzeczy do chaty, po co mają ich przesłuchiwać?! Cicho bądź, babo, rzucił jeden z robotników, ten z żarzącym się niedopałkiem. Wszyscy byli bardzo przestraszeni i zdenerwowani, wołałam więc milczeć.

Rano zaniósłam pani Josipinie śniadanie, powiedziałam, że pomogę jej umyć włosy. Wspomniałam przy okazji, że pani Veronika i pan Leo wyjechali do Lublany i że wkrótce wrócą. Spojrzała zdziwiona. Dlaczego nocą? Pan Leo, kłamałam jak z nut, ma jakieś ważne sprawy do załatwienia. Brzmiało to mało prawdopodobnie, wiedziałam, że pani Josipina nie dała się przekonać. Kim byli ci ludzie, którzy trzaskali drzwiami? spytała.

Cały czas dbałam o starszą panią, Veronika by się cieszyła, gdyby widziała, z jakim oddaniem wypełniam jej polecenie. Ale mimo to nie było z nią dobrze. Co dzień pytała mnie, kiedy wrócą jej córka i jej Leo. Wymyślałam najróżniejsze historie, w końcu, gdy nic nowego nie przychodziło mi do głowy, odpowiadałam tylko: na pewno wrócą. A ona pogodziła się z tym. Nie powiedziała ani razu, że może stało się coś złego, może jednak nie wrócą. Całymi dniami siedziała przy oknie. Kiedy jej przynosiłam posiłki albo książki z zamkowej biblioteki, mówiła: na pewno wrócą, prawda, Joži? Oczywiście, że wrócą. Ale sama przestałam w to wierzyć już dawno. Kilka dni po ich zniknięciu przyszedł na zamek robotnik z Poselja, miał narąbać drwa na opał. Chuchając w rękę, powiedział do mnie półgłosem: mówi się, że ich zlikwidowali. Nie rozumiałam tego słowa. No tak, przejechał palcem po szyi, jak gęsi podrzyna się gardło. Nie wierzę, odparłam, choć przeczuwałam, że mogłoby się tak stać. Dlaczego mieliby to zrobić? Już oni dobrze wiedzą dlaczego, powiedział, jakby odczuwał zadowolenie, i wziął siekierę do ręki. Skończyli tak nie pierwsi i nie ostatni, dodał jeszcze, niemal z groźbą w głosie. A potem zniknął w szopie i zaczął rąbać drwa. W ten cichy poranek każde uderzenie odbijało się echem od murów zamku.

Tamta zima była długa, przez pewien czas zamku strzegli niemieccy żandarmi, ale i oni się wynieśli, potem z rzadka pojawiał się tylko kilkuosobowy patrol z pytaniem, czy bandyci, tak mówili, jeszcze się tu kręcą. I zawsze szybko zniknął, wtedy Niemcy już bali się naszych. Zamek stał pusty i cichy, część służby odeszła, nie było nikogo, kto by im płacił. Ja i Fani wciąż sprzątałyśmy pokoje, gotowałyśmy dla siebie i starszej pani, czasem dla robotników, którzy odgarniali śnieg, i dla Franca, który przychodził codziennie, żeby oporządzać konie. Sypialnie Veroniki i Leona czekały na nich posprzątane, w szafach wisiały wyprasowane ubrania jak wtedy, kiedy wybierali się w dłuższą podróż. Nadeszła wiosna, a pani Josipina ciągle siedziała przy oknie i spoglądała w dal, czekając, aż na drodze podniesie się obłok kurzu za ich samochodem. Pewnego lipcowego dnia

zmusiła mnie, bym pomogła jej zejść po schodach na dziedziniec. Prawie ją niosłam, starsza pani chodziła z trudem, ledwie poruszała nogami. Chciała iść do garażu. Wiedziałam po co, ale pomyślałam, że nie ma sensu ukrywać przed nią wszystkiego. Stała tam i długo patrzyła na auto. Spojrzała na mnie niemal z gniewem: czy nie mówiłaś, że pojechali samochodem? Nie, na pewno nie mówiłam, sama wymyśliła tę historię w długich dniach oczekiwania i zaczęła w nią wierzyć. Nigdy nie opowiadałam o żadnym samochodzie, odparłam, miałam już powyżej uszu własnych kłamstw, więc przynajmniej prawdy odważyłam się zdecydowanie bronić. Zachwiała się lekko, pomyślałam, że upadnie. Oparła się o drzwi auta. A jak pojechali? Zabrali ich, odrzekłam zgodnie z prawdą. Powinnam była powiedzieć: powlekli, ale czyż nie mówi się, że ktoś cię zabiera, jeśli wychodzisz z nim z domu? Ach tak? zdziwiła się, mieli swój samochód? Nic nie powiedziałam, nie miałam już siły, przekonałam ją, że musi pójść do łóżka.

Byłam dobra dla pani Josipiny, jak mi poleciła Veronika przed swoim odejściem. Odejściem? Nie chciałam wierzyć, że już nie wróci. Może od starszej pani zaraziłam się ciepłością, z jaką czekała na powrót córki. Często siadywałam koło niej przy oknie i razem patrzyłyśmy w dal. Wszyscy wiedzieli, że nie wróci, tak samo jak i pan Leo, tylko my dwie nie wierzyłyśmy. Nie rozmawiałyśmy o wydarzeniach tamtej nocy, prawdę mówiąc, chodziły za mną słowa robotnika z Poselja, że ich zlikwidowali, ale kiedy siedziałam ze starszą panią w jej pokoju, słowa te nie istniały.

Było to pewnego ciepłego letniego wieczoru. Zanim weszłam do jej pokoju, ze środka usłyszałam jakiś głos. Przystanęłam zaskoczona, nie miałam pojęcia, z kim mogłaby rozmawiać pani Josipina. Kiedy otworzyłam drzwi, szybko odłożyła książkę, którą trzymała w ręku. Z kim pani rozmawiała? Z Petrem, odparła, czasem rozmawiam sobie z mężem. Pomyślałam, że chyba pomieszało się jej w głowie z powodu tych nieszczęść, które ją spotkały. Właściwie często rozmawiamy, dodała. Trochę mu czytałam dziś wieczorem. Wzięła do ręki książkę. Podarował ją Veronice nasz poeta, wyjaśniła, *Wiersze o złotowłosych*. I napisał dedykację: „Złotowłosej Veronice, cóż począć – tak szybko mijają dni naszej młodości”. Lubiła te wiersze, mówiła dalej starsza pani, nieraz przed snem zaglądała do książki. Przerzuciła kilka kartek i zaczęła czytać:

Przyjdź w porze wieczoru,
Gdy słońce za górą się gubi,
Przyjdź w porze wieczoru,
Jeśli choć trochę mnie lubisz.

Właśnie to przeczytałam Petrowi. Powiedziałam mu, że te słowa mógłby napisać Stevo, na pewno nie Leo, jego nie interesowały takie rzeczy. Powiedziałam Petrowi, że to moja wina, ja doprowadziłam do tego, że Veronika odeszła od Steva, gdyby tego nie zrobiła, byłaby teraz w Mariborze.

Pani Josipina spojrzała na mnie wyczekująco, jakby chciała, żebym to potwierdziła. Wiedziałam, kim jest Stevo, tak się podpisał w liście, który przeczytałam razem z Fani. Wtedy popłakałyśmy się obie, teraz też coś mnie ścisnęło za gardło, nie wiem, czy z powodu tego wiersza, który przed chwilą przeczytała pani Josipina, czy może na widok biednej, starej, zagubionej kobiety rozmawiającej ze zmarłym mężem. To przecież całkiem możliwe, powiedziałam, że jest teraz w Mariborze. Spojrzała na mnie, w jej głosie czuło się radość: racja, może tam jest, albo są razem oboje, mówiła coraz pospieszniej, albo mieszka z Leonem w Szwajcarii. No tak, zakończyła zadowolona, na pewno są w Szwajcarii.

Potem znów przewracałyśmy kartki albumów i oglądałyśmy stare fotografie, rozmawiając o pięknych czasach, które minęły. Ale zawsze ożywały w jej wspomnieniach.

Minęła jesień, nie było żadnych wieści, tylko wypowiedane szeptem przypuszczenia krewnych i przyjaciół Leona i Veroniki, którzy odwiedzali nas coraz rzadziej. I tak upłynęła jeszcze jedna zima, długa zima roku czterdziestego piątego. Wszędzie mówiło się, że to już ostatnia, że na wiosnę skończy się wojna. Ludzie mieli mnóstwo zmartwień, wielu ich bliskich zginęło, w armii niemieckiej, w partyzantce, w obozach. Brakowało żywności, odzieży, obuwia, każdy troszczył się wyłącznie o siebie i o swoją rodzinę, z wielkim trudem udawało się czasem zatrudnić jakichś robotników. Na szczęście kilka razy przyjechał Filip, brat Leona, i zostawił nam trochę pieniędzy,

żebyśmy mogli przeżyć i zapłacić tym nielicznym ludziom, którzy chcieli nam jeszcze pomagać. Filip coraz dłużej zatrzymywał się u starszej pani, z nami sprawy załatwiał szybko. Nikt już nie mówił o pani i panu, właścicielach zamku. Przez kilka pierwszych miesięcy po tym, jak zniknęli, ludzie pytali mnie zawsze w niedzielę po mszy przed kościołem, co się stało, czy jest jakaś nadzieja na ich powrót, i o inne rzeczy. Ale potem i to się skończyło, każdy prędko wracał do domu, czasy były takie, że nikt nikomu nie wierzył, wszyscy czekali, aż coś się wydarzy. Wiosną czterdziestego piątego roku widziałam wozy załadowane tobołkami i walizami, całe rodziny wyjeżdżały nie wiadomo dokąd. Czekaliśmy na partyzantów. Pojawili się wreszcie, ale jacyś inni, z Lublany, bardzo ważni panowie towarzysze, którzy stwierdzili, że na zamku będą sobie wypoczywać. Skończyła się w końcu wojna i po trudach pracy w Lublanie panowie towarzysze chcieli odpocząć w spokoju. Niektórzy byli chorzy i w Podgorsku powracali do zdrowia.

Wrócił też Jeranek. Nigdy do nas nie zajązwał, widziałam go na stacji kolejowej. Wyglądał poważniej, postarzał się trochę, ale robił wrażenie człowieka zdrowszego i silniejszego, miał na sobie mundur oficera, ręce założył do tyłu, przyglądał się pociągowi, który właśnie przejeżdżał przez stację.

Było to tuż przed naszym wyjazdem. Ja wróciłam do rodziców. Wysłałam za męża za Lojza Hribovška, który był szoferem u państwa Zarników. W Podgorsku przypadliśmy sobie do serca. On też poszedł do partyzantki, w czterdziestym piątym, i szybko wrócił, ucieszyłam się bardzo, gdy znów go spotkałam. To jednak całkiem inna historia, wyłącznie moja. Unikaliśmy rozmów o Veronice i Leonie, nie można zanadto oglądać się w przeszłość, życie przecież toczyło się dalej. Tylko kilka dni przed ślubem powiedziałam do Lojza: Veronika na pewno by przyszła, lubiła mnie. Po zakończeniu wojny chyba przez rok nic nie słyszałam o starszej pani. A potem dowiedziałam się, że jest w Lublanie, znaleźli jej tam niewielkie mieszkanko. Pewnego razu pojechałam do niej pociągiem, wciąż siedziała przy oknie. Poznała mnie z trudem.

Myślałam, że może by jej pomogło, gdyby dowiedziała się prawdy. Ale nawet ja jej nie znałam do końca. Prawie na pewno oboje nie żyli, tylko że zmarłych chowamy, odprawiamy nabożeństwo żałobne i żegnamy się z nimi, wiemy, gdzie jest ich grób, palimy świece. A o nich nie wiemy nawet tyle. Tę książkę, z której pewnego letniego wieczoru czytała mi pani Josipina, wzięłam sobie na pamiątkę po tamtych czasach. Kiedy jest noc i wszyscy śpią, zapalam czasem lampę i czytam, widzę wtedy Veronikę. Przynoszę jej ciepłe mleko, a ona patrzy na mnie i mówi: właśnie to teraz czytam, rzuć okiem i ty. Ale nie spojrzałam, nie było czasu. Zostało mi kilka fotografii i ta książka, cała reszta przepadła.

Przyjdź w porze wieczoru,
W godzinie przebaczenia,
W godzinie po zmroku,
Gdy dzień się w wieczność zmienia,
Gdy dusza śni o wierszach sen,
Sama jak sen i wiersz.

A zamek Podgorsko wciąż stoi u stóp zielonego zbocza góry Strmi vrh. Któregoś razu poprosiłam córkę, żeby zawiozła mnie tam samochodem. Po wojnie w zamku urządzono sanatorium, teraz jest tam muzeum. Kiedy wjechałyśmy na dziedziniec, akurat wychodziła szkolna wycieczka. Chciałyśmy wejść, ale już zamykano. Powiedziałam kobiecie przy wejściu, kasjerce, że pracowałam tu swego czasu i chciałabym zobaczyć, jak teraz zamek wygląda w środku. Odparła, że czekają na nią dzieci i że musi iść do domu, niech przyjdę jutro. Wróciliśmy z niczym. Na mnie też czekały dzieci. A właściwie wnuki, dwie dziewczynki i chłopiec. Czasem opowiadam im, jak się tam dobrze żyło. Pokazuję fotografie z Podgorska, na jednej jestem razem z panią Veroniką, obie z naręczami kwiatów. Zerwałyśmy je do wazonów w jadalni. Patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami, kiedy opisuję im, jakie mieliśmy srebrne naczynia i jak z Lublany przyjeżdżał artysta i grał na pianinie. Jak na rozległych łąkach pod zamkiem beztrudnie pasły się konie. A jeszcze chętniej niż opowieści o koniach słuchają tej o małym aligatorze, którego miała młoda pani i który potem ugryzł jej męża w wannie. Dzieci śmieją się i klaszczą w dłonie. Tego aligatora w końcu wypchali i powiesili na ścianie, żeby przy wejściu straszyl gości. Wnuki stale dopominają się o tę historię.

Dziś pochowano Janka Kralja. Kiedy chór emerytów zaśpiewał *Leży jezioro w ciszy* i nad grobem, do którego spuszczone trumnę, pochylił się nasz sztandar, przeszył mnie ostry ból. Jakby ktoś wpakował we mnie serię ze szmajsera. Promień słońca odbił się od metalowej gwiazdy na szczycie drzewca i oślepił mnie na moment, w dole, w mokrej ziemi leżała trumna z jego drobnym ciałem. Przypomniałem sobie wysokiego, szczupłego chłopaka, nagle stanął mi przed oczami wesoly i uśmiechnięty. Taki jak zawsze. Kiedy ktoś zaczynał śpiewać, od razu musiał się znaleźć w pobliżu, kiedy na wiecu rozbrzmiewały dźwięki harmonii, łapał pierwszą z brzegu dziewczynę i ruszał do tańca. Zaraz po wyzwoleniu, gdy wszyscy oszaleliśmy z radości, rozbijał się na motorze po ulicach Kranja z dziewczyną na tylnym siodełku, aż ludzie odskakiwali na bok, w piwnicy jakiejś gospody, w obecności jej właściciela, strzelał do beczek, a chłopcy pili wino tryskające z nich strumieniami, w kuchni hotelu na Bledzie wchodził w butach z cholewami do wielkich garnków z dopiero co usmażoną marmoladą, lubił się bawić. Gdy minęły pierwsze miesiące po zakończeniu wojny, poświęcił się pracy politycznej, ale nigdy nie opuszczał go dobry humor. Kilka lat temu powaliła go choroba, ciągnęli go po szpitalach i sanatoriach, a on jakoś się skurczył. Ostatni raz odwiedziłem go całkiem niedawno w jego lublańskim mieszkaniu, był już bardzo wychudzony, siedział w dużym fotelu, przez co wydawał się jeszcze drobniejszy i mizerniejszy. Wtedy pierwszy raz wspomniał o wydarzeniach na zamku Podgorsko. Nie rozmawialiśmy o tym po tamtej ostrej zimie czterdziestego czwartego roku. Tylko wtedy. I nigdy więcej.

Przedtem jednak złościł się i kpił sam z siebie. Niewyraźnie uśmiechnął się na mój widok, to już nie był ten jego rubaszny śmiech, który wszystkich wprawiał w dobry humor. Co ty, Jerko, powiedział, przestraszyłeś się mnie?! Pewnie widać to było na mojej twarzy. Nie bój się, chciał mnie uspokoić, jeszcze nie wyciągnąłem kopyt. Ty nigdy nie będziesz wachał kwiatków od spodu, złego diabli nie wezmą. Wyjąłem z torby butelkę wódki pędzonej w domu, zaświeciły mu się oczy. A, to jest ta twoja gorzałka, próbował się uśmiechnąć. Nie wolno mi, wyjaśnił po chwili, codziennie łykam jakieś leki. Usiadłem przy nim.

Do diabła, powiedział, to niesprawiedliwe. Jeszcze trzy lata temu biegałem po górach, a teraz ledwie mogę się dowlec do łazienki.

Nie rozumiałem, dlaczego miałyby to być niesprawiedliwe, pochodzę ze wsi i wiem, że każda rzecz najpierw wzrasta i dojrzewa, a potem gnije albo usycha, dlaczego z nami miałyby być inaczej? Kiedy przyjdzie na mnie pora, tak mi się wydaje, potrafię czekać na śmierć ze spokojem. Nie jesteśmy już młodzi, powtarzamy przy okazji kolejnego spotkania, ktoś poskarży się czasem, że łamie go w kościach, bo w młodości nabawił się w lesie reumatyzmu, ale to tylko takie sobie gadanie, nie powinniśmy mówić, że jesteśmy starzy i że częściej niż na naszych uroczystościach spotykamy się na pogrzebach. Zawsze wtedy ktoś powie, tak było zresztą i dzisiaj, gdy w ten upalny dzień staliśmy w cieniu brzoź koło bramy cmentarza: teraz już wycinają i w naszym lesie.

Od dawna, to powiedziałem ja, w tym lesie już prawie nie ma drzew.

Roześmieliśmy się trochę gorzko, jak na pogrzebach śmieją się ci, którym się tym razem jeszcze udało. Tak to jest i nie ma mowy o niesprawiedliwości, choć Jankowi wydawało się inaczej, kiedy zaledwie dwa tygodnie temu siedział skulony w swoim fotelu. Jeśli już, to właśnie o nim można by było powiedzieć, że nigdy nie zostanie wycięty. Zawsze się spieszył, po wojnie jeździł na motorze jak szalony i stale załatwiał jakieś sprawy, a potem został szyczą, wysoko zaszedł, bardzo wysoko, przeprowadził się do Lublany. Zaczął chodzić po górach, choć często zaklinaliśmy się w partyzantce, że po wojnie największym szczytem, na jaki wleziemy, będą nasze żony. Tak się wtedy mówiło, nie wiem dlaczego, przecież prawie nikt w tamtych czasach nie był żonaty.

Jemu się zawsze gdzieś spieszyło, powiedział Bogdan, kiedy już siedzieliśmy w gospodzie,

nawet na tamten świat wybrał się szybko. Bogdan mrugał małymi chytrymi oczkami, które dziwnie wyglądały w jego dużej głowie.

Wcale nie tak szybko, prawie trzy lata zżerała go choroba. Ale dręczyło go też coś innego, tak mi powiedział, kiedy widzieliśmy się ostatni raz.

Tamta akcja w Podgorsku, odezwał się Janko po dłuższym milczeniu, chyba trochę daliśmy tam plamę.

Patrzył na mnie, jakby oczekiwał rozsądnej odpowiedzi. Co miałem powiedzieć człowiekowi, który siedział koło mnie wychudły i wycieńczony, którego od środka zżerała paskudna choroba? Że nie dałem żadnej plamy, że tylko stałem na straży, wykonywałem rozkazy?

Byliśmy młodzi, dodał, ścigali nas jak dzikie zwierzęta. A my odpłacaliśmy pięknym za nadobne, gdzie tylko się dało.

To powiedział dwa tygodnie temu.

Na razie nie mogłem o tym myśleć. W upalne południe widziałem sztandar, który pochylał się nad jego grobem, promienie słońca odbiły się od metalowej gwiazdy i oślepiły mnie na chwilę, chór śpiewał „Leży jezioro w ciszy...”, jeszcze teraz słyszę tę piosenkę: „...i liście szumią mi miło”. Jeszcze teraz, kiedy zapada zmrok, a ja siedzę na ławce przed domem i patrzę na zielone zbocze porośnięte lasem, słyszę: „...noc ciemna, młody partyzant nad wodą stoi bez słowa”, do diabła, jak by powiedział Janko, znów mnie coś ściska za gardło, do diabła, łzy napływają mi do oczu: „dziewczyna mu obiecała, że zawsze będzie czekała, aż dzień wolności nadejdzie...”.

Kiedy wychodziliśmy z cmentarza, jakaś stara wiedźma zasyczała drwiąco: no i zakopali go. Aha, przytaknęła druga wiedźma, śpiewali pięknie, ale co to za pogrzeb bez księdza. Pomyślałem, to prawda, czegoś brakuje w tych naszych pogrzebach, u nas w rodzinie modliliśmy się dużo, a kiedy chowaliśmy matkę, dobrze było usłyszeć słowa proboszcza: anielski orszak niech twą duszę przyjmie, inaczej być nie mogło. I to było w porządku, ale chyba nie mógłbym sobie wyobrazić, by duszę towarzysza Janka Kralja unosili gdzieś aniołowie, a gdyby nawet, on śmiałyby się wtedy na cały głos i pewnie by powiedział coś nieprzyzwoitego. Zezłościłem się na to ich gadanie. Choć bab-ska na swój sposób miały rację, przynajmniej w tym, że czegoś brakowało. Wstrętne baby, pomyślałem, dajcie spokój nieboszczykowi, ale nie powiedziałem słowa, obrzuciłem je tylko takim spojrzeniem, że umilkły w jednej chwili. Brakowało wielu rzeczy, także stypy. Po pogrzebie staliśmy jeszcze przez moment przy bramie cmentarza w promieniach palącego słońca, ale nikt nas nigdzie nie zaprosił, było lato, wydawało się, że każdy chce się schronić w jakimś cieniu albo uciec do domu. Żona i córka Janka wsiadły do samochodu od razu po ceremonii, a kiedy żona zobaczyła, że idę w ich kierunku, opuściła szybę i zawołała: proszę nas kiedyś odwiedzić, towarzyszu Jeranek, i już nie było po nich śladu. Inni krewni i towarzysze, którzy przyjechali na pogrzeb z Lublany, też wsiadli do samochodów, trzaskając drzwiami, i tylko wzbił się za nimi kurz na cmentarnym parkingu. Kraljowie wyprowadzili się z Poselja, tu został jedynie grób ich przodków, przyjeżdżali więc na święto zmarłych, a i to nie zawsze. Może teraz będą przyjeżdżali częściej, przynajmniej wtedy będę mógł uścisnąć rękę jego córce i powiedzieć jej kilka dobrych słów o ojcu.

Potem my, leśni, jak czasem mówiliśmy o sobie w żartach, poszliśmy do knajpy i zamówiliśmy wino. Mimo to rozmowa się nie kleiła. Dawniej opowiadaliśmy o nocnych marszach, zasadzkach, atakach na niemieckie oddziały, o Janku i o tym, jak śpiewał i jak przemawiał na wiecach, o cholernych wszach i odciskach. A teraz z kpiną mówiliśmy o siwych włosach i sanatoriach, gdzie leczy się cholerny reumatyzm, którego prawie wszyscy nabawiliśmy się w partyzantce. Potem, jak zawsze w ostatnich czasach, rozmowa zeszała na politykę. Czy o to walczyliśmy? Żeby już nikt nie szanował naszej ofiary? Cholerna banda, powiedział Bogdan, mrugając małymi oczkami, jakby wciąż oślepiało go słońce, żeby w końcu białogwardziści byli więcej warci niż my? Daj spokój z polityką, Bogdan, odezwałem się pojednawczo, lepiej przypomnij sobie, jak marzliśmy, leżąc na gałęziach świerka.

To było po akcji na zamku Zarników, wtedy trzęśliśmy się jak młode psy. Chyba trochę daliśmy tam plamę, powiedział Janko dwa tygodnie temu.

Bogdan milczał, zmierzył mnie tylko spojrzeniem. Nie chciał mówić o tamtej akcji. Ja też nie chciałem, wolałem rozmawiać o Janku, on był wtedy z nami. Tylko my dwaj, ja i Bogdan, zo-

staliśmy z oddziału Janka, wszyscy inni odeszli już tam, dokąd Janko dzisiaj.

Przed wojną Bogdan był robotnikiem drogowym, miał żylaste ręce i dłonie jak łopaty.

Tak chrapałeś, roześmiałem się, że Szwabę słyszały cię w dolinie.

Nie podjął rozmowy. Czasem lubiliśmy żartować, nawet po pogrzebie, teraz nikomu nie było do śmiechu, wszyscy zaczęli opowiadać o krzywdach, jakie nas spotykają. Młodzi już nic nie wiedzą o naszej walce. Nawet Janka by to wkurzyło, mnie się jednak wydawało, że raczej powinniśmy wspominać to, co przeżyliśmy razem: jak Janko, uciekając z otoczonej przez Niemców chaty, skoczył między trzech wermachtowców, którzy czatowali w zasadzce, przestraszył się w pierwszym momencie, ale już po chwili pobiegł w stronę lasu, po czym przystanął i rzucił granat w tamtych, całkowicie zdezorientowanych; jak brnęliśmy przez zasypany śniegiem; jak siedzieliśmy wokół obozowego ogniska; jak Bogdan chrapał. Dawniej wspominaliśmy tamte czasy, teraz rozmawialiśmy tylko o polityce, kto więc, powiedziałem w końcu głośno, będzie wspominał, jeśli nie my? Wszyscy spojrzeli na mnie. A ja wypilem swoje wino, zapłaciłem i wróciłem do siebie.

Jest wieczór. Siedzę sam przed domem. Syn mieszka w Lublanie, dzwonił jeszcze wczoraj, zrobi wszystko, żeby przyjechać na pogrzeb Janka, jasne, przecież dostał po nim imię. Ale dziś rano zawiadomił mnie, że nie da rady, niespodziewane zebranie w firmie. Syna nazwałem tak, żeby uczcić najweselszego i najodważniejszego człowieka, jakiego znałem. W dzieciństwie włóczyłem się z Jankiem po łąkach, razem zaganialiśmy krowy do obór. Po skończeniu szkoły wyjechał do Kranja, uczył się na mechanika, rzadko przyjeżdżał na wieś. Był chłopakiem z miasta, zawsze, gdy się pojawiał, wyglądał i zachowywał się zupełnie inaczej niż my, którzy tu zostaliśmy. Ubierał się inaczej, inaczej był ostrzyżony, nawet mówił całkiem inaczej. Tuż przed wojną przyjechał na hałaśliwym motocyklu. Zazdrościliśmy mu, a dziewczyny ze wsi patrzyły na niego z podziwem. Pracowałem wtedy dorywczo w majątku Podgorsko, pomagałem przy koszeniu, w stajni albo przy naprawach w zamku. Janko czasem natrząsał się ze mnie: chyba nie będziesz parobkiem u państwa? Twierdził, że są nierobami i wyzyskiwaczami. Ale dobrze płacą, odpowiadałem ze śmiechem. Namawiał, żebym przyjechał do miasta, dużo umiem, dam sobie radę. Ja jednak dobrze czułem się w domu, ojciec nie mógł już sam wszystkiego ogarnąć, powoli więc przejmowałem gospodarstwo, chwalono mnie na zamku, a poza tym była jeszcze Pepca, razem śpiewaliśmy w kościelnym chórze, w święta tańczyliśmy w ogrodzie przed gospodą. Nie mogłem zostawić gospodarstwa, wsi, łąk i pól. No i Pepcy.

Zawsze będziesz kmiotkiem, zawyrokował Janko.

Słowa te zabrzmiały drwiąco i lekko pogardliwie, ale były prawdą.

I nadal jestem kmiotkiem, choć mam kombatancką emeryturę, choć przez długie lata jeździłem na zebrania do miasta i pomagałem nowej władzy, gdy było trzeba. Nie bardzo jednak zajmowałem się własnym gospodarstwem. Po wojnie pracowałem w spółdzielni, więcej w biurze niż na polu. Mimo to zatrzymałem kilka zwierząt i kawałek łąki, nie potrafiłem bez tego żyć. Od dawna stajnia i obora stoją puste, nikt nie kosi trawy. Ale dom jest odnowiony i wygodny, nie mogę się skarżyć, syn przyjeżdża autem, kiedy może, jego żona czasem sprząta mi i pierze, wnuki rozrabiają koło domu. To są piękne dni. Tak naprawdę jestem jednak sam. Dziś wieczorem po pogrzebie Janka jeszcze bardziej. Patrzę na starą krzywą gruszę stojącą przy płocie, trzeba ją będzie niedługo ścinać. Już w ubiegłym roku przymierzałem się do tego, ale pomyślałem: niech jeszcze raz wyda te cierpkie owoce. Koło płotu rosną pokrzywy, które trzeba będzie w końcu skosić, może zrobię to jutro. Teraz jeszcze trochę sobie posiedzę, bo nie mogę wyjść z podziwu, jak oszałamiająco pachną różne rośliny tego letniego wieczoru, jak rozrasta się nieujarzmiona trawa, jak wiatr przynosi zapach świerków z lasu nad zamkiem u podnóża góry Strmi vrh. Jak wszystko rośnie i wszystko przemija. Pepca już od dziesięciu lat jest tam, gdzie teraz odszedł Janko, gdzie są matka i ojciec, a ja wciąż żyję, kręcę się po domu, naprawiam płot, czasem jadę do gospody autem, do kościoła jednak nie chodzę. Nie lubię księży, tak samo jak polityków, przynajmniej tych nowych. Dopóki polityką zajmowali się Janko i nasi ludzie, to była inna sprawa. Wiadomo było, o co chodzi, mówiło się o robotnikach, chłopach i uczciwej inteligencji, a teraz wszyscy tylko kradną i gonią za pieniądzem, mój syn też.

Słyszę pociąg, który nadjeżdża z daleka. To wieczorny pociąg lokalny, przyjadą nim robot-

nicy z Lublany i Kranja, tak jest każdego wieczoru. Przed wojną o tej porze wracał do domu Janko, kiedy był czeladnikiem w mieście i nie miał jeszcze motoru. Często czekałem na niego na peronie. Lubilem kolej także dlatego, że tam pracował wujek Štefan. Był naczelnikiem stacji, postawnym mężczyzną. Miał mundur i lizak, którym odprawiał pociągi. Mówiłem na niego wujek Štefan, choć nie był naszym krewnym, po służbie przychodził czasem do ojca na kieliszek gorzałki, wtedy do późna w nocy rozmawiali o polityce. To był naprawdę wspaniały człowiek. Moje dziecięce serce rozpałał widok wujka Štefana, który podnosił drążek z okrągłą czerwoną tarczą i nagle zaczynało się dzieć takie rzeczy: na spokojnej dotychczas stacji wszyscy dokądś biegle, trzaskały drzwi wagonów, sapała lokomotywa, po chwili pociąg ruszał powoli i znikał za wzniesieniem, a kiedy ukazywał się ponownie, już pędził po szynach w dal. I wszystko to za sprawą potężnego człowieka, wujka Štefana, który przychodził do nas do domu. Wujka Štefana już nie ma, tak samo jak Janka, a pociągi wciąż jeżdżą, większość z nich nie zatrzymuje się w naszej wsi, ale ten, który teraz słyhać, wiem to na pewno, ten się zatrzyma. Przed oczami mam Janka, widzę, jak zeskakuje z górnego schodka wagonu na peron, krzycząc: hej, kupiłem motor!

W czasie któregoś ze swoich krótkich pobytów w domu Janko przewiózł mnie motorem. Zbliżała się Wielkanoc, drogi były już suche, prawie ciepły wiosenny wiatr gwizdał nam w uszach. Przystanęliśmy na rozstaju dróg koło kapliczki z figurą świętego Jana Chrzciciela i padliśmy na trawę. Z torby przytwierdzonej do ramy motoru Janko wyjął butelkę wina, pociągnęliśmy kilka łyków. W oddali pojawił się ktoś na koniu, jechał skrajem lasu w naszym kierunku.

To kobieta, stwierdził Janko i roześmiał się, spójrz, jak unosi się w siodle.

Jeźdźcem była młoda właścicielka zamku.

Ma na imię Veronika, powiedziałem, jeździ tak codziennie.

O rany, rzucił Janko, wstając, żeby lepiej ją zobaczyć, patrz, jak pięknie rusza tyłkiem.

Pomyślałem, że nie wypada tak mówić o pani Veronice, która ze mną i ze wszystkimi ludźmi pracującymi w Podgorsku zawsze rozmawiała bardzo życzliwie. Kiedy kosiliśmy, czasem sama przynosiła nam drugie śniadanie. Kucharki opowiadały, że nieraz przychodzi do nich, zakasuje rękawy i pomaga im w kuchni. Dla każdego znajdowała dobre słowo. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby myśleć o pani Veronice jako o kobiecie, przynajmniej nie w taki sposób jak Janko. Szybko zbliżała się w naszą stronę, jej jasne włosy rozwiewał łagodny wiatr. Też wstałem, a ona z głośnym okrzykiem zatrzymała się koło nas i poklepując czarnego konia, zaczęła go uspokajać.

Czy to nie nasz Ivan? zawołała wesoło. Od kiedy jeździsz na motorze, Jeranek?

To nie mój motor, odparłem trochę zmieszany, tylko Janka, ja siedziałem z tyłu.

Janko gapił się na nią bezczelnie.

Panią też mogę przewieźć, powiedział.

Mnie przewieźć? powtórzyła, jakby ta zuchwała propozycja nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Ja także mogę pana przewieźć, potrafię jeździć motorem.

Umiała prowadzić auto, podobno była też pilotem.

To niech pani pokaże, jeszcze nie widziałem kobiety, która umie jeździć na motorze.

Kiedyś na pewno pan zobaczy, zaśmiała się. Ale nie teraz, muszę wracać do domu.

I odjechała połą drogą, obaj odprowadzaliśmy ją wzrokiem. Kiedy już była daleko, zawróciła konia i ruszyła pod górę drogą do Podgorska.

Janko stał jak zaczarowany.

Co za baba, westchnął.

A potem zaczął się śmiać na cały głos.

Gdyby naprawdę to zrobiła, zawołał z łobuzerską miną, złapałbym ją wpół, o tak.

Podszedł do mnie od tyłu, chwycił mnie w pasie, o tak, powiedział i przesuwając dłonie w górę, złapał mnie za piersi, i tak. Uniósł mnie w powietrze, ja też śmiałem się jak głupi.

Ty pacanie, ona nie jest dla ciebie, ma męża.

Mężatki najlepiej potrafią dosiadać, zarechotał Janko. I już wskoczyliśmy na motor, i już pędziliśmy do wsi, a za nami unosił się tuman kurzu.

Ivan, krzyknął, ty nic nie rozumiesz, zawsze będziesz tylko kmiotkiem.

Wtedy pierwszy raz odważyłem się pomyśleć, że w gruncie rzeczy Janko powiedział

prawdę, właścicielka zamku to kobieta, młoda i atrakcyjna, chociaż starsza ode mnie, ale na pewno bardziej interesująca niż nasze dziewczyny, nie wyłączając Pepcy. Kochałem Pepcę, jasne. Kiedy wieczorem odprowadziłem ją do domu, długo błądziłem po wsi, patrzyłem w gwiazdy i myślałem o niej, o jej czarnych włosach, których mogłem dotknąć, gdy byliśmy sami, o jej oczach, które szukały mnie w kościele, gdy śpiewaliśmy w chórze. Pewnego razu proboszcz zobaczył, jak na łące za kościołem trzymam Pepcę za rękę, i przypomniał nam, że Kościół zabrania miłości cielesnej przed ślubem. Pepca się roześmiała, proboszcz też się roześmiał, a potem już serio powiedział: najważniejszym celem małżeństwa jest poczęcie i wychowanie dzieci, dopiero następnym wzajemna pomoc i zaspokajanie pożądania. Chyba miał rację, był życzliwym człowiekiem, pięknie śpiewał i mówił piękne kazania, może nie byłoby w tym nic złego, gdyby dzisiaj pożegnał Janka w drodze na tamten świat. Nie lubię klechów, choć trzeba przyznać, że nasz proboszcz był w porządku. Pepca potem urodziła mi syna i naprawdę była dla mnie dużą podporą w życiu. A pożądanie to zupełnie inna sprawa.

Veronika bardzo różniła się od kobiet, które znałem, nie miała dzieci, często chodziła w spodniach i koszuli z podwiniętymi rękawami. Zawsze była pogodna i radosna, uśmiechała się już nie jak chlebobawczyni, która wydaje polecenia, ale jak kobieta, która uśmiecha się do mężczyzny, także do mnie. Pewnego wieczoru, gdy trochę dłużej zostałem w Podgorsku, bo jeszcze przed nocą chciałem skończyć coś, co mi zleciła, zobaczyłem ją w jedwabnej sukni. Stała przed drzwiami, witając gości, którzy przyjechali z Lublany. Zobaczyła mnie, przeszła przez dziedziniec i spytała, czy jeszcze jeżdżę czasem na motorze. Już nie, bo przyjaciel dawno nie odwiedzał rodziny. A jak ma na imię ten motocyklista? Odpowiedziałem: Janko. Pachniała perfumami i kobiecym ciepłem.

Kiedyś mu pokażę, roześmiała się, że naprawdę umiem jeździć na motorze.

I wróciła do gości. Piękna, daleka i niedostępna. A ja tego wieczoru byłem zazdrosny o Janka i zły na niego, przecież to niemożliwe, żeby swoją beczelnością wywarł na niej jakieś wrażenie. Wyobraziłem sobie, jak jedzie z nią motorem na tylnym siodełku i obejmuje ją w pasie. Na pewno by to zrobił, i wszystko to, co mi pokazał, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Ja bym się nie odważył, a to dlatego, jak mówi Janko, że zawsze będę kmiotkiem. Byłem zły na niego. I na nią. Śniła mi się tamtej nocy. Z Jankiem. Jechali wśród pól, za nimi unosił się obłok kurzu, Janko trzymał ją wpół, jasne włosy Veroniki powiewały mu koło twarzy, nachylał się ku niej, prawie dotykał jej ucha wargami, i coś do niej mówił.

Do czasu spotkania przy kapliczce Jana Chrzciciela o właścicielach zamku myślałem wyłącznie jak o ludziach, którzy traktują nas dobrze i dobrze płacą. Potem wyobrażałem sobie często, jak żyją, a właściwie jak żyje Veronika w tym rozległym zamku, w dużych pokojach, z mężem i gośćmi, którzy nieraz zostawali długo w noc. Przez otwarte okna dobiegały czasem dźwięki pianina, śmiech i śpiewy. Mówiono o niej, że zanim przeprowadziła się do Podgorska, mieszkała z jakimś serbskim oficerem. Nie myślałem, żeby to było coś szczególnego, ot, plotki, państwo zresztą żyli po swojemu, inaczej niż my. Ale gdy zamieniła kilka słów z Jankiem, gdy później nawet spytała o niego, wydało mi się to bardziej prawdopodobne. Powoli rodziła się we mnie głucha złość, na Janka, na nieznanego serbskiego oficera, w myślach brałem stronę jej męża, w jego imieniu zdarzało mi się niekiedy rzucić Veronice ostre słowo. Mąż, Leo, był rozważnym, spokojnym człowiekiem, powinna mu być wdzięczna. A nie obiecywać typowi, którego widziała pierwszy raz w życiu, że kiedyś przewiezie go motorem. Bardzo mi się to nie podobało, więc za każdym razem, gdy rozmawiała ze mną, czułem się zakłopotany, jakby czytała w moich myślach. Pewnego razu po mszy – czasem ci z zamku chodzili do kościoła Świętego Jakuba – Veronika przedstawiła mnie swojej matce, starszej pani, która wtedy była jeszcze zdrowa, później jednak zachorowała i już tylko przesiadywała w swoim pokoju, najczęściej przy oknie.

To nasz Ivan, powiedziała Veronika, ma złote ręce, potrafi zrobić wszystko. I do tego ma piękny głos. Słyszałaś go przed chwilą.

Starsza pani spytała, czy śpiewałem w chórze. Kiwnąłem tylko głową, wpatrując się w czubki swoich butów.

Pięknie pan śpiewał, panie Jeranek, pochwaliła mnie starsza pani.

To złoty chłopak, dorzuciła młodsza, Veronika.

Milczałem. Złościło mnie, że inaczej rozmawia ze mną, a inaczej z Jankiem. Z gośćmi żartuje i śpiewa przy pianinie, mnie zaś traktuje jak prostego chłopka, który umie tylko machać kosą na łące i siekierą w lesie. No i śpiewać alleluja. Złoty chłopak, porządny, przyzwoity, w dodatku ma złote ręce, tylko tyle potrafiła powiedzieć. Cała reszta to polecenia: czy moglibyście, Ivan, zreperować drzwi od stajni? Załóżcie Vrancowi uzdę i przejdźcie się trochę, żeby ochłonął. Ulewa rozmyła drogę nad potokiem, będzie z tym sporo roboty. A mogłaby i ze mną zamienić czasem kilka słów. Nie byłem parobkiem, ale przyszłym gospodarzem. Przychodziłem pomagać na zamek, bo tak mi kazał ojciec, poza tym sprawiało mi to radość i dawało pieniądze, które co tydzień wypłacał jej mąż, nie ona. Na pewno nie byłem wiejskim ciołkiem, należałem do Towarzystwa Młodzieży Chłopskiej, czytaliśmy książki i wystawialiśmy sztuki, kiedyś grałem proboszcza, który błogosławi słoweńskich żołnierzy przed bitwą z Turkami. W domu mieliśmy mohorjanki⁸, prenumerowaliśmy „Slovenski dom”. Mógłbym z nią rozmawiać o tym, co się dzieje w świecie, o koniach i samolotach, gdyby tylko chciała, bo czytałem i wiedziałem dużo. Jej protekcyjny ton i śmiech zaczęły mi przeszkadzać, więc starałem się jej unikać. Kiedy przychodziłem na zamek, szukałem pana Leona, jeśli tylko był w domu, i z nim ustalałem, co jest do zrobienia.

Pewnego razu, gdy mi coś zleciła w związku ze swoimi końmi, zareagowałem ostro: już się umówiłem z panem Leonem, że będę pracował w lesie. Vranac tęskni za tobą, powiedziała, ty najlepiej potrafisz się z nim obchodzić. Kary koń, jej ulubieniec, miał na imię Vranac, była bardzo do niego przywiązana, stale go poklepywała, wciąż Vranac i Vranac, jakby był człowiekiem. Dla mnie nigdy nie była taka miła. Kiedyś w czasie obiadu natrząsałem się z tego jej traktowania zwykłego zwierzęcia, wtedy odezwała się kucharka Fani: pewnie ma taki stosunek do konia, bo nie ma dzieci. W moich oczach stawała się coraz bardziej rozkapryszoną damą z miasta, która tylko udaje, że lubi naturę, konie i pracę w gospodarstwie. Już nie dawałem się zwieść zakasany rękawom i robocznemu ubraniu przy przetrząsaniu siana. Wołała jedwabne suknie i pantofelki, lublańskich, a później niemieckich kawalerów, którzy całowali ją w rękę. Z większą ochotą pracowałem więc z Leonem, kiedy bywał na zamku. To prawdziwy pan, nie wysiłał się, jak ona, żeby od czasu do czasu udawać jednego z nas, był chłodny i rozważny, nigdy przesadnie życzliwy. Mówił: dobrze to zrobiliście, Ivan, płacił, i do widzenia. Kiedyś po polowaniu zaprosił nas do pokoju myśliwskiego na poczęstunek, wypiliśmy toast za dobre łowy. On wznosił go wodą. Sam był jak woda, bystry, chłodny, zawsze trochę obcy. Do niej też odnosił się w ten sposób, opiekuńczo i z szacunkiem, co mi się szczególnie podobało. Któregoś dnia już od rana kopaliśmy rów odprowadzający nieczystości ze stajni, pan Leo przyszedł i spojrzał zdziwiony. Pani tak kazała? Czasem moja żona nie ma racji, powiedział, zrobimy to inaczej. I zrobiliśmy jeszcze raz, inaczej. Ale zapłacił za wszystko bez słowa, nawet za to, co zrobiliśmy niepotrzebnie.

Veronika chyba zauważyła po jakimś czasie, że jej unikam. Kiedyś zatrzymała mnie na dziedzińcu i uśmiechając się, powiedziała: słyszałam, że się żenicie, Jeranek. Krępowwała mnie ta forma wy. Z Jankiem rozmawiała jak ze starym znajomym, choć widzieli się pierwszy raz, a do mnie zwracała się jak do służącego. Milczałem, wtedy ona spytała, jak ma na imię moja dziewczyna. Jożefina, ale w domu wołają na nią Pepca. Obiecała, że z okazji ślubu podaruje Pepcy coś ładnego. Chciała się dowiedzieć, jaki jest jej ulubiony kolor. Nie wiem, może niebieski. Czuję się niezręcznie, rozmawiając z nią o babskich sprawach, miałem zresztą dość tej rozmowy, bo Veronika wypytywała mnie o Pepcę z uśmiechem, ale miała smutne oczy. Podziękowałem i odszedłem.

Latem czterdziestego drugiego roku Pepca zachorowała. Miała wysoką gorączkę, zaczęła majaczyć, jej bliscy stracili głowę. Zrobiło się późno i nie było już żadnego pociągu, którym mogliby ją zawieźć do szpitala, pobiegłem więc do Podgorska na zamek, chciałem prosić ich szofera o pomoc. Ale szofer miał urlop. Pana Leona też nie było, pewnie wyjechał do Lublany albo polował. Veronika nie zastanawiała się długo, ja ją zawiozę, zdecydowała. Jeszcze tego samego wieczoru Pepcy wycięto wyrostek robaczkowy. Operował ją niemiecki lekarz wojskowy, szybko wróciła do zdrowia. Po tygodniu pani Veronika sama zaproponowała, że ją przywiezie do domu. Jechaliśmy drogą, za nami unosił się obłok kurzu. Przyszło mi na myśl, że jadę z nią ja, nie Janko, autem, nie na motorze. To był przyjemny dzień, wracaliśmy już we troje, na tylnym siedzeniu moja wymizowana narzeczona, z przodu ja i Veronika. Janko by mi zazdrościł. Veronika trochę popsowała ten miły

nastrój, kiedy zatrzymaliśmy się w przydrożnej gospodzie i zamówiliśmy piwo. A co się dzieje z tym twoim przyjacielem, spytała, no, jak mu na imię? Byłem zły, że znów sobie o nim przypomniała, ale uspokoiło mnie trochę, że nie pamiętała jego imienia. Janko. Jasne, Janko, kiwnęła głową. I co, cały czas tak szaleje na motorze?

Nigdy nie przejechali się razem na motorze i nigdy nie podarowała Pepcy czegoś ładnego z okazji ślubu. Janko poszedł do lasu i walczył z Niemcami, a z Pepcą wziąłem ślub dopiero po wojnie. Jej, Veroniki, już wtedy nie było.

Wojna zaczęła się nagle, przez wieś przejeżdżały kolumny samochodów ciężarowych z niemieckimi żołnierzami. Pierwsze miesiące nie przyniosły właściwie żadnych zmian w naszym życiu, tylko na posterunku żandarmerii rozlokowali się Niemcy, którzy później razem z naszymi żandarmami patrolowali wsie i wieczorami razem przesiadywali w gospodzie. Cały czas chodziłem do pracy na zamek. Wśród tamtejszych gości coraz częściej trafiali się niemieccy oficerowie z Kranja. Podobno dobrze się czuli na zamku, właściciele znali ich język, a ona, jak mówiono, nawet studiowała w Berlinie. W czterdziestym drugim, niedługo po tym, jak z Veroniką zawieźliśmy Pepcę do szpitala, rozeszły się plotki, że nasi żołnierze, ci, którzy po kapitulacji wrócili z niewoli, zbierają się po lasach, napadają na niemieckie posterunki i urzędy, rabują broń i amunicję, strzelają do pojazdów wojskowych. Pewnego dnia pojawiła się większa grupa żandarmów, razem z miejscowymi chodzili od domu do domu, bo urządzono zasadzkę i zastrzelono ponoć jakiegoś żandarma, który jechał na rowerze pełną drogą skrajem lasu. Wezwali nas potem na posterunek, pytali, czy znamy kogoś z lasu. Mnie też wezwano, jakiś Tyrolczyk w mundurze żandarma, chodząc tam i z powrotem, zadawał mi pytania, tłumaczył nasz nauczyciel, który znał niemiecki. Nic nie powiedziałem, bo przecież nie miałem o niczym pojęcia. A nawet gdybym wtedy wiedział, że Janko Kralj jest partyzantem, też bym nie pisnął słowa. Za nic. Nie jestem donosicielem i judaszem.

Jesienią roku czterdziestego drugiego ktoś nocą długo pukał w nasze okno. Ojciec podszedł do drzwi, słyszałem, że z kimś rozmawia. Wrócił blady jak ściana. Powiedział, że szukają mnie, nie jego. Twój przyjaciel, dodał, podkreślając te słowa ze złością, choć wydawał się nieco przestraszony. Nie podobało mu się, że przyjaźnię się z Jankiem, uważał go za lekkoducha z miasta. Dlaczego nie zaprosiłeś go do środka? spytałem. A potem zobaczyłem dlaczego, ja też się trochę wystraszyłem Janka, stał z karabinem maszynowym przewieszonym przez ramię, skórzaną kamizelkę ściągnął w pasie szerokim rzemieniem, do którego była przymocowana duża kabura z rewolwerem. Na głowę nasadził czapkę z pięcioramienną gwiazdą. Także z powodu tej gwiazdy ojciec nie zaprosił go do domu. Nie lubił ich, partyzantów, nie wybaczył mi do końca życia, że przyłączyłem się do leśnych. Ale to stało się później, chyba dopiero po roku.

Przy płocie pod gruszą stały dwie ciemne postacie, jego towarzysze. Nie witając się ze mną, Janko spytał, czy jeszcze chodzę do Podgorska. Odpowiedziałem, że bardzo rzadko.

Masz iść na zamek i poinformować nas, co się tam dzieje.

Walczymy o wolność narodu słoweńskiego, mówił dalej z patosem, co w ustach tego wesołka i kpiarza brzmiało niezwykle.

A oni, dodał, zabawiają się z okupantem.

Wyjaśnił mi szybko, że cenna jest każda informacja. Kto przyjeżdża i kiedy wyjeżdża, mam spróbować dowiedzieć się od służby, jak nazywają się goście, czy są wśród nich niemieccy oficerowie, jeśli się uda, to jakie mają stopnie wojskowe, jak wyglądają ich samochody, czy mają eskortę i jak liczną.

Byłem zdziwiony. Wiedziałem już wtedy, że wielu ludzi niechętnie odnosi się do partyzantów, bo są wśród nich komuniści, którzy chłopom chcą zabrać wszystko, jak w Rosji, wiedziałem też, że mimo to ludzie im pomagają, dają żywność i ubrania, kimkolwiek są, to w końcu nasi ludzie. Gdy bywa się na zamku, można dużo zobaczyć, również to, jak wypchane plecaki wędrują do lasu. Pewnego razu, pracując w lesie należącym do majątku, spostrzegłem leśniczego, który z dwoma pomocnikami włókł ciężkie plecaki do chaty myśliwskiej. Czy to dla niedźwiedzi? zażartowałem. Tak, odparł leśniczy, przyszły do nas z Kočevja. Roześmieliśmy się, wiadomo, że u nas nie ma niedźwiedzi, a gdyby nawet były, dlaczego człowiek miałby dokarmiać dzikie zwierzęta? W Podgorsku wszyscy wiedzieli, że na zamku rzeczywiście pojawiają się Niemcy, ale

też dla nikogo nie było tajemnicą, że pan Leo pomaga partyzantom. Prowadził wtedy, jak my wszyscy, podwójne życie. Niemców nie sposób było unikać, panoszyli się wszędzie. Nawet niektórzy nasi zmobilizowani krajanie przyjeżdżali na urlop w niemieckich mundurach i opowiadali o bitwach w Rosji, jeden z nich był aż w Afryce.

Do tej pory myślałem, powiedziałem do Janka, że właściciele zamku wam pomagają. A on się wściekł, mam nie myśleć. Myślą za mnie inni, ja mam robić to, co mi kazał. Popatrzył na mnie z uwagą, potem uśmiechnął się, nic nie rozumiesz, Ivan, ty zawsze będziesz kmiotkiem. Po chwili spoważniał. Zaczął wydawać polecenia. Za tydzień, może wcześniej, ktoś zgłosi się do mnie, mam mu przekazać, czego się dowiedziałem. Imiona, nazwiska i liczby muszę zapisać. I żeby pamiętać, wśród służby mają swoich ludzi, każdą rzecz sprawdza się wiele razy. To zabrzmiało prawie jak groźba. Później podejmą decyzję w sprawie punktu kontaktowego, do którego będę przychodził i przynosił informacje. Uniósł dłoń do czapki, powiedział: śmierć faszystom, poinstruował mnie, że należy odpowiadać: wolność dla narodu, i już go nie było. Koło gruszy dołączyło do niego tamtych dwóch, którzy przestępowali z nogi na nogę.

Jego powaga, a zwłaszcza słowa pozdrowienia, wydawałyby się śmieszne, jakby Janko znów stroił sobie żarty, gdyby nie brzmiały trochę nieprzyjemnie, a nawet groźnie. O co w tym wszystkim chodzi? Mój przyjaciel, na którego patrzyłem z podziwem, teraz rozkazuje mi, grozi? Mam szpiegować ludzi, choć są dla mnie mili i uczciwie płacą za każdą wykonaną robotę? Mój ojciec, który żył w czasach nieboszczki Austrii, w przypadku szpiegów miał zawsze na podorzędziu niemieckie porzekadło. Kiedy na posterunku żandarmerii albo w urzędzie podatkowym ktoś złożył donos w sprawie nielegalnej wycinki lasu lub kłusownictwa, którego ofiarą padały sarny, mówił: *Der größte Schuft im ganzen Land, das ist und bleibt der Denunziant*. To znaczy, że donosiciel jest i będzie największym łajdakiem w całym kraju. Wiedziałem przecież, że to nie to samo, czego żąda ode mnie Janko, nadeszły ciężkie czasy, dobrze wiedziałem, że chodzi o coś innego. Ale i tak czułem się dziwnie, całą noc nie mogłem spać.

Nie jestem donosicielem i judaszem, choć później, tamtej strasznej nocy w roku czterdziestym czwartym, poczułem, że w jej spojrzeniu, w spojrzeniu Veroniki, jest coś więcej niż strach i coś więcej niż nadzieja na moją pomoc, że w jej oczach jest wyrzut. Ale jak miałbym jej pomóc? Byłem tylko strażnikiem tamtej zimowej nocy w styczniu czterdziestego czwartego, tylko strażnikiem. Gdybym powiedział, że nie podoba mi się ten marsz po nocy, to przesłuchiwanie, zastrzeliliby mnie bez chwili wahania. Miał rację Janko, kiedy zaledwie dwa tygodnie przed śmiercią, siedząc w fotelu wymizerowany i drobny, mówił, że ścigali nas jak dzikie zwierzęta. Dlatego dyscyplina była taka ważna. W czasie akcji każdy sprzeciw oznaczał sabotaż, niemal dezercję. Wtedy nic nie mogłem zrobić. W jej oczach były nie tylko strach i nadzieja, było też coś innego, jakby chciała powiedzieć: przecież to ty, nasz Ivan, lubiliśmy cię, Pepcy zamierzałam dać coś ładnego z okazji ślubu, nic nie zrobisz? A co miałbym zrobić? Może Janko mógłby pomóc, on był dowódcą, ale jemu nawet nie przyszło to do głowy. I to z Jankiem chciała się przejechać na motorze, nie ze mną. Ona by prowadziła motocykl, on by siedział na tylnym siodełku, śmiał się głośno, trzymał ją w pół i mówił na ucho Bóg wie co, a ona też by się śmiała. Znosiła jego beczelne zachowanie, nawet jej się to podobało. Spytała mnie, jak ma na imię, kiedy w jedwabnej sukni przyjmowała gości. Mnie ledwie zauważała, byłem dla niej tylko chłopakiem ze wsi, Jerankiem z Poselja, który ma złote ręce i potrafi, nasz Ivan, nawet śpiewać alleluja w kościelnym chórze.

Chyba z dziesięć dni po odwiedzinach Janka ktoś zapukał w moje okno. Zapaliłem światło, rozsunąłem okiennice. Stała tam młoda kobieta w chustce głęboko nasuniętej na oczy. Wyszepiała, że przysyła ją Janko. Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? spytałem przezornie. A niby skąd bym wiedziała, które jest twoje okno. To prawda, pomyślałem niezupełnie przytomny, Janko wiedział, gdzie śpię, nieznajoma kobieta na pewno nie miała o tym pojęcia. Rozejrzawszy się wokół siebie, rzuciła: zgaś lampę. Choć padało na nią światło, z powodu chustki nie widziałem dobrze jej twarzy. Zgasiałem lampę, przez chwilę stałem w mroku, żeby sprawdzić, czy nie zbudził się ktoś z domowników. Wróciłem do okna.

Co masz? szepnęła.

Odparłem, że prawie nie chodziłem na zamek. Ale jak byłeś, widziałeś coś? Nic takiego.

Pomyślałem sobie, że to głupie przed obcą kobietą obgadywać ludzi, którzy przyjeżdżali na zamek. Zaczęła się niecierpliwić. Towarzysz Janko wierzy w ciebie, ufa ci, powiedziała trochę głośniejszym głosem, w tych słowach zabrzmiał niemal gniew. Dobrze, odezwała się po chwili niezrażona moim milczeniem, powiem Jankowi, że nie masz zamiaru współpracować. Nie chciałem, żeby mój przyjaciel zjawiał się tu z karabinem i dwoma towarzyszami, którzy czekają w ciemnościach pod gruszą. Była jakaś kobieta z Lublany, powiedziałem, i ktoś, kto ćwiczył na pianinie. Grał przez cały dzień. Jak się nazywa? Przypomniałem sobie, Vito. Czasem wychodził na dwór na papierosa. Skarżył się, że pianino jest stare i kiepskie. Będą musieli kupić nowe. Kupię nowe pianino, oznajmiłem kobiecie pod oknem. A co mnie to obchodzi, odparła, co mnie obchodzi ich pianino. Kto jeszcze przychodził albo przyjeżdżał na zamek? Tylko nasi, czyli ci, co pracują. A Niemcy? Wydawało się, że powoli traci cierpliwość. Ona też musiała komuś przekazać informacje, na pewno nie wystarczyła jej pianista z Lublany. Niemców było niewielu, jakiś w średnim wieku, chyba lekarz. Był sam? Z dwoma pielęgniarkami, czekali na dole w kuchni, Joži dała im drugie śniadanie. On w tym czasie chyba jadł obiad na górze w jadalni. Jak długo? Czy ja wiem, może ze dwie godziny, pracowałem w ogrodzie, nie zauważyłem, kiedy odjechali. Wallnera nie było? Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kto to jest. Nie widziałem nikogo innego, zapewniłem ją. Nagle w chacie rozległ się hałas, po drugiej stronie otworzyły się drzwi, kobieta pod oknem przykucnęła. Spokojnie, powiedziałem, o tej porze ojciec idzie... no, wiecie gdzie. Wstała. Będziesz się musiał trochę bardziej postarać, oznajmiła, to żadna informacja. Nic mnie to nie obchodzi, pomyślałem, jestem trochę uparty, jak wszyscy w naszej rodzinie. Nie wiem, czy ci jeszcze powierzymy jakieś zadanie i punkt kontaktowy. To mi nie powierzajcie, sam się nie będę napraszał, byłem już trochę zły. Zniknęła wśród drzew bez pożegnania. Usłyszałem, jak ojciec zamyka drzwi od ubikacji.

Dużo czasu upłynęło od tamtej pory, prawie pół wieku, wielu spraw nie zachowałem w pamięci, ale, co ciekawe, nie zapominałem tego, jak nieznajoma kobieta ukucnęła pod moim oknem. Kiedy byłem już w oddziale, opowiadałem Jankowi tę historię. Myślałem, że towarzyszka przysłana przez niego sika. Przestraszyła się mojego ojca, który naprawdę szedł do ubikacji, jak zresztą każdej nocy. Zaśmiewaliśmy się do łez. Zapomniałem o wielu sprawach, a taki drobiazg utkwił mi w pamięci. Wtedy się wszystko zaczęło, takie rzeczy pamięta się doskonale.

Nie zapominałem o Janku, którego dziś pochowano. Chór zaśpiewał mu *Leży jezioro w ciszy*, sam tyle razy śpiewał tę piosenkę w lesie przy obozowym ognisku albo ot tak, bez powodu, gdy wychylał kieliszek wina i ogarniała go melancholia, a słowa „aż dzień wolności nadejdzie...” znały dla nas tak wiele, niejednego wzruszenie ścisnęło za gardło, jak dzisiaj mnie, w samym środku upalnego dnia, wzruszenie i ostry ból na widok naszego sztandaru pochylonego nad otwartym grobem, w którym leżało drobne ciało wielkiego niegdyś, odważnego człowieka. Przyjaciela, który uratował mi życie. I człowieka, którego nienawidziłem w pewnej chwili. Z jej powodu, z powodu Veroniki.

O wielu sprawach zapominałem, Janka nie zapomnę nigdy. Jak śmiał się i jak śpiewał. Veroniki też, nigdy. Jej chodu, zapachu jej skóry, kiedy stała koło mnie. Pomieszały mi się inne rzeczy, ale dobrze pamiętam ich oboje, wszystkie szczegóły, słowa, słyszę ich głosy, gdy budzę się w nocy, sam w dużym domu, jak teraz, gdy ten wieczór w dniu pogrzebu Janka Kralja powoli przechodzi w noc.

W końcu ja też znalazłem się w lesie. Razem z towarzyszami biliśmy się i uciekaliśmy, śmieliśmy się i żalowaliśmy tych, którzy padli w walce, parliśmy naprzód. Kiedy zaatakowaliśmy posterunek żandarmerii w Bukovju, chodziłem między ciałami zabitych Niemców i Słoweńców w mundurach wermachtu, jednego z nich nawet rozpoznałem, choć twarz miał całkiem zieloną. Noce bez snu, obozowe ogniska, góra, wawóz, droga wśród skał, nocny marsz skrajem lasu tuż nad wsią, natarcia i strzały z czasem utworzyły kłębek, który nie miał dat i nazw górskich szczytów i wsi, zapominałem mnóstwo rzeczy. Zresztą wszystko to jest w książkach stojących na półce w moim pokoju. Nie wszystko jednak zostało tam opisane dokładnie, nie opisano absolutnie wszystkiego, nie ma więc w nich kobiety, która zbierała grzyby, a myśmy ją zastrzelili, bo myśleliśmy, że jest szpiegiem, nie ma zdrajcy Milana, który wkradł się w nasze szeregi i w umówionych miejscach zostawiał informacje dla Niemców. A podczas przesłuchania płakał, ko-

cham was, towarzysze. Zatlukaliśmy go jak psa, ponieważ nie mogliśmy strzelać, żeby nie zdradzić swojego położenia. Tego i wielu innych rzeczy nie ma w tych książkach. Ale i tak wieczorem biorę je czasem do ręki i szukam wydarzeń, w których brałem udział. Kazałem nawet namalować na ścianie pokoju las i partyzantów w letni wieczór siedzących przy obozowym ognisku. Janko, mój syn, gdy przyjechał z Lublany i zobaczył to malowidło, spojrzał zdziwiony. Wybacz, powiedział, to po prostu śmieszne, marny landszaft. A poza tym, dodał, jak daleko masz do lasu? Nie musisz go mieć na ścianie. Wyjdź na dwór, zaśmiał się, usiądź na pniu i wspominaj. On tego nie rozumie, wielu rzeczy nie rozumie. Gdy jestem sam, nieraz otwieram książkę, nalewam sobie kieliszek wina i siedzę razem z towarzyszami, którzy na ścianie siedzą albo chodzą, słucham nagranych partyzanckich piosenek i jest mi jednocześnie dobrze i źle, to jest to, czego mój syn Janko nie zrozumie nigdy, dobrze i źle zarazem.

Chociaż kobieta, która w nocy przykucnęła pod moim oknem, powiedziała, że wcale nie jest takie pewne, czy mi powierzą skrzynkę kontaktową, i choć wtedy nie zależało mi na tym, dostałem ją, nie prosząc. Znajdowała się na stacji kolejowej, nie gdzie indziej, tylko u samego naczelnika, tego, którego podziwiałem już od dziecka, jak unosił okrągłą tarczę na długim trzonku. W moich oczach był potężnym człowiekiem, kierował ruchem na stacji. Kiedy podchodził do pociągu z lizakiem pod pachą, lokomotywa zaczynała sapać, konduktorzy pokrzykiwali na ostatnich pasażerów, którzy żegnali się na peronie, żeby wsiadali do wagonów, trzaskały drzwi, a kiedy podniósł lizak, koła zaczynały się obracać i pociąg wolno ruszał. Nigdy nie miałem dość tych scen. W dzieciństwie mówiłem do niego wujku. Bardzo zaskoczyłem wujka Štefana, wchodząc pewnego popołudnia do jego kancelarii i mówiąc, że jestem tym, który na niego czeka. Tak brzmiało umówione hasło. Powiedział tylko: dobrze, że przyszedłeś, pozdrów ojca i zjrzij kiedyś do mnie. Od tej pory, czyli od końca czterdziestego drugiego roku, byłem już naprawdę związany z partyzantką.

Widziałem, jak na zamek przyjeżdżają różni ludzie, goście z Lublany, sołtysi z okolicznych wsi, ale na razie nie składałem żadnego meldunku. Nie chciałem donosić na właścicieli zamku, którzy dawali mi zajęcie i płacili uczciwie, nawet lubiłem ich w pewien sposób. A zresztą o czym miałbym informować? Od czasu do czasu wykonywałem różne prace w pobliżu zamku, przeważnie aż do wieczoru, słyszałem wtedy śmiech i śpiewy dobiegające z otwartych okien. Wydawało mi się, że nie są to na tyle ważne sprawy, by zjawiać się z takimi informacjami w punkcie kontaktowym. Do wujka Štefana poszedłem dopiero wtedy, gdy pani Veronika dotknęła mnie do żywego swoim postępowaniem, gdy na widok sceny, którą ujrzałem, zrobiło mi się ciemno przed oczami. Opowiedziałem mu o Veronice i jej zachowaniu, o tym, co dzieje się na zamku. A on, dając znak swoim lizakiem, odprawił pociąg, pod którego kołami w końcu straciła życie.

Nim się to jednak stało, kilka dni spędziłem w kranjskim więzieniu.

W ten zimny listopadowy poranek, pamiętam to dokładnie, była sobota, lód na zamrzniętych kałużach pękał pod nogami, wyszedłem ze stajni, kiedy we wsi pojawiły się dwie wojskowe ciężarówki, przed którymi jechało niewielkie osobowe auto. Podeszedłem do płotu, żeby zobaczyć, dokąd jadą. Pojazdy zatrzymały się sto metrów od naszej chaty, koło Košnikov. Z samochodu osobowego wysiadło dwóch ludzi w skórzanych płaszczach, a z ciężarówek zaczęli zeskakiwać żołnierze. Pomyślałem: pewnie kogoś szukają, poczułem nagle, że żołądek podchodzi mi do gardła, bo przypomniałem sobie moich nocnych gości, Janka i nieznaną. Wróciłem do chaty, ale zanim zdążyłem powiedzieć ojcu i matce, co widziałem, wpadło trzech z karabinami w rękę. Jeden pokazał na mnie i po słoweńsku powiedział, żebym się ubrał i wziął dokumenty, idę z nimi. Do pozostałych dwóch rzucił kilka słów po niemiecku, kiwnęli głowami. Ojciec i matka siedzieli za stołem, ojciec wstał, mówiąc: on nic nie zrobił. Tamten powtórzył tylko: idziemy. Ojciec odwrócił się i po niemiecku próbował wyjaśnić, że jesteśmy lojalnymi ludźmi, jesteśmy *katolisz*. *Katolisz*, aha, powtórzył jeden z Niemców i wszyscy trzej się roześmiali. A ponieważ ojciec cały czas coś mówił i wymachiwał rękami, ten, który znał słoweński, popchnął go na ławę. Usiądźcie, ojciec, może nic się nie stanie, może za kilka dni znów będzie w domu. Czy jest zmobilizowany? ojciec chciał się doszukać czegoś, co by go uspokoiło. Oczywiście nie byłem zmobilizowany. Mobilizacja przeprowadzana przez Niemców wyglądała tak, że najpierw wysyłali pismo, które przynosił kurier, ale po delikwenta przychodzili dopiero potem, gdy się nie zgłosił w określonym terminie.

Kiedy znalazłem się na dworze, kilku młodych chłopaków i starszych mężczyzn z naszej wsi już stało koło niemieckich samochodów. Szybko wspięli się na ciężarówkę z brezentowymi plandekami. Ja też wgramoliłem się do środka, a za mną żołnierze. Siedzieliśmy stłoczeni, patrząc na siebie w milczeniu. W Kranju wepchnęli nas do jakiejś piwnicy, chyba z pięćdziesiąt osób, ale słyszeliśmy, że na podwórzu stale podjeżdżają nowe samochody, po odgłosach kroków i zgiełku głosów mogliśmy się domyślić, że zgarnęli znacznie więcej ludzi, niż zdołali zmieścić w tym pomieszczeniu. Wkrótce zaczęli nas po dwóch lub trzech wyprowadzać. Najwyraźniej nie znali naszych nazwisk, bo ci, co wrócili, opowiadali, że najpierw trzeba było pokazać dokumenty i podać informacje, które oni sprawdzali z tymi w naszych papierach. Tak samo stało się w moim przypadku, w ciągu dziesięciu minut było po sprawie. A potem zaczęło się czekanie. Przychodzili strażnicy i po nazwisku wzywali uwięzionych. Przesłuchiwali ich, niektórych nawet bili. Słyszeliśmy uderzenia, krzyki, jęki. Jedni wracali z uśmiechem, inni zakrwawieni i posiniaczeni. Mówili, że biją bykowcami, czyli biczami z wysuszonych byczych ścięgien, od których pękała skóra. Przez dłuższy czas nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Później w piwnicy rozeszła się wieść, że zamknęli nas jako zakładników. Partyzanci urządzili zasadzkę na wysokiego rangą niemieckiego oficera, który z eskortą jechał na Bled, i go zabili. Zginęło też kilku żołnierzy. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Rozstrzelają zakładników, których na ślepo schwyтали po wsiach, ich nazwiska pojawią się na czerwonych afiszach rozklejanych czasem na stacji kolejowej, ze złowrogim, dobrze nam znanym napisem: *Bekanntmachung!* Zanim się to jednak stanie, będą próbowali wycisnąć z nas jakieś informacje. To wyczytywanie nazwisk, wychodzenie z celi i wracanie do piwnicy ciągnęło się przez cały dzień aż do późnej nocy.

Jeszcze nigdy tak się nie bałem jak w ciągu tamtych trzech dni i trzech nocy w kranjskim więzieniu. Czekałem, żeby mnie wezwali i spytali, co wiem o Janku Kralju i kim była kobieta, która w nocy zapukała w moje okno. Kto jest moim kontaktem. Myślałem o naczelniku odprawiającym lizakiem pociągi na stacji kolejowej. Ktoś powiedział: stawiają pod ścianą, a potem w zamian za życie dają do podpisania oświadczenie, że będzie się z nimi współpracować. No i chodzi się po świecie jak ten Judasz, dorzucił ktoś inny. Byłem święcie przekonany, że nic nie powiem, ale człowiek nigdy nie wie, gdzie są granice jego wytrzymałości. Szerzyła się wśród nas przerażająca, szeptem powtarzana wieść o torturach i bykowcu, który rozcina skórę i łamie kości, o wrywaniu paznokci i biciu w podeszwy. Nie musieliśmy szeptać, na własne oczy mogliśmy zobaczyć nieszczęśników, których przynoszono z powrotem do piwnicy. Po pewnym czasie rozniosła się pogłoska, że za zabicie niemieckiego oficera rozstrzelają wszystkich, nie będzie żadnego wybierania. Siedziałem pod ścianą, widziałem swoje nazwisko na afiszu wiszącym na stacji kolejowej, „Ivan Jeranek, chłop, Poselje”, wujek Štefan przeczyta je pierwszy i zawiadomi rodzinę, w myślach żegnałem się z matką, ojcem i Pepcą, z życzliwymi mieszkańcami Podgorska, ze zwierzętami i drzewami, starą gruszą i łąką, z lasami nad wsią i krowami w oborze.

Trzeciego dnia jakiś chłopak z miejscowości Gorenja vas, znałem go z widzenia, stanął na ławce przy oknie piwnicy, a wyjrzawszy na dwór, krzyknął: spójrz, Wallner. Stałem obok niego, zobaczyłem mężczyznę w czarnym mundurze i błyszczących oficerkach, rozmawiał z kimś na podwórzu. To Wallner, szepnął chłopak, gestapowiec. Jeśli dostanie cię w swoje ręce, już jest po tobie. Moją uwagę zwrócił jednak ten drugi, w białym rozpiętym kitlu lekarskim, pod którym nosił wojskowy mundur.

Znam go, kiwnąłem głową.

Wallnera?

Nie, tego drugiego, doktora. Przyjeżdża do Podgorska.

Łajdak, stwierdził mój towarzysz, wszyscy są tacy sami.

Wallner pokazał ręką w stronę naszej piwnicy, obejrzał się również lekarz, obaj odskoczyliśmy od okna.

Wypuścili mnie po południu. Miałem cholerne szczęście. Nie wezwali mnie na przesłuchanie. Do piwnicy wszedł jakiś Słoweniec w mundurze wojskowym i zawołał: Ivan Jeranek. Wstałem, nogi miałem jak z waty. Idziemy, powiedział. Szedłem za nim powoli odprowadzany pełnymi współczucia spojrzzeniami. Ale już na korytarzu, gdy zamknął za nami drzwi, rzucił: masz szczęście,

Jeranek, jesteś wolny. Spadł ze mnie wielki ciężar, jakbym przedtem dźwigał belkę, która teraz runęła na ziemię. Z punktu widzenia logiki to, że mnie wypuścili, było całkowicie zrozumiałe, przecież nic nie zrobiłem, powiedziałem tylko, że kupię nowe pianino. Mogliby mnie jednak zatrzymać, potrzebowali zakładników, więc nie zajmowali się sprawdzaniem, kto jest winny, czyli współpracuje z partyzantami, a kto nie. Miałem cholerne szczęście. Nie byłem jedyny, wypuścili jeszcze kilku, kilku rozstrzelali. Prawie biegłem na stację, czekałem ze dwie godziny na pociąg z Lublany, drżąc na listopadowym mrozie z zimna, ale i ze szczęścia, bo udało mi się wyjść na wolność. Kilku mężczyzn z piwnicy postawiono przed plutonem egzekucyjnym, wśród nich był chłopak, z którym wyglądałem przez okno na podwórze, gdzie stali Wallner i tamten doktor, co przyjeżdżał na zamek. Nazwiska rozstrzelanych znaleźliśmy na czerwonych afiszach ze złowrogim napisem *Bekanntmachung*, rozwiesili je w mieście i po wsiach, jeden także u nas w Poselju, na stacji kolejowej.

Do domu wróciłem jak zamroczony. Przez parę dni nie rozmawiałem z nikim. Byłem szczęśliwy, bo żyłem, i przestraszony do szpiku kości. Przecież Niemcy chcieli, żeby ci, którzy wyszli na wolność, bali się i żeby przez głowę nawet nie przemknęła im myśl o współpracy z bandytami, jak mówili o partyzantach.

Po pewnym czasie znów zacząłem bywać w Podgorsku, przyszła po mnie Joži, gospodyni z zamku, która zajmowała się tam najróżniejszymi sprawami, a więc dbała o to, co się będzie jadło i piło, co będzie rosło w ogrodzie i na polach, troszczyła się o starszą panią, nadzorowała kuchnię i pokojówki, pracowała w ogrodzie i we wszystko wtykała nos. Powiedziała, że pani bardzo potrzebuje mojej pomocy, nikt nie potrafi tak opiekować się końmi jak ja. Nie umiałem się zdecydować od razu, do zamku poszedłem więc dopiero koło południa. Niech nie myślą, że przybiegam na każde zawołanie, nie jestem ich parobkiem.

Veronika była dla mnie naprawdę bardzo miła, jak nigdy do tej pory. Gdzieście się nam zawieruszyli, Ivan? spytała. Zaprosiła mnie na zamek. Pierwszy raz wszedłem głównym wejściem jak właściciele majątku i ich goście. Dotąd zawsze korzystałem z bocznego wejścia, tego do kuchni i przyległego pomieszczenia, gdzie jadali robotnicy. Byłem też kiedyś w pokoju myśliwskim w piwnicy, wśród wypchanych głów jeleni i dzików. Po polowaniu zaprosił nas tam pan Leo. A teraz Veronika przyjęła mnie w jadalni. Usiedliśmy za stołem, Joži przyniosła butelkę wina. Veronika naląła mi kieliszek. Tylko mnie, sama pogryzała jakieś ciasteczka. Miałem na sobie ubranie robocze, czułem się niezręcznie, siedząc za stołem. Powiedziała, że mocno odczuła moją nieobecność, nikt nie potrafi tak się obchodzić z końmi jak ja. Pokazała mi obrazy olejne wiszące na ścianie, jeden przedstawiał ją, przed laty, dodała, kiedy była jeszcze młoda.

Przecież i teraz jest pani młoda, powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy.

Nie odwróciła wzroku. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Nagle się roześmiała: dobry z was człowiek, Ivan, z tymi słowami ruszyła ku drzwiom. Ach, racja, to kiedy ślub? spytała niespodziewanie. Nie wiadomo, odparłem, może niedługo. Tylko proszę dać mi znać odpowiednio wcześniej, żebym znalazła jakiś drobiazg, narzeczona lubi niebieski, prawda? Jaśniejszy czy ciemniejszy? Wyszliśmy z jadalni, w półmroku przedpokoju dostrzegłem dziwne zwierzę. Było wypchane. To aligator, wyjaśniła, moje zwierzątko. Kupiliśmy go, kiedy jeszcze mieszkałam w Lublanie. A potem ugryzł Leona, więc musieliśmy poprosić weterynarza, żeby go uspił. Długo przyglądałem się aligatorowi. I długo waliło mi serce, nie z jego powodu, ale dlatego że Veronika stała tak blisko i była dla mnie uprzejma. Jednak w inny sposób, niż była życzliwa tamtej niedzieli dla Janka. I dla swoich gości, gdy brała ich pod rękę i prowadziła na pokoje.

Nawet dziś nie potrafię powiedzieć, czy wiedziała, że razem z innymi wsadzono mnie do kranjskiego więzienia i czy naprawdę brakowało jej mojej obecności. Oczywiście tylko jako pracownika, który ma złote ręce i wszystko potrafi, a najlepiej wyszczotkować konie po powrocie z zimowej przejażdżki.

Mimo życzliwości Veroniki zacząłem patrzeć na wizyty gości w Podgorsku innymi oczami. W gestapowskiej piwnicy słyszałem na własne uszy, co wyprawiają z naszymi ludźmi ci oficerowie, których nikt nie zapraszał do naszego kraju, i widziałem na własne oczy skatowanych zakładników, których wrzucano do środka jak kłody. Tych oficerów właściciele zamku przyjmują u siebie, urządzają dla nich kolacje, Leo zabiera ich nieraz do chaty myśliwskiej, żeby sobie ustrzelili sarnę.

Tak jak za murem więziennego podwórza czasem strzelają do kogoś z naszych. Widziałem Wallnera i lekarza, który bywał na zamku. Widziałem wilgotny mur i wpatrzony w jego chropowatą powierzchnię żegnałem się z najbliższymi, z lasami, polami, z życiem. Dla mnie nie były to już tylko wizyty gości, pomyślałem sobie, że zapiszę numer jakiegoś samochodu, jakieś nazwisko i pójdę z tym do wujka Štefana na stację kolejową.

Ale życie toczyło się dalej, w domu było mnóstwo pracy, chodziłem też pomagać do Podgorska. Wracałem wieczorami wykończony, słuchałem opowieści ojca, który czytał „Slovenski dom”, o tym, co dzieje się w świecie. Wszędzie trwała wojna, w Afryce i w Rosji. Czasem pisano o komunistycznych bandach działających w naszych stronach. A jeszcze więcej szeptano o tym po kątach. Zastrzelono właściciela gospody z miejscowości Gorenja vas. Wujek Štefan dał mi ulotkę Frontu Wyzwolenia², wynikało z niej, że karczmarzowi wymierzono sprawiedliwość, ponieważ był zdrajcą i współpracował z okupantem. I że zbliża się dzień wolności, kiedy wszyscy, którzy są pachołkami okupanta, skończą tak samo. Wiedziałem, że niedługo zostanę zmobilizowany, bo Niemcy mobilizowali coraz młodsze roczniki, więc zastanawiałem się często, czy nie zrobić tego, co zrobiło już wielu młodych mężczyzn z okolicy. Kiedy dostali papier, zamiast stawić się w wyznaczonym miejscu, szli do lasu i dołączali do naszych oddziałów. Nikt nie wiedział, co jest cięższe, czy rosyjski front, czy ukrywanie się po lasach, które przeczesywali wermachtowcy. Nieraz myślałem też o Janku, czy jeszcze żyje, czy jakiejś nocy nie stanie pod drzwiami w skórzanym płaszczu i z czerwoną gwiazdą na czapce. Właściwie chciałem, żeby znów przyszedł, wszystko byłoby wtedy prostsze. Nie pokazała się też nieznajoma. Tylko naczelnik stacji wciąż stał na peronie ze swoim lizakiem i odprawiał pociągi pasażerskie. A kiedy przejeżdżały długie składy z działami i czołgami, wychodził jedynie z budynku stacji i unosił rękę do daszka czapki, żeby pozdrowić maszynistę i palacza. Pewnego wieczoru spotkałem go we wsi, na mój widok poruszył brwiami, jakby chciał mnie o coś zapytać.

W punkcie kontaktowym stawiłem się w sierpniu czterdziestego trzeciego roku, tuż przed kapitulacją Włoch.

To było tego ranka, kiedy nad stawem zobaczyłem Veronikę i jej... towarzysza.

Wstałem o świcie i szybko ruszyłem na zamek. Był to czas ostatniego dużego koszenia. Zawsze denerwowaliśmy się przy tym trochę, bo w krótkim czasie należało zrobić wszystko, by nasz wysiłek nie poszedł na marne, żeby niespodziewana burza nie zniszczyła pokosu. Poprzedniego dnia skosiliśmy trawę, tego ranka trzeba ją było obrócić w pierwszych promieniach palącego słońca. Po południu zaplanowałem to samo niedaleko stąd, na naszych łąkach pod lasem. Poranek był piękny, bez chmurki na niebie, wyglądało na to, że dzień upłynie spokojnie, a deszcz nie zmarunie naszej pracy. Dlatego byłem w dobrym humorze, choć wciąż się zastanawiałem z lekkim niepokojem, czy przyjdzie dość pomocników i jak sam zorganizuję swój czas, żeby i tu, i tam wszystko zostało zrobione. Pogwizdując, wszedłem po narzędzia do stodoły, a potem na górze przygotowałem miejsce na siano, które zwieziemy niebawem.

Kiedy wyszedłem na dwór, zobaczyłem ich dwoje.

Veronikę. I niemieckiego oficera. Stali nad wodą, on trzymał ją za rękę. Patrzyła mu prosto w oczy. Tak jak mnie w zamkowej jadalni, kiedy serce zaczęło mi walić jak młotem. Teraz też waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, czułem, że krew pulsuje mi w skroniach. A więc tak wyglądają te wizyty. Wczoraj wieczorem na dziedziniec zajeżdżały samochody, odjechały w nocy, żaden nie stał koło zamku ani na dole przy drodze. To znaczy, że Niemiec przenocował u Zarników. Przespał się z nią? Z żoną Leona? Na pewno Leo odwiezie go teraz z powrotem. A gdzie on jest? Chyba w Lublanie. Przyszło mi na myśl, że powinno się go zawiadomić, co dzieje się w jego własnym domu. Wszedłem do stodoły, wdrapałem się po drabinie na górę, usiadłem na drewnianych belkach stropu. Byłem oszołomiony widokiem znad stawu. Wszystko stało się jasne. Nie tylko gotowa była wozić Janka na motorze i tolerować jego obściskiwanie, ale po długiej nocy spędzonej z jakimś Niemcem przechadzała się z nim o świcie nad wodą.

Kurwa, wycodziłem przez zęby, niemiecka kurwa.

Cicho podszedłem do drewnianej ściany i przez szparę wyjrzałem na dwór. Przechadzali się nad stawem odwróceniem w moją stronę. Wyraźnie widziałem jego twarz. To był on, na pewno on, le-

karz, który często przyjeżdżał do Podgorska. Z Leonem popijał w chacie myśliwskiej, przynosił kwiaty i butelki wina. To był on, w rozpiętym kitlu stał na dziedzińcu gestapowskiego więzienia w Kranju i rozmawiał z Wallnerem. Kogo Wallner w błyszczących oficerkach dostanie w swoje ręce, już jest po nim, powiedział tamten chłopak w więzieniu. Mój gniew rósł z każdą chwilą: kurwa, nie tylko niemiecka, ale i gestapowska.

Całe przedpołudnie kopiałem siano, spoglądając od czasu do czasu ku zamkowi. Przy koszeniu lub sprzątaniu siana przychodziła nieraz Veronika, przynosiła drugie śniadanie, wodę i gorzałkę. Wodę, by ugasić pragnienie, gorzałkę, by przywrócić siły. Tym razem jej nie było. Oczywiście, po takiej nocy. Przyszła za to Joži. Spytałem ją, kim jest ten lekarz, który przyjeżdża do Podgorska. Ach, odparła, to dobry człowiek. Był na froncie rosyjskim. Co mnie obchodzi, że walczył na froncie, pomyślałem, szkoda, że go tam nie zabili. A jak ma na nazwisko? Horst Hubmayer, pochodzi z Bawarii. Wiedziałem już wszystko.

Wieczorem zjawiłem się w punkcie kontaktowym i opowiedziałem, co zobaczyłem dziś rano.

Wujek Štefan siedział w swojej kancelarii pochylony nad papierami, przekazywał komuś przez telefon informacje o pociągu towarowym, który właśnie przejechał przez stację. Oczami dał mi znak, żebym nic nie mówił, póki nie skończy. Po chwili odłożył słuchawkę i milcząc, czekał, co mam do powiedzenia. No tak, mruknął zaspanym głosem, kiedy zamilkłem, ale to nic szczególnego. Jak to? zirytowałem się, ten oficer, Horst Hubmayer, ten Bawarczyk, jest hitlerowcem, współpracuje z gestapo. Widziałem go na podwórzu więzienia, rozmawiał z Wallnerem. Wujek Štefan jakby się ocknął na dźwięk nazwiska Wallnera. Wstał, zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Jesteś pewien? spytał. Całkowicie. Przekażę tę informację, powiedział, a ty trzymaj język za zębami, zrozumiałeś? Nie ma sprawy, odparłem zdecydowanym tonem, wiem, co to znaczy. Nie wiedziałem dobrze, co to znaczy, ale o coś niewątpliwie chodziło w tej sprawie, mogłem się tego domyślić po sposobie, w jaki zareagował naczelnik, usłyszawszy o Wallnerze. Chciałem już pójść, gdy coś przyszło mi do głowy. Czy mógłbym pogadać z Jankiem? To będzie poważniejszy problem, odparł wujek Štefan, jest w batalionie.

Chciałbym wstąpić do partyzantki, oświadczyłem.

Patrzył na mnie dłuższą chwilę. Myślisz o tym, żeby pójść do lasu? Tak, jak najszybciej. Dobrze, kiwnął głową, wracaj do domu i zachowuj się tak, jakby się nic nie stało. Czasem zajrzyj na zamek, do Zarników. Nasi już cię znajdują, kiedy przyjdzie na to czas. Rozległ się dzwonek telefonu, wujek Štefan podniósł słuchawkę. Idź, powiedział, pociąg jest już niedaleko. Wziął czapkę i lizak, wyszedł na peron. Jeszcze coś, rzuciłem za nim. Też wyszedłem na dwór. Zlikwidujecie Hubmayera? Zagwizdała lokomotywa, pociąg był coraz bliżej. To nie moja sprawa, odparł cichym głosem, lekko rozdrażniony, wyraźnie chciał się mnie pozbyć. Pociąg hamował z piskiem. Nie przerywając rozmowy, z wagonów wysiadło kilkoro podróżnych. Gdy opuszczałem stację, zobaczyłem, że naczelnik zamienił parę słów z maszynistą, a potem cofnął się nieco i uniósł okrągłą tarczkę na drążku, swój słynny lizak, który podziwiałem w dzieciństwie. Nie był wujkiem Štefanem, ale potężnym człowiekiem, decydował o przyjazdach i odjazdach, miał władzę nad wielką lokomotywą i składem ciężkich wagonów. Lokomotywa sapnęła, koła zaczęły się obracać, pociąg ruszył. Sunął coraz szybciej, widziałem, jak znika za zakrętem i znów pokazuje się za wzgórzem w oddali. Słyszałem brzęczenie torów i pęd pociągu, którego nic nie mogło zatrzymać. Pędził naprzeciw Veronice, a ona pod jego kołami w końcu straciła życie.

W styczniu czterdziestego czwartego roku znów pojawiłem się na zamku. W starym austriackim płaszczu wojskowym, który zabrałem ojcu, i z włoskim karabinem, który dał mi Janko.

Była mroźna zima, oddział rozłożył się obozem wysoko w górach, powyżej chaty myśliwskiej Zarnika. Komisarz batalionu Kostja do akcji na zamku wybrał dwudziestu partyzantów z oddziału Janka. Dziesięciu, którzy będą pilnowali wszystkich dojsć i urządzią zasadzkę przy drodze, na czele grupy zabezpieczającej stanie komendant Janko. Drugą dziesiątkę poprowadzi Kostja i na zamku załatwi to, co jest do załatwienia. Cel akcji: zerwać łączność między rodzimymi zdrajcami a centralą okupanta, zdekonspirować siatkę szpiegowską, przeprowadzić rekwizycję. Nie musimy wiedzieć więcej, resztę znali Kostja i dwóch vosowców¹⁰, którzy się do nas przyłączyli, jeden

miał na imię Peter. Wiadomo powszechnie, zabrał głos Peter, że przemysłowiec Zarnik jest ciemiężycielem ludu pracującego, wyzyskuje robotników w swojej fabryce, a teraz okazało się, że do tego jest agentem okupanta, co stwierdzono na podstawie informacji gromadzonych od dłuższego czasu. Wśród służby mamy swoich ludzi. Nasz informator, mówił dalej Peter, już pod koniec sierpnia doniósł nam, że żona Zarnika spotyka się z gestapowcem Hubmayerem.

Zerknął w moim kierunku. Miałem wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie. Ale nie. Wydawało mi się tylko. Odetchnąłem. Na oczy nie widziałem tego Petra, a on wiedział, że jestem ich informatorem. W naszym ruchu było wiele tajemnic, o tym, że przekazałem tę informację, oprócz niego wiedział może Janko, ale Janko nigdy się z tym przede mną nie zdradził, ani wtedy, ani później. Nazywaliśmy to konspiracją. Nic nie wiedzieliśmy o sobie, ale przywództwo wiedziało wszystko, vosowcy również wiedzieli wszystko. Byli to szczególnego rodzaju ludzie, niebezpieczni, kiedy się pojawili w batalionie, zapanowała nieprzyjemna atmosfera. Czuło się, że mogą podejrzewać kogoś z nas. To vosowcy odkryli, przesłuchali i zlikwidowali zdrajcę Milana, tego, który stojąc przed całym oddziałem, mówił, że nas kocha. Zanim go zatłukliśmy, bo nie mogliśmy strzelać. Przeszły po mnie ciarki, gdy usłyszałem słowa Petra, oficera VOS-u, a z jego spojrzenia wyczytałem, że to ja jakoś przyczyniłem się do podjęcia tej akcji. Byłem więc vosowskim informatorem. Szpiegiem. *Der größte Schuft, Denunziant*. Przekazując informację wujkowi Štefanowi, sądziłem, że cokolwiek nastąpi, stanie się bez mojego udziału. Że konsekwencje poniesie Hubmayer, nie myślałem, że coś złego mogłoby spotkać także Veronikę. Jeśli w ogóle coś myślałem w tej złości o lekarzu, o Veronice, o wszystkich. Teraz chciałem wytłumaczyć, że Hubmayer może wcale nie jest gestapowcem, że nic takiego nie mówiłem, powiedziałem tylko, że jest zmobilizowanym lekarzem, który walczył na froncie rosyjskim. Gestapowcem jest Wallner, a Hubmayer rozmawiał z nim na dziedzińcu więzienia.

Z gestapowcem Hubmayerem, ciągnął towarzysz Peter, który zabijał naszych słowiańskich braci w Rosji. Można sobie wyobrazić, co mu kochanka szeptała w łóżku do ucha. Partyzanci zachichotali. On jest agentem, podsumował Kostja, a ona gestapowską kurwą. Przesłuchamy ich, żeby ustalić, co tych dwoje zdrajców narodu słoweńskiego przekazywało okupantom. Zamierzałem podejść do Janka i powiedzieć, że wolałbym nie iść, bo tam wszyscy mnie znają, ale mógłby to zrozumieć jako strach przed akcją, może nawet sympatyzowanie ze zdrajcami i agentami gestapo. Peter oświadczył, że przeprowadzono śledztwo, a więc moja informacja o Hubmayerze nie mogła mieć decydującego znaczenia. Pocieszałem się tą myślą trochę później, gdy w głębokim śniegu schodziliśmy zalesionym zboczem. Poprosiłem Janka, żeby przydzielił mnie do oddziału, który miał stać na straży. Dobrze, pójdiesz ze mną. Słyszając to, komisarz Kostja roześmiał się na głos: nie chcesz się pokazać swoim chlebodawcom, co? Wolę stać na straży, odparłem sucho. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że to prawda, nie chciałem brać w tym udziału, nie byli złymi ludźmi, przynajmniej do mnie odnosili się życzliwie, a czy coś innego mieli na sumieniu, tego nie wiedziałem. I dzisiaj też nie wiem. Wiedzą Peter i Kostja, może wiedział Janko. Może on rozumiał, ja w każdym razie nie chciałem tylko, żeby towarzysze dostrzegli moją słabość albo współczucie dla wroga. Gdyby na przykład pani lub pan zwrócili się do mnie, pewnie nie potrafiłbym odpowiedzieć im ostro, przecież nie byli złymi ludźmi, a jakie krzywdy wyrządzili narodowi słoweńskiemu i ludowi pracującemu, to już inna sprawa, o tym wie komisarz.

I tak znaleźliśmy się przed zamkiem Podgorsko. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że kiedyś będę stał z karabinem przed bramą. Nasi weszli do środka, słychać było głośnie słowa i rozkazy, tupot kroków na drewnianych schodach, pełne lęku pytania pokojówek i pozostałej służby, których spędzili do kuchni. A potem na górze zapalały się i gasły światła. Wszystko się jednak uspokoiło, zapanowała cisza, tylko z piwnicy dochodziły jeszcze głosy, to nasi raczyli się szynką, serem i winem. Na dziedzińcu nagle pojawiła się Joži, może chciała wydostać się z zamku i poszukać pomocy, może po prostu jak zagubiona, przestraszona gęś nie potrafiła sobie znaleźć miejsca. Wycelowałem do niej z karabinu: nie wolno wychodzić. Spojrzała na mnie, szeroko otwierając oczy: to ty, Ivan! Była roztrzęsiona, chciała się dowiedzieć, co się dzieje. Mówiła bez ładu i składu, a to żebym wszedł do środka i wyjaśnił, a to że mnie też przyniesie szynki, sera i wina, w końcu zaczęła zawodzić płaczliwie: przecież nic im nie zrobicie! Przestraszyłem się, że ktoś ją usłyszy, stałem na

straży, to nie żarty, ale największa odpowiedzialność, syknąłem przez zęby, niech idzie, niech nacychmiast wraca tam, skąd przysła.

Mamrocząc pod nosem, pobiegła z powrotem, po drodze potknęła się i upadła w śnieg, po chwili zniknęła za drzwiami.

Odtąd czas zaczął mi się dłużyć. Przytupywałem na mrozie, bo było zimno, bo chciałem, żeby to się jak najszybciej skończyło, żebyśmy się już wynieśli. Znałem tu każdy krzak, dużą bramę, ogrodzenie, konie w stajni. I wszystkich ludzi, teraz przetrzymywanych na zamku. Nie wiedziałem, jakie nasi mają wobec nich zamiary. Może chcą przesłuchać Zarnika, może szukają jakichś dokumentów. Miałem nadzieję, że nie wystraszą Veroniki, przecież nie życzyłem jej tego i nie chciałem, by spotkała ją krzywda, choć byłem na nią zły, zwłaszcza po tym, jak widziałem ją nad stawem. Zerkąłem w dół, ku drodze, gdzie w zasadzce czaił się Janko z towarzyszami. Wydawało mi się, że lada chwila usłyszę warkot niemieckich samochodów. Albo rozlegną się strzały. Często tak się zdarzało, cisza, a potem nagle strzały. I ucieczka. Czasem walka, ale tym razem byłaby to ucieczka, znajdowaliśmy się właściwie w dolinie, tu nie można było stoczyć potyczki. Z zamku znów dobiegał tupot kroków w korytarzu i na schodach, w pewnej chwili usłyszałem głośny rozkaz, płacz i głos jakiejś kobiety, chyba go poznałem, to kucharka Fani. A potem zaczęły gasnąć światła, jakby fasada wielkiego budynku zamykała oczy, jedno po drugim. Po kilku minutach zamek stał w ciemnościach.

Tylko w jednym oknie paliło się światło, pewnie zapomnieli je zgasić.

Na dziedzińcu pojawili się nasi z pełnymi plecakami. Kilka z nich położyli w śniegu, na pewno będziemy je nieść my, strażnicy. Odetchnąłem z ulgą, akcja zbliżała się do końca. Zrobiło mi się lżej na sercu, pomyślałem, że chodziło tylko o rekwizycję. Ale w tym samym momencie ujrzałem w drzwiach oboje właścicieli, Veronikę i Leona, a za nimi komisarza Kostję. Byli w zimowych ubraniach, na nogach mieli wysokie sznurowane buty. Veronika włożyła na głowę wełnianą czapkę. Choć dom stał w ciemnościach, wyraźnie widziałem jej twarz oświetloną promieniami księżyca. Patrzyła przed siebie, bałem się, że uniesie głowę i spojrzy mi w oczy. Przyznaję, jakieś przecucie ścisnęło mi serce. Zobaczyłem, że idą z nami, więc może nie skończy się to dobrze. Leo popatrzył w moim kierunku, cofnąłem się pod mur, w cień. Noc była jasna, prawie srebrna. Nikt nic nie mówił. Zaprzagnąłem, by mnie tam nie było. Gdybym kilka godzin wcześniej powiedział to Jankowi, może mógłbym zostać w obozie, cała akcja obyłaby się beze mnie. A tak musiałem uczestniczyć we wszystkim. Ktoś pobiegł drogą w dół, czekaliśmy, aż przyprowdzi strażników, żebyśmy mogli ruszyć w góry.

Wtedy z zamku rozległ się śpiew.

To było naprawdę coś dziwnego, co trudno zapomnieć. Staliśmy i czekaliśmy na dziedzińcu w milczeniu, komisarz Kostja chodził tam i z powrotem, spoglądając na zegarek, Veronika drżała z zimna, a może ze strachu. Leo objął ją ramieniem, drugą ręką potarł jej plecy, jakby chciał ją rozgrzać. Przestała drzeć, spojrzała na niego z wdzięcznością, ale też z troską i lękiem. Wówczas dał się słyszeć ten śpiew. Wszyscy spojrzeliśmy ku górze, tam gdzie paliło się światło. Ktoś śpiewał nieznaną piosenkę, nie można było zrozumieć słów, powtarzał się tylko monotony refren. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że jest to pokój starszej pani. Widywałem często, jak w letnie dni siedziała przy oknie. Odkąd nie mogła chodzić, wciąż przesiadywała w oknie, czasem nucila coś po cichu i mówiła do kogoś, kto był w pokoju. Zobaczyłem, że Veronika uniosła rękę do oczu, znów zaczęła drzeć, może płakać. Kostja się zaniepokoił, zawołał jednego z partyzantów i posłał go z powrotem. Ale w tej samej chwili na dziedzińcu wbiegli ludzie z zasadzki, z Jankiem na czele. Ten, który miał pójść do starszej pani, przystanął, Kostja z ociąganiem machnął ręką, daj spokój. Zarzuciliśmy plecaki na ramiona i szybko pomaszerowaliśmy w stronę lasu.

Jeszcze dzisiaj wydaje mi się, że słyszę śpiew starszej pani. Jej córka stoi na dziedzińcu pod strażą, wszyscy zaraz ruszą w drogę, a ona tam na górze śpiewa, jakby o niczym nie miała pojęcia albo jakby się jej pomieszało w głowie. Brzmiało to bardzo dziwne.

Później widziałem ją jeszcze raz. Znów w oknie. Było to w Lublanie w maju czterdziestego piątego, tego dnia, gdy przemawiał Marszałek. Na miejsce zbiórki wyznaczono nam ulicę na przedmieściu, chyba w Mostach, miasto jest duże, nie znam go dobrze. Kiedy w końcu ruszył pochód

z orkiestrą i flagami, rozejrzałem się dokoła, z okien machali do nas rozentuzjzmowani mieszkańcy. W otwartym oknie starej kamienicy, z której odpadał tynk, siedziała starsza kobieta. Zwróciłem na nią uwagę, bo tylko jej okno nie było udekorowane majowymi kwiatami i chorągiewkami. Rozpoznałem ją z trudem, wyglądała jak wiekowa staruszka z rozpuszczonymi, nieumytymi włosami. Ona też mnie zauważyła, bo przystanąłem na moment. Uniosłem nawet rękę, żeby jej pomachać, ale opuściłem ją w tej samej chwili, nie miało to żadnego sensu. Nie zastanawiałem się, co tu robi, byliśmy szczęśliwi, radośni, grała orkiestra, szliśmy na plac, gdzie będzie przemawiał Marszałek. Życie toczy się naprzód, niektórzy zostają w tyle.

Uformowaliśmy kolumnę i ruszyliśmy pod górę wąską, wydeptaną w głębokim śniegu ścieżką. Poprzednią noc spędziliśmy w chacie myśliwskiej Zarnika, potem siedzieliśmy tam cały dzień, a wieczorem zeszliśmy do zamku. Wracaliśmy tą samą drogą, po godzinnym marszu znów dotarliśmy w okolice chaty. Ponieważ wcześniej stałem na straży, Janko nie przydzielił mi teraz żadnego zadania. Strażników rozlokowano niżej, tu nie było nikogo. Czasem korzystaliśmy z tej chaty, spaliśmy w niej, jedliśmy albo walczyliśmy z wszami, a w cieplejszej porze roku nawet praliśmy ubrania w pobliskim potoku. Komisarz Kostja, vosowiec Peter i kilku jego ludzi razem z właścicielami zamku weszli do środka, Janko, ja i jakiś człowiek z Primorja, który kilka dni później zginął w obławie, zostaliśmy na dworze.

Stałem kilka metrów od chaty. Słyszałem każde słowo. Najpierw przesłuchiwali handlarza koni, którego wieczorem zastaliśmy w zamkowej kuchni. Vosowcy przypuszczali, że to właśnie on grał rolę łącznika między Zarnikiem a gestapowcami w Kranju. Ktoś mu rozkazał wywrócić kieszenie i opróżnić plecak. Rozległy się dźwięki wydawane przez przedmioty, które wypadły na stół, jakby metalowe sprzączki, monety. Potem zrobiło się cicho. Nie ma nic, odezwał się jakiś głos. Wtedy sprawę wziął w swoje ręce Kostja. Co robił na zamku? Kto go posłał? Jak długo znają się z Zarnikiem? Tamten przestraszony, jękając się, odpowiedział, że przyszedł z powodu okaleczonego konia, rozmawiali o kupnie nowego. Zarnik potwierdził. Przyznaj się, jesteś łącznikiem, krzyknął Kostja. Jakim łącznikiem? wyjęczał handlarz, chwilę później rozległ się głośny policzek. I jeszcze jeden. Łącznikiem z gestapo. Znów kolejne tępe uderzenie. Zaczął szlochać i skomleć. Spójrz, zauważył jeden z naszych, zeszczął się. Nawet gdybyś się zesrał, rzucił vosowiec, i tak ci to nie pomoże. Zostaw go w spokoju, Peter, odezwał się Kostja. Potem Zarnik długo coś wyjaśniał w związku z końmi. Powiedział, że Veronika kocha konie, bardzo się przejęła, kiedy jeden złamał nogę, bo trzeba go będzie zastrzelić, dlatego od razu wezwali tego człowieka, miał im polecić nowego konia, może jakiegoś lipicanera. Czy ten typ ma zamiar jeszcze długo głądzić o koniach? spytał vosowiec Peter. Przestań chrzanić o koniach, lepiej przyznaj się do kontaktów z gestapo. Zarnik odpowiedział cicho i zdecydowanie, tak jak wtedy, kiedy zlecał mi jakąś pracę, ma nadzieję, że nie zapomnieli o żywności, którą im dostarczał do chaty, o odzieży i maszynie drukarskiej, którą po kryjomu kupił z wielkim trudem i przekazał im przed rokiem. To było mydlenie oczu, stwierdził Kostja, daleś nam tę maszynę, żeby zakamuflować współpracę z gestapo. Wiemy, dodał Peter, że tamtego wieczoru pojawił się na zamku gestapowiec Hubmayer, który widział, co się dzieje, ale udawał, że nie widzi. To znaczy, że wiedział o całym tym matactwie.

Wtedy wmieszała się Veronika. Panie Peter, powiedziała, Horst Hubmayer nie jest żadnym gestapowcem, to lekarz. Przez moment panowała cisza. Pomyślałem, że jest odważna, zabierając głos w takiej chwili, przecież nikt jej o nic nie podejrzewał. Najwyraźniej chciała osłonić męża, to było więcej niż oczywiste. Wykorzystała ciszę, która zaległa po tych niespodziewanych słowach, by choć trochę rozładować napiętą sytuację. Czy to pan jest Peter? spytała aksamitnym głosem. Jakbym ją widział, pewnie uśmiechnęła się przy tym łagodnie. Jej uśmiech i miły głos były rozbrajające. Mój ojciec też miał na imię Peter, powiedziała cicho. Przypomniałem sobie, jak nieraz, gdy z nią rozmawiałem, na dźwięk tego głosu i na widok tego uśmiechu uginały się przede mną kolana, ta kobieta promieniowała ciepłem, jakimś niezwykłym urokiem. Gestapowska kurwa, wrzasnęła nagle Peter, nie mam nic wspólnego z twoim ojcem. Myślałam... zaczęła. Powinnaś myśleć wcześniej, ty kurwo, darł się Peter, kiedy puszczałaś się z gestapowcami... rozległ się odgłos tępych uderzeń, tym razem bili Veronikę, ona jednak nawet nie jęknęła. Zapadła cisza, ktoś oddychał głośno. No, powiedział Kostja, zróbmy wreszcie trochę porządku. Porozmawiamy sobie o wszystkim, mamy

mnóstwo czasu, co najmniej do rana. A ty się wynoś. Zajmij się swoimi szkapami. Niewątpliwie zwracał się do handlarza koni. Jeśli piśniesz choć słowo, gdzie byłeś, znajdziemy cię i zastrzelimy jak psa. Peter dodał: dobrze wiesz, każdego potrafimy znaleźć. Ani słowa, przysięgam, nie pisnę ani słowa, powtarzał tamten, szlochając jak dziecko, nikomu ani słowa. Otworzyły się drzwi, człowiek z przerażeniem w oczach upadł w śnieg. Janko roześmiał się: no, co jest, powinieneś się cieszyć. Przecież się cieszę, bardzo się cieszę, naprawdę się cieszę, powtarzał handlarz koni. Janko powiedział do mnie: sprowadź go w dół do drogi, a potem kopnij w tyłek, żeby było szybciej.

Idziemy, rozkazałem. I ruszyliśmy. Gdzieś w połowie drogi na szczyt odchodziła w dół wydeptana w śniegu ścieżka, w tyle pozostały tylko ślady nas obu, ponieważ wcześniej wedle starego zwyczaju ciągnęliśmy za sobą gałęzie, żeby zamaskować przemarsz większej grupy. Przez cały czas handlarz oglądał się na mnie ze strachem i wciąż się potykał. Pewnie myślał, że strzelę mu w plecy. Nie strzelaliśmy do niewinnych ludzi, tylko do agentów i zdrajców. A on rzeczywiście znalazł się tu przypadkiem, miał wielkie szczęście, że go puściliśmy. Prawdę mówiąc, do dziś nie potrafię powiedzieć, dlaczego Kostja podjął taką decyzję. Może on też był naszym człowiekiem, może właśnie dlatego znalazł się na zamku przed nami. No a potem, niby go przesłuchując, a nawet bijąc, trzeba było zachować pozory ścisłej konspiracji. Nie wiem. Jeśli naprawdę tak było, to okazał się dobrym aktorem, nikt, kto brał udział w akcji, nie mógł wiedzieć, że współpracuje z nami. Jeśli natomiast nie był naszym człowiekiem, miał nieprawdopodobne szczęście. Kiedy doszliśmy do polanki tuż nad drogą, lufą karabinu szturchnąłem go w żebra i kazałem mu uciekać. Widziałem, jak pędzi ścieżką w dół, pada, koziołkuje, wstaje cały mokry i biały od śniegu. Nawet gdy był już bardzo daleko, stale się oglądał. Nie mógł uwierzyć, że żyje. Odłamałem dużą gałąź świerka i ciągnąłem ją za sobą, wracając do chaty myśliwskiej Zarnika. Już z daleka Janko pokazywał białe zęby, a kiedy podszedłem blisko, szepnął: kopnąłeś go w tyłek? Pomyślałem: to dziwne, że szepcze. Byliśmy wysoko w górach, tylko w dolinie migotały nieliczne światelka, otaczał nas bezpieczny las i głęboki śnieg, żadnego powodu, by szeptać. Janko wykrzywił twarz i potrząsnął ręką jak człowiek, który wyciągnął ją z ukropu. W środku dzieją się okropne rzeczy, szepnął. Dopiero teraz zobaczyłem chłopaka z Primorja, oparty o pień drzewa, zatykał sobie uszy.

Ja też usłyszałem tępe uderzenie i krzyk Zarnika, a po chwili długo niemilknący jęk. Rozległ się hałas, jakby ktoś przewrócił krzesło, kroki tam i z powrotem, przyspieszone oddechy, ciosy, ciało, które uderzyło o ścianę. Wszystkie żebra ci połamię, syczał, ciężko dysząc, Peter, wszystkie żebra.

Usłyszałem płacz Veroniki. Proszę, szlochała cicho, zostawcie go w spokoju... co ma wam powiedzieć, co ma powiedzieć?

Czy ktoś w końcu uciszy tę niemiecką kurwę? krzyknął ze złością komisarz Kostja. Jak mamy go przesłuchiwać, kiedy ta baba cały czas zawodzi? Zabierzcie ją stąd. Otworzyły się drzwi, w słabym świetle lampy zobaczyłem przewrócone krzesło, z którego spadł Leo Zarnik. Leżał pod ścianą, nad nim pochylał się Peter. Za chwilę powłókł go na środek chaty. Leo miał zakrwawioną twarz, mrużył tylko jedno oko, z ust spływała mu ślina pomieszana z krwią.

Drugi vosowiec, młody czarnowłosy chłopak z podwinętymi rękawami, wykręcił Veronice ręce i wypchnął ją za drzwi. Przypilnujcie jej, rzucił, kiedy załatwimy z tym gestapowskim szpiclem, przyjdzie kolej na nią. Przez moment stał w otwartych drzwiach. A co jest tamtemu? warknął. Zobaczył chłopaka z Primorja, który zatykał sobie uszy. Wrażliwa duszyczka, co? Zwrócił się do Janka: wyślij go na dół, niech stanie na straży, żeby i on się nie zeszczął. Wyszedł na dwór, wytarł w zaspie zakrwawione ręce. Przemył sobie śniegiem twarz, pewnie się zgrzał. W końcu wszedł do środka, zamykając drzwi. Veronika stała na zimnie, patrzyła przed siebie. Odgarnąłem śnieg z ławy pod chatą, rzuciłem na nią koc. Spojrzała na mnie z wdzięcznością. Dopiero teraz mnie poznała. Czekałem, aż powie: Ivan, co się tu dzieje? Może nawet: Ivan, jesteś nasz, pomóż. Nic nie powiedziała, usiadła na ławie, ramiona jej drżały.

A w środku chaty dalej toczyło się przesłuchanie. Znasz Wallnera? Znałeś Remškara? Od kiedy? Wiedziałeś, że Remškar jest agentem? Zlikwidowaliśmy go, ciebie też zlikwidujemy, jeśli nie będziesz mówił. Wiedziałeś, że pracuje dla Wallnera? Zarnik odpowiadał coś niewyraźnie. Kim jest Hubmayer? Był łącznikiem między tobą a Wallnerem? Ciosy padały cały czas. Nie wiem, jak

długo to trwało. Nigdy nie słyszałem o Remškarze. Padały też inne nazwiska, na pewno wiedzieli, o czym mówią. Słysząc było tępe uderzenia i krzyki przesłuchiwanego. Potrzebowałem niecałej godziny, żeby doprowadzić handlarza koni do drogi w dolinę, kiedy wróciłem, w chacie była jatka. Nie wiem, ile czasu minęło, nim się zmęczyli. Dotarł do mnie głos Kostji, który powiedział: a teraz spytamy kurwę, co robiła w Berlinie.

Veronika słyszała jego słowa. Popatrzyła na mnie z przestraszeniem i z prośbą w oczach. Tak jak Joži, kiedy stałem na straży przy bramie. Jak ktoś, kto myśli, że mogę pomóc albo przynajmniej coś wyjaśnić.

Przestępowałem z nogi na nogę, spoglądając w dolinę. Nieliczne światełka mrugały daleko w dole. Pomyślałem, że teraz jest ich więcej. W wiejskich chatach wstają i piją gorące mleko, idą do stajni, wkrótce zaczną świtać. Janko rzucił koc na ławę i usiadł obok Veroniki. Ściągnął rękawice, wziął jej dłonie w swoje ręce i pochuchał, potem objął ją ramieniem. Patrzyłem zdziwiony: o co chodzi? Zaczął szeptać jej na ucho, jakby chciał powiedzieć: wszystko będzie dobrze, przytakiwała ruchem głowy. Jego ręka powędrowała na jej biodro. Cały czas mówił jej coś do ucha, przyszło mi do głowy, że jeśli otworzą się drzwi, na pewno oberwie mu się od Kostji. A jeszcze mniej niż Kostję można było lekceważyć Petra, ten się wścieknie, gdy zobaczy, jak życzliwie Janko traktuje podejrzaną. Nic takiego się jednak nie stało.

W chacie znów się zaczęło. Przy każdym uderzeniu i każdym krzyku Veronika drżała na całym ciele. Wiele przeżyłem, wiele widziałem i słyszałem w ciągu tych miesięcy, gdy walczyliśmy w górach, ale tego nie mogłem znieść. Jak tamten chłopak z Primorja, który stał oparty o drzewo i zatykał sobie uszy, aż w końcu wysłali go do pełnienia straży, daleko od tego miejsca. Ja też chciałbym się znaleźć daleko stąd. Było mi ciężko na duszy, w końcu chodziło o ludzi jakoś mi bliższych. Najchętniej bym uciekł, wrócił do domu drogą, przy której zostawiłem handlarza koni, i ukrył się w naszym sianie. Nie uciekłem, tylko oddaliłem się od chaty na tyle, by nic nie słyszeć i nic nie widzieć. Niech się to stanie beze mnie. Zerwałem kilka gałęzi świerka, usiadłem na nich, opierając się o pień drzewa. Zdrzemnąłem się ze zmęczenia. Kiedy się obudziłem, przez moment wydawało mi się, że spałem tylko kilka chwil. Spojrzałem na zegarek, okazało się, że minęły ponad dwie godziny.

Kiedy wróciłem pod chatę, już dniało. Przygotowywano się do wymarszu. Nikt nie zauważył, że nie było mnie tyle czasu. Byliśmy zmęczeni jak psy myśliwskie po długim polowaniu, nie spaliśmy całą noc. Usłyszałem, jak Kostja i Janko się sprzeczną, Kostja twierdził, że najlepiej będzie spędzić dzień w pobliżu chaty i wyruszyć, gdy zapadnie noc. Ale Janko upierał się, że wermachtowcy na pewno urządzą oblawę i będą nas szukać najpierw tu, więc powinniśmy natychmiast pomaszerować wozem do obozu, gdzie stacjonuje nasz batalion. Kostja wydał rozkaz: idziemy. Ruszyliśmy. Nie śmiałem spytać, gdzie są przesłuchiwani. Miałem nadzieję, że pozwolili im zejść w dolinę jak tamtemu handlarzowi koni. Cały czas stała mi przed oczami jej twarz. Kiedy wyrzucili ją na dwór, a ja odgarnąłem śnieg z ławy, żeby mogła usiąść. Padało na nią światło ze środka chaty, spod czapki wysuwały się jasne włosy, poznała mnie, podziękowała i spojrzała tak, jakbym mógł tu coś zrobić. Nie wiedziałem, co się później stało. Zanim odszedłem trochę głębiej w las, znów popatrzyła na mnie, wydawało mi się, że za chwilę powie: słyszałam, że się będziesz żenił, Ivan. Kiedy ją widziałem ostatni raz, siedziała na ławce z Jankiem. Chciałem go zapytać, co było potem. Ale wspinaliśmy się coraz wyżej, padając z wyczerpania. Przed oczami miałem zakrwawioną twarz Leona. Jeśli w takim stanie dowlóknę się do domu, na pewno pomyśli dziesięć razy, nim znów zaprosi niemieckiego oficera. Kiedy dobrnęliśmy pod szczyt i przed nami rozpostarła się zaśnieżona równina w promieniach słońca, przystanąłem koło Janka, który kuczał i grzebał w plecaku. Spojrzał na mnie i choć z trudem otwierał oczy, mrugnął porozumiewawczo.

No i nie trzeba było jeździć motorem, powiedział chępliwie.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

Chyba nie... tej nieszczęsnej kobiety, wyrzuciłem z siebie.

Sama się zgodziła.

Wcisnąłem w usta garść śniegu, żeby zdusić charkot, który wydobywał się z mojego gardła. Nie chciałem zrozumieć.

A gdzie są teraz? spytałem, dygocząc na całym ciele.

Niech ci Bogdan powie, odparł Janko dziwnym głosem, podniósł się z klęczek, trzymając manierkę w rękę, on był z nią ostatni.

Jak ostatni, jak ostatni, jak ostatni? krzyczałem. To znaczy, że inni ją też, najpierw Janko, a potem inni, ją, Veronikę. Ostatni był Bogdan, robotnik drogowy z małymi oczkami i rękami jak łopaty. Janko próbował się uśmiechnąć, ale głos mu drżał: spytaj Bogdana. O co mam go spytać, jęknąłem, w jednej chwili znieawidziłem jego uśmiech, jego głos. Rzuciłem się na Janka, przewróciłem go w śnieg, uderzyłem, chwyciłem za twarz i za szyję, zaciskałem uścisk, oczy wyszły mu na wierzch. Dusilem go, charczał, jakby chciał wzywać pomocy. Usłyszałem Kostję, który wrzeszczał: czyście oszaleli? Partyzanci podbiegli do nas błyskawicznie, ktoś ściągnął mnie z Janka. Dwóch skrzyżowało mi ręce na plecach, pchnęli mnie w głęboką zaspę, ktoś usiadł na mnie, siedział mi na głowie i wciskał twarz w śnieg, brakowało mi powietrza, czułem, że ktoś zabiera mi karabin i odpina pas z rewolwerem. I znów głos Kostji: już nie ma broni? Ciężar na moim ciele zelżał, uniosłem głowę. Jesteś aresztowany, powiedział Kostja, zaatakowałaś towarzysza w czasie przeprowadzania akcji bojowej. W batalionie zdecydują, co z tobą zrobić. Wstaliśmy obaj z Jankiem.

Co za cholerny, durny kmiotek, sapał Janko, oszalełeś? Kiedy zobaczył, że mierzą we mnie z karabinów, próbował zbagatelizować zajście, to była tylko taka przyjacielska bójka, powiedział, usiłując się uśmiechnąć, choć usta miał we krwi.

Taka przyjacielska bójka, ostro rzucił Kostja, oznacza trzynasty batalion.

Wiedziałem, o co chodzi z trzynastym batalionem: strzał w plecy.

Nie dostałem z powrotem broni, kazali mi iść w środku kolumny. Tuż za mną maszerował Bogdan, kiedy się zatrzymywałem, szturchnął mnie w żebra lufą karabinu. Koło południa dotarliśmy do obozu pod nawisem skalnym. Wciąż nie wiedziałem, czy w końcu wypuścili Veronikę i co się stało z brutalnie pobitym Leonem. Nie rozumiem, dlaczego miałem nadzieję, że dostał tylko straszną nauczkę, a teraz na zamku bandażują mu rany.

Otworzyłem puszkę, połknąłem jej zawartość, położyłem się w namiocie i usnąłem.

Kiedy się obudziłem, była już noc.

Ktoś głośno chrapał obok mnie. Potrząsałem nim długo, ucichł na moment, potem znów chrapał, jeszcze głośniej. Macając, natrafiłem na jego twarz, ścisnąłem go za nos. Jęknął, uniósł się na łokciach. Zapaliłem zapałkę, to był Bogdan, stękał przestraszony, mrugając małymi oczkami. Do diabła, powiedział, kiedy mnie poznał, po co mnie budzisz?

Bogdan, szepnąłem, co się stało w chacie?

Nie rozmawiam z tobą, warknął.

Wszyscy byli wściekli na mnie, bo rzuciłem się na Janka i prawie go udusiłem. Po chwili dodał: przecież wiesz, że nieźle wpadłeś.

Pewnie tak, odparłem. A czy temu... agentowi gestapo pozwoliliście zejść w dolinę? Jak handlarzowi koni?

Milczał. Bogdan myślał wolno. Musiał się zastanowić, dlaczego nie wiem, co się stało, przecież brałem udział w akcji. Wreszcie do jego mózgu pracującego ospale dotarło, o co pytam: byłeś... koło chaty... stałeś na straży?

Tak, skłamałem. Nie mogłem mu powiedzieć, że zrobiło mi się słabo. Że po prostu odszedłem kawałek.

Nie wiesz, co było?

Nie.

Wyciągnął kopyta. Peter się wściekł, kiedy drań nie chciał nic powiedzieć. Raz walnął go trochę za mocno i tamten już się nie ocknął. Polewaliśmy go wodą, nacieraliśmy śniegiem, ale on był już na tamtym świecie.

A ona?

Z nią się trochę zabawiliśmy.

Kto?

Najpierw Janko, potem inni.

Ty też?

Nic nie odpowiedział. Stwierdził tylko, że nie mogli jej wypuścić po tym, co się stało.

Prześń już wypytywać. Lepiej się przygotuj, bo jutro ty będziesz odpowiadał na pytania.

Przed sądem wojennym.

Dałem spokój. Nie chciałem wiedzieć, jak wykończyli Veronikę, kiedy usłyszałem, co zrobili z jej mężem. Wiedziałem, że jej nie zastrzelili, to była akcja, odwrót, a wtedy się nie strzela.

Nie spałem całą noc. Obok chrapał Bogdan. Trząsałem się na myśl o tym, co spotkało Veronikę. Nie chciałem tego, idąc na stację i przekazując naczelnikowi moją informację. Choć nie znałem szczegółów, to, czego domyślałem się ze słów Bogdana, przekraczało moją wyobraźnię. Prawdę mówiąc, miałem dość już po rozmowie z Jankiem. Ostatni raz widziałem ich, jak siedzieli na ławie, jak jego ręka powędrowała na jej biodro. Powiedział, że nie trzeba było jeździć motorem. Gdyby się przejechali motorem i wtedy to by się stało, sprawa miałaby się inaczej. A tak... Straciłem panowanie nad sobą, zaatakowałem Janka i go dusiłem. Tej nocy nie spałem wcale. Myśli przeskakiwały mi z Veroniki na Janka i chrapiącego Bogdana, który spał obok mnie, i tak w kółko. Biegły też ku sądowi, który mnie czekał następnego dnia.

Przynajmniej sąd się nie odbył. Niebo nie zdążyło się jeszcze rozjaśnić, kiedy na nogi postawił nas pojedynczy strzał. Jakiś czas było cicho, potem rozległo się kilka serii karabinowych. Wszyscy zdążyliśmy wyskoczyć z namiotów, w tej samej chwili przybiegł strażnik z okrzykiem: Szwaby!

Wspinaliśmy się cały dzień, w końcu zeszliliśmy do nieznanego wąwozu. Trochę odpoczęliśmy nad zamarzniętym potokiem. Wkrótce znów padły strzały. Tym razem z kierunku, z którego spodziewaliśmy się ich najmniej, z góry. Oddziałek zwiadowców, ten, co wyruszył przed nami, natknął się na niemieckich żołnierzy, widziałem, jak sylwetki wermachtowców przemykają szybko wśród drzew po obu stronach wąwozu, od ich mundurów zrobiło się zielono. Na pewno nie miało żadnego sensu podejmowanie ryzyka potyczki, zawróciliśmy więc, przeskakując kamienie i wpadając w szczeliny utworzone przez lód, w biegu pociągnęliśmy za sobą strażę i po dziesięciu, może dwudziestu minutach, kiedy znów zapanowała cisza, ruszyliśmy stromym zboczem wśród ośnieżonych świerków. Na tyłkach zjechaliśmy potem do innego wąwozu i znów zaczęliśmy się wspinać, niemożliwe, żeby zasadzka była również tu. Gdybyśmy poszli w dół, dotarlibyśmy do drogi, a to by było jednoznaczne z wydaniem na siebie wyroku, bo Niemcy wystrzelaliby nas tam jak kaczki. No więc szliśmy mozolnie pod górę, byliśmy zdyszani, mokrzy, wykończeni, jakby lada moment miała ulecieć z nas dusza. Dopiero wieczorem znaleźliśmy się pod skalnym nawisem, leżały tam drobne okruchy skał i tylko trochę naniesionego śniegu, dlatego było sporo suchego miejsca. Kostja rozesłał patrole, wróciły z dobrymi wieściami, nigdzie nie było zielonych, najwyraźniej pomaszzerowali w innym kierunku. Rozbiliśmy obóz. Janko powiedział, że zostaniemy tu kilka dni, jeśli dopisze nam szczęście, to dobre i bezpieczne miejsce. Uważał, że zrobiliśmy rozsądnie, wycofując się tak wysoko. Chociaż tej zimy już śmiało przemierzaliśmy lasy, a nawet schodziliśmy do wsi, po akcji na zamku w Podgorsku na pewno będą próbowali nas znaleźć i otoczyć. Tu, w górach, byłoby to bardzo trudne. Wermachtowcy nie byli najlepszymi żołnierzami, w ich oddziałach służyli przeważnie starsi mężczyźni albo stąd, albo z Karyntii. Ci, którzy naprawdę potrafili się bić, walczyli we Włoszech lub w Rosji. Kostja często czytał nam z gazet o postępach Armii Czerwonej i Niemcach wycofujących się z Włoch. Kiedy jednak udało się skoncentrować oddziały wermachtowców, nie było z nimi żartów, ich karabiny zabijały nie gorzej niż broń esesmanów, poza tym nic nie pozostawiali przypadkowi, gdy urządzali oblławę, wlekli ze sobą ciężkie karabiny maszynowe i miotacze min.

Pod skalnym nawisem zapanował spokój.

Wciąż niepokoiło mnie, kiedy zostaną przesłuchani, teraz byłaby ku temu okazja. Ale przyszedł Janko, roześmiał się, wałnął mnie w ramię i spytał: no co, Jerko, boisz się? Wiedziałem, co ma na myśli. Nie, czy boję się Niemców, tylko przesłuchania w sprawie napadu na towarzysza podczas akcji. No to zapomnij o tym, rzucił, nim zdążyłem zareagować, uśmiechał się serdecznie, jak kiedyś: wszystko załatwione, oświadczyłem Kostji i komendantowi batalionu, że dołożyłem ci pierwszy, a ty jesteś upartym kmiotkiem i mi oddałeś.

Nie wiem, czy mu podziękowałem. Odetchnąłem tylko. A po chwili zapadłem w sen. Ulga spowodowała, że zapomniałem o Veronice i o wszystkim, co się stało w pobliżu chaty myśliwskiej. Kiedy chodzi o własne życie, nie liczy się nic innego. Dwa razy moje życie wisiało wtedy na włosku, wysoko w górach mogła mnie skosić seria z karabinu niemieckich żołnierzy, jak stało się z tamtym chłopakiem z Primorja, jego ciało leżało potem w głębokim śniegu, mnie też mogli zastrzelić, albo Janka, byliśmy przecież jak łowne zwierzęta, a oni jak obława i bezlitośni myśliwi. Gdyby nie załatwili mnie Niemcy, pewnie zrobiliby to nasi, co jest jeszcze bardziej prawdopodobne. Uratował mnie Janko. Nie tylko od przesłuchania, ale być może od wyroku. Prowadząc bezpiecznie oddział w górskim terenie, uratował nas wszystkich. Dwa razy ocalił mi życie. Nigdy nie rozmawialiśmy o tych sprawach. Ani o tym, co stało się w chacie myśliwskiej, ani o tym, że skłamał, by uratować mi życie. Za takie rzeczy groził wtedy trzynasty batalion, to było powszechnie wiadome. Zrobił dla mnie coś wielkiego. Chociaż wermachtowcy deptali nam po piętach, uspokojony jego słowami rzuciłem się na posłanie z gałęzi świerka obok dużego, ciepłego ciała Bogdana, którym wstrząsało potężne chrapanie, i zasnąłem.

Ale właśnie tamtej nocy pod skalnym nawisem pierwszy raz przyszła do mnie upiorna zjawka, która nigdy nie dała mi spokoju. Przez wiele lat pojawiała się około czwartej nad ranem, w tej dziwnej porze, kiedy noc się jeszcze nie kończy, a dzień się nie zaczyna. Przyszła we śnie, gdy spałem na gałęziach świerka w namiocie. Teraz też przychodzi, teraz też leżę na świerkowych gałęziach, ale Bogdana już nie ma, spoglądam ku dolinie, jak tamtej nocy. Najpierw w oddali zobaczyłem ciemną kępę piór, która tkwiła na wierzchołku świerka. Była jasna noc, księżyc niemal w pełni, przed moimi oczami rozciągał się skąpany w jego świetle krajobraz. Nie było Bogdana, choć chwilę wcześniej chrapał tuż obok mnie, ani Janka, ani komisarza Kostji i pozostałych towarzyszy, pomyślałem, że odeszli, a mnie zostawili samego na szczycie, gdzie nie było już lasu, tylko ośnieżone skały, lód i mróz. Potem z tej szarej kępy piór zaczęły wyrastać skrzydła, duży ptak powoli prostował kończyny, jakby miał ręce wielkie niczym łopaty. Machnął skrzydłami i wzbił się w powietrze. Krążył jakiś czas nad lasem, nagle okazało się, że mnie zauważył. Wszystko to było bardzo dziwne, bo choć zataczał kręgi daleko w dole, widziałem jego żółte oczy i powieki mrużące pośrodku głowy, która była jakby krzyżówką ptaka i szczura. Dziób z zębami szczura miał wielki i ostry, już od dziecka wiedziałem, że takim dziobem ptaki drapieżne rozrywają zabłąkane jagniątka. Pomyślałem, że dzioby orłów i kani są zakrzywione, a ten był całkiem prosty, z drobnymi, ostrymi zębami. Przypomniałem sobie, gdzie widziałem taki dziób: na ścianie w sieni zamku wisiał wypchany aligator. Ta głowa, która wydawała się krzyżówką ptaka i szczura, była głową aligatora pokrytą starą, grubą, jakby splekaną skórą. Ptak rozejrzał się na wszystkie strony, a potem znów popatrzył w moim kierunku i zaczął, machając wielkimi skrzydłami, zbliżać się do mnie. Rzuciłem się do ucieczki. Przed sobą ujrzałem rozległy skalisty płaskowyż, gorączkowo szukałem wzrokiem miejsca, gdzie mógłbym się ukryć, jakiejś jamy, szczeliny pod skałą. Nade mną krążyło wielkie pierzaste zwierzę. Biegłem długo, jakby ta ucieczka miała trwać wiecznie, ale zaplątałem się w zaroślach między skałami i upadłem. Leżałem na grzbiecie, jak owca czekająca na zabicie, jak jagnię, z którego wielki ptak zaczyna odrywać kawałki mięsa i nosić je swoim młodym. Nagle coś sobie przypomniałem. Nie mnie, krzyknąłem, nie mnie, tam w dole leżą dwa ciała, poleć tam. Pokazałem na skraj lasu, gdzie leżały zakrwawione ciała Veroniki i Leona. Są jeszcze ciepłe, mówiłem, rozszarp je, pożryj. Ptak odwrócił głowę szczura, ptaka, aligatora, zatoczył nade mną jeszcze jedno koło i odleciał nad to miejsce, które mu pokazałem. Dusilem w sobie krzyk, słowa z trudem przechodziły mi przez gardło, moja dusza chciała krzyczeć z radości, bo ptak odleciał, ale nie mogła wyrzucić z siebie tych słów, bo był w nich także ból. Na ziemi leżała Veronika, a obok niej w śniegu czapka, wyraźnie widziałem jej twarz i jasne włosy, jej otwarte, puste zwrócone na mnie oczy.

Kiedy się obudziłem i wyjrzałem z namiotu, skały, las i nasz obóz tonęły w srebrnym blasku księżyca. Zobaczyłem postać w płaszczu opierającą się o skałę, był to strażnik, któremu zamykały się powieki. Bogdan chrapał bez przerwy.

Ponieważ po okolicznych wsiach rozeszły się pogłoski o zaginięciu właścicieli zamku, komisarz Kostja sporządził raport z wykonania na nich wyroku. Żeby wszyscy wiedzieli, powiedział, kiedy nam go czytał, i żeby zapamiętali. Ci ludzie zostali oskarżeni, bo korzystając z różnych kon-

taktów, współpracowali z okupantem, konkretnie z gestapo, a zwłaszcza z katem narodu słoweńskiego Wallnerem. Pod pozorem spotkań służbowych Zarnik zapraszał pod swój dach największych złoczyńców, pomagała mu w tym żona. Niech nikogo nie zwiodą plotki, jakoby wspierała walkę narodu słoweńskiego o wyzwolenie, bo był to tylko kamuflaż ich zdradzieckich poczynań. Maski spadły, sąd ludowy wydał wyrok.

Ulotkę powielono na maszynie drukarskiej, którą dostarczył nam Zarnik. Pytanie, czy ktoś ją w ogóle przeczytał, gdyż jeszcze długo po wojnie docierały do mnie pogłoski, że zabiliśmy dwoje niewinnych, porządnych ludzi; tak właśnie mówiono, że byli przyzwoitymi ludźmi, którzy troszczyli się o swoich pracowników. I pomagali partyzantom. Jak również plotki, że wciąż ich przetrzymujemy w lasach Kočevja i że wrócą do domu.

Jakiś informator, bo zachowaliśmy po wojnie, a nawet rozbudowaliśmy sieć informatorów, doniósł o plotkach, jakie tutejsi ludzie lubią szczególnie. W roku czterdziestym czwartym robotnik leśny z Jasny znalazł podobno w lesie koło chaty myśliwskiej Zarników rozpadającą się czaszkę kobiety z jasnymi włosami, którą z płytkiego grobu wygrzebał lis i włożył ją po okolicy. Ludzie w tych stronach uwielbiają takie historie, im są okropniejsze, tym chętniej je powtarzają. W czasie wojny mówiono o różnych rzeczach, później jednak o nich zapomniano, ale pogłoski o głowie kobiety nie ucichły nawet po wyzwoleniu. Szukaliśmy tego robotnika leśnego przez kilka miesięcy w czterdziestym szóstym roku, lecz nie trafiliśmy na jego ślad. Dlatego zamknęliśmy wiecznie pijanego parobka z miejscowości Gorenja vas, który opowiadał o tym w gospodzie. On też go nie znał. A więc kłamał. Po krótkim procesie został skazany na dwa lata za fałszywą propagandę. Potem go już nie widziałem. Zresztą nie dawałem wiary jego słowom. Powoli zapomniałem o tej historii, było mnóstwo pracy, wszystko przecież budowaliśmy od nowa.

Po kilku latach sprawę ponownie rozdmuchał Bogdan, bo palnął jakieś głupstwo, wtedy znów zaczęto dużo mówić o tych wydarzeniach. We wrześniu pięćdziesiątego czwartego roku – a był to czas, gdy rozeszły się nasze drogi i spotykaliśmy się tylko na różnych uroczystościach – pojechaliśmy pociągiem do Ostrožna. Przemawiał tam Marszałek, jak w maju czterdziestego piątego w Lublanie. W jego słowach brzmiała stanowczość, wielki tłum wiwatował z entuzjazmem. Potem jedliśmy gulasz z kotła, piliśmy wino i wspominaliśmy dawne czasy. W drodze powrotnej Bogdan wędrował po pociągu z gąsiorkiem wina, chwalił się swoimi odznaczeniami. W końcu przysiadł się do większej grupki młodych ludzi, naszych ziomeków, widziałem, że coś im opowiadał, słuchali go z otwartymi ustami. Takie sceny widywało się jeszcze długo po wojnie, wszyscy chcieli się dowiedzieć, jak walczyliśmy i co przeżyliśmy. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby Bogdan nie pił tyle i nie plótł, co mu ślina na język przyniosła.

Parę dni później odwiedził mnie człowiek z Lublany, pokazał legitymację OZN-y¹¹, powiedział, że przysłała go towarzysz Peter. Ma nadzieję, że wiem, kim jest towarzysz Peter. Oczywiście, znam go jeszcze z czasów wojny, wszyscy znamy towarzysza Petra. Spytał też, czy dobrze znam towarzysza Bogdana, urzędnika w wydziale drogowym. Jakżeby nie, zażartowałem, często w nocy chrapał obok mnie, gdy byliśmy w lesie. Otóż to, podsumował gość z OZN-y, towarzysz Peter sądzi, że byłoby najlepiej, gdyby najpierw porozmawiał z nim jakiś towarzysz z oddziału, zanim my weźmiemy go w swoje ręce.

Okazało się, że Bogdan opowiadał młodym ludziom w pociągu, jak to zimą czterdziestego czwartego roku dostał zadanie, by pochować kobietę, na której wykonano wyrok. W lesie leżało mnóstwo śniegu, ziemia była zmarznięta, nie miał więc czasu, żeby wykopać wystarczająco duży dół. Dlatego połamał jej nogi, a potem wszystko poszło już bez problemu.

Peter polecił: mam wytłumaczyć Bogdanowi, że nie wolno pleść bzdur, że trzeba trzymać gębę na kłódkę. Poszedłem do niego i powiedziałem mu to. Patrzył na mnie, mrugając małymi oczkami. Duże jak łopaty dłonie położył na stole, wydawało mi się, że lekko mu drżą. Może dlatego, że nie było tam żadnego kieliszka. A poza tym, dodałem, byłoby dobrze, gdyby mniej pił. Nie ma mowy, odparł, dużo przecierpieliśmy w tym cholernym lesie. To było wszystko. Nie spytałem go, czy ta historia z pociągu jest prawdziwa. Może nie chciałem usłyszeć odpowiedzi.

Tamtej nocy, gdy dowiedziałem się, co wtedy wygadywał, znów mi się śnił czarny ptak, który krążył nade mną wysoko w górach. To śniło mi się też po akcji w Podgorsku, kiedy spałem

obok chrapiącego Bogdana.

Może trochę daliśmy tam plamę, jak powiedział towarzysz Janko Kralj przed dwoma tygodniami, gdy odwiedziłem go w Lublanie. Nie mieliśmy dość niezbitych dowodów, to prawda. Ale trzeba zrozumieć: byliśmy młodzi, w nieustannej walce, ścigali nas jak dzikie zwierzęta, to są też słowa towarzysza Janka, musieliśmy więc bezlitośnie oddać cios. Miał rację. Mój syn Janko, który dostał imię po moim przyjacielu, zrozumie to kiedyś, gdy mu o tym powiem. Że potrafilimy i musieliśmy oddać cios. O tym, co się stało z właścicielami zamku w chacie myśliwskiej, nie musi wiedzieć. Wystarczy, jeśli wie, co jest zapisane w książkach, które mam na półce: zostali zlikwidowani. Niech wie, że cały czas byliśmy między życiem a śmiercią, że cały czas trwała ta pora, gdy nie wiadomo, czy jest noc, czy dzień. Kiedy po jednej stronie jeszcze wisi sierp księżycy, a po drugiej wstaje słońce. Za młodu o tej porze wyruszałem na koszenie, spoglądałem w niebo, czy nie gromadzą się chmury. Wtedy mój syn zrozumie, dlaczego mam na ścianie to, jak on mówi, malowidło i dlaczego czasem siedzę z kieliszkiem wina wśród towarzyszy, których już nie ma. Jak nie ma Janka, którego wczoraj pochowaliśmy, a jego drobne ciało leży w trumnie w naszej zawsze chłodnej ziemi.

¹ Miejsca zwycięskich bitew armii serbskiej z wojskami austro-węgierskimi w czasie I wojny światowej. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Jeden z frontów I wojny światowej, utworzony w północnej Grecji; Serbia walczyła wówczas po stronie państw ententy.

³ Petar (słoweń. Peter) Karađorđević (1923–1970), od roku 1934 król Jugosławii, po kapitulacji Jugosławii (17 IV 1941) na emigracji w Wielkiej Brytanii.

⁴ Oddziały walczące z komunistyczną partyzantką; powstały w 1943 roku z resztek oddziałów Białej Gwardii i zwolenników formacji chrześcijańskich demokratów.

⁵ Dimitrije Ljotić (1891–1945), polityk serbski, założyciel (1935) i przywódca nacjonalistycznej, faszystowskiej organizacji ZBOR, w czasie okupacji kolaborował z Niemcami.

⁶ Draža Mihailović (1893–1946), zwany Čiča, generał serbski, monarchista, w latach 1941–1945 przywódca oddziałów четників wiernych królowi, walczących najpierw z Niemcami, a później również z komunistyczną partyzantką.

⁷ Mowa o dramacie Borisava Stankovicia z 1902 roku.

⁸ Dziewiętnastowieczne powieści „dla ludu” wydawane przez Towarzystwo św. Hermagorasa (Društvo sv. Mohorja) z Klagenfurtu.

⁹ Front Wyzwolenia (Osvobodilna fronta), istniejący od 1941 roku antyfaszystowski ruch oporu skupiający w Słowenii ugrupowania o różnej orientacji politycznej.

¹⁰ Vosowcy, członkowie utworzonej w 1941 roku tajnej komunistycznej organizacji wywiadowczo-informacyjnej (Varnostno-obveščevalna služba, VOS).

¹¹ OZNA (Odeljenje za zaštitu naroda, Wydział Ochrony Ludu), tajna jugosłowiańska policja polityczna.

